

BESTSELLER WE FRANCJI

Guillaume Bailly

NEKROSYTUACJE

Perełki z życia grabarza



NEKROSYTUACJE

Perełki z życia grabarza

Guillaume Bailly

NEKROSYTUACJE

Perełki z życia grabarza



Przełożyła z francuskiego
Krystyna Szeżyńska-Maćkowiak


WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

Zapraszamy na www.publicat.pl

Tytuł oryginału

Mes sincères condoléances. Les plus belles perles d'enterrements

Projekt okładki

KATERINA BAZANTOVA BOUDRIOT

Koordinacja projektu

PATRYK MŁYNEK

Redakcja

„BALTAZAR” RING JACEK, WOJCIECHOWSKA-RING DOROTA

Korekta

JOANNA RODKIEWICZ

Skład

LOREM IPSUM - RADOSŁAW FIEDOSICHIN

© Éditions de l'Opportun 2018

Published by special arrangement with Les Éditions de l'Opportun in conjunction with their duly appointed agent 2 Seas Literary Agency and Graal Literary Agency

Polish edition © Publicat S.A. MMXIX (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved

ISBN 978-83-271-5973-1

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24

tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00

e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu

50-010 Wrocław, ul. Podwale 62

tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66

e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Od wydawcy polskiego

Serdecznie dziękuję!

Przedmowa

Czy wiecie, że...

Wygodnie ułożona

Pieszczota

Dumna Bretania

Rozmowa kwalifikacyjna

Karta zgonu albo drobne układy ze zmarłymi

W supermarkecie

Co podarować grabarzowi na Gwiazdkę?

Trzymać zmarłego za rękę

Dobra reputacja

Stereotypy

Poszukiwany

Prawo Murphy'ego

Miło wypić kieliszeczek

Kiepska reputacja

Notatka służbowa 666–Z (poufna) do wiedzy zakładów pogrzebowych

Ochroniarz

Poza zasięgiem

Ryzyko zawodowe

Pogrzeb absolutnie nie może odbyć się przed zgonem

Czy wiecie?

Oszustwo, pomoc społeczna i telefonia

Pośmiertna porównywarka cen

Zły plan

Stereotypy

Pieskie życie

Halo, karawan, jest pan wolny?

Pamięć to obowiązek

Ryzyko zawodowe

In vino veritas

Witaj

Im szybciej, tym lepiej

Celna riposta

Wkrętarka

Błękitny hełm

Do przemyślenia

Bach z wyróżnieniem

30 milionów przyjaciół

Błąd kierowcy

Porażający argument

Obawy

Często (stanowczo za często) słyszane

Pożegnanie Wouf-Wouf

Zabójcze uwodzenie

Bardzo często (za często) słyszane

Aleja

Pomyłka

Krótką balladą patetycznego chłopca

Prawa człowieka

Samospalenie

Wodewil

Co za burdel!

Nie ta osoba

Poniżony

Uraz

Nieważkość

Czarne i białe

Często (o wiele za często) słyszane

No future

Mała śmierć

Co w duszy gra

Wyczucie słowa

Nazywam się Cajmer, Al-Cajmer

Stereotypy

Éric

Pornografia

Wizytówka

Środkowy palec

Szczęśliwi ubodzy w duchu

Skrzywienie zawodowe

Czy wiecie?

Policyjne zlecenie przewozu zwłok

Naelektryzowana atmosfera

Za mały

Kończcie, a otworzą wam

Napiwek

Do przemyslenia

Szczerłość

„Szczególny”

Busola wiary

Sobota w Kerangoff to dzień ślubów

O niczym nie zapomniałeś?

Katastrofa

Most na rzece Styks

Często (zbyt często) powtarzane

Geopolityka

Właściwy rozmiar

Decyzja

Sztuka bycia babcią

Dowcipny

Pod nadzorem

Prewencja drogowa

Renée

Albert

Tamponada

Luksus, spokój i wieczność
Do przemyślenia

Zabawa w chowanego

Jo

Spóźnialski

Najgorszy będzie upadek
Do rozważenia

Philippe

Pięć milimetrów

Samotność

Sarkofag

Pytania do winnego?

Herkules Poirot

Wesołych świąt

Historia Fancha i Ti Jeana

Gorąco

François

Polityczna niepoprawność
Stereotypy

Radość

Plaga

Okienko

Telewizja satelitarna

Przyszły bezrobotny

Mędrzec

Podróż pierwszą klasą

Ryzyko zawodowe

Widziałeś coś takiego?

Pięć minut

Wstydlive upodobanie

Zbłąkane duszyczki

Właściwy ubiór

Zaginiona nocą

Przypisy

Grabarz to zawód bez przyszłości.

Klienci są niewierni.

Léon-Paul Fargue

Od wydawcy polskiego

Wszyscy i tak umrzemy.

Dołączając, prawda? Świadomość, że za kilka, kilkanaście, w niektórych wypadkach – kilkadziesiąt lat (ech, ci szczęśliwcy!) będziemy wachać kwiatki od spodu, nie nastraja optymistycznie. Powoduje uczucie niepokoju, troszkę nas dręczy (zwłaszcza 1 listopada) i wyprowadza ze strefy komfortu skuteczniej niż większość speców od coachingu. Osoby wierzące mają niejaki pocieszenie w swoim przekonaniu o życiu pozagrobowym, czego im jako twardo stąpający po ziemi ateista szczerze zazdroścę; chciałbym uwierzyć, że śmierć to nie koniec, ale nie potrafię.

Tak samo nie potrafię zachować powagi w niektórych sytuacjach, zdawałoby się beznadziejnych i dalece poważnych. Temat śmierci jako kresu życia, mety śmiertelników czy momentu ostatniego tchnienia nadaje się wybitnie na robienie sobie z niego jaj.

Z jednej strony, dowcip pozwala na oswojenie się z nieuchronnością śmierci, odarcie jej z powagi i poprawienie sobie humoru w zderzeniu z ostateczną prawdą, z drugiej – jest to psychologiczna proteza, dzięki której jeszcze żyjemy, nie popadając w szaleństwo; przynajmniej niektórzy z nas.

Nabijanie się ze śmierci ma wielowiekową tradycję. W jednym z najstarszych polskich tekstów, średniowiecznej *Rozmowie mistrza Polikarpa ze śmiercią*, co chwila natykamy się na pokłady humoru ze śmiercią w roli głównej. Jest to przede wszystkim satyra społeczna i dydaktyczna w wymowie, opowieść o równości ludzi wobec śmierci, momentami ocierająca się jednak o slapstick (przynajmniej tak odczytuję ją dzisiaj). Kolejnym przykładem jest mistrz z Czarnolasu. Jan Kochanowski, który oprócz tego, że był autorem smętnych trenów, pisywał również lekkie epitafia. Ba, nie tylko Kochanowski je tworzył; robił to również Mikołaj Sęp-Szarzyński, a także Daniel Naborowski. Zwiewne wierszyki nagrobne stały się z czasem swoistym podgatunkiem poezji, który miał nawet nazwę w języku polskim. Otóż, był to „nagrobek”. Cudowne, nieprawdaż?

Śmierć w dawnych czasach była powszechna, codzienna, wręcz trywialna. Medycyna w Europie dopiero raczkowała, służba zdrowia w dzisiejszym rozumieniu praktycznie nie istniała, śmiertelność dzieci była olbrzymia, dochodziły do tego wojny, głód i liczne epidemie takich chorób jak trąd czy dżuma, że o zwykłej grypie czy anginie nie wspomnę. Ba, przed erą antybiotyków nawet lekkie skaleczenie mogło okazać się śmiertelne. Wszak od niezbyt poważnej rany, do której potem wdało się zakażenie, umarł Ryszard Lwie Serce.

Ksiądz Józef Baka w *Uwagach o śmierci niechybnej* z 1766 roku bardzo obrazowo to przedstawia: „Śmierć niemodna, kiedy głodna / Na ząb bierze w cudnej cerze / Z rumieńcem i wieńcem / Panienki w trunieńki”^[1]. Tak, w oryginale są przeurocze trunieńki, nie trumienki, ale dobrze się domyślcie – chodzi o młode damy, które śmierć kosi, jak nie przymierzając Boryna zboże. Młodość, jak widać, nie jest żadnym gwarantem życia. Warto zauważyć też to, że śmierć zrównuje w ostatniej godzinie nie tylko wiek, ale też majątność, wykształcenie, a także pochodzenie społeczne owych panienek. Po zamknięciu wieka jest niemal jak w ostatniej scenie filmu *Sanatorium pod klepsydrą* – kamera schodzi w dół wprost do ziemi i pojawiają się napisy końcowe.

I tu dochodzimy do kwestii technicznych. Kto organizuje całe to przedsięwzięcie? Całą logistykę związaną z pogrzebem; przygotowaniem do niego, organizacją ceremonii i kopaniem dołu. Kto ze śmiercią obcuje na co dzień i kto zagląda w jej puste oczy niemal w każdej chwili? Grabarze, oczywiście!

Zwani w obecnych czasach „pracownikami domów pogrzebowych” bądź z anglosaska – *funeral manager*. We Francji jeszcze zabawniej, bo – *croque-mort* – czyli „pożeracz zmarłych”. I to o nich właśnie jest książka, którą trzymacie w rękach. O ich pracy, klientach, niecodziennych sytuacjach. Poważnych, komicznych, niekiedy groteskowych, ale zawsze wywołujących emocje. Żywe emocje.

Jestem wielkim fanem serialu *Sześć stóp pod ziemią*, który opowiada historię rodziny Fischerów zajmujących się prowadzeniem domu pogrzebowego. Do dziś uważam, że ostatnia scena produkcji to najlepiej nakręcone dziewięć minut w historii telewizji. Serial opiera się na świetnym pomysle konstrukcyjnym. Na samym początku każdego odcinka jest przedstawiany wypadek ze skutkiem

śmiertelnym, a następnie (już w domowej kostnicy) młodszy Fischer (lub jego brat) pochylają się nad nieszczęśnikiem i jego przypadkiem. Nie inaczej jest w *Nekrosytuacjach*.

Książka ma jednak tę przewagę nad serialem, że opisywane tutaj historie są prawdziwe. Autor, Guillaume Bailly, jest starym, nomen omen, wyjadaczem. Jako profesjonalista zetknął się z wieloma nekrosytuacjami. W niektóre trudno mi było uwierzyć, z innych śmiałem się, chowając twarz w dłoniach i karcąc się w myślach, że nie wypada mi rechotać z czyjegoś nieszczęścia. Niestety, książka ta, będąc bestsellerem we Francji (już została wydana druga część), skutecznie przeszkadza w zachowaniu powagi. Tej śmiertelnej powagi.

Nie chcąc odciągać Cię zbyt długo, Czytelniku, od tej zabawnej lektury na (pozornie?) poważne tematy, zapraszam do współczesnego i mocno zakręconego *danse macabre*, które wprawdzie jest jakimś rodzajem przywołania *memento mori*, ale dzięki humorowi i groteskowym sytuacjom nie robi tego nachalnie ani w arcyważny sposób. Jest raczej doskonałą egzemplifikacją starego jak świat przysłowia „Śmiech to zdrowie”. A póki żyjemy, śmiać się możemy, a nawet powinniśmy. Bo śmiech to też życie. Nawet jeśli gdzieś czai się Pani na Ś.

Patryk Młynek, Wydawnictwo Dolnośląskie

Serdecznie dziękuję!

Sukces *Nekrosytuacji* był zaskoczeniem, bardzo miłym, ale jednak zaskoczeniem. Ponieważ ta książka jest naprawdę ponura.

Powiedzcie sami: może czytaliście książki historyczne ukazujące bogactwo cywilizacji i złożoność procesów, które doprowadziły nas do aktualnej sytuacji, przewodniki turystyczne prezentujące bezkres świata i wiele cudownych miejsc. Może lubicie romanse, których bohaterom przytrafiają się spotkania cudowne, choć całkiem nierealne, miłość, która wypełnia ich dom ślicznymi dziećmi, a w razie zerwania pozostawia piękne wspomnienia; albo powieści kryminalne, w których ponury policjant dopada sprawcę zbrodni i odzyskuje wiarę w życie; a może macie jeszcze inne upodobania.

Na przykład do lektury *Nekrosytuacji*, książki, która wyjaśnia, co zrobią z waszym ciałem, kiedy życie odgwiżdże koniec meczu i nie będziecie już mogli czytać innych książek. Ani robić tego co zwykle: pracować, odpoczywać, kochać, śmiać się czy płakać...

Nekrosytuacje mogły zresztą nigdy się nie ukazać. Stéphane Chabenat, wydawca i dyrektor Éditions d'Opportun, zadzwonił pewnego dnia do Érica Fauveau, szefa Funéraire Info, aby zapytać go o literaturę funeralną. Temat interesował Stéphane'a, który snuł plany wydania tego typu książki. Tuż przed zakończeniem rozmowy Stéphane powiedział coś w tym rodzaju: „Gdyby spotkał pan kiedyś kogoś, kto ma pomysł na książkę...”, a Éric, który czekał tylko na okazję, by o mnie wspomnieć, podchwycił: „Zabawne, że pan o tym mówi, bo mam właśnie w swoim zespole...”.

Tak, książka jest jak życie: czasami wisi na włosku albo zależy od zwykłego przypadku. Stéphane'owi dziękuję więc, że zadał pytanie, a Éricowi za to, że na nie odpowiedział.

Często słyszałem: „Musiałeś być bardzo zadowolony, kiedy wszyscy zaczęli mówić o twojej książce”. Otóż nie, a to z prostego powodu, że przez wiele tygodni trwałem w swoistym osłupieniu. Ludzie zaczynają poznawać cię na ulicy. Jednak do tego byłem trochę przyzwyczajony, tyle że nie słyszałem już:

„Zobacz, to ten pan, który pochował ciocię Lucette”, ale raczej: „Oj, a czy to nie pan napisał tę książkę o pogrzebach?”. Po raz pierwszy – uwierzcie mi, bo nie wymyśliłbym tego – rozpoznano mnie jako pisarza na cmentarzu.

Choć obawiałem się nieco reakcji kolegów, to szybko się przekonałem, że niesłusznie: wielu z nich nie tylko rozpoznało się w moich opowiadaniach, ale też, jak sądzę, ucieszyło się, że pozytywny wydźwięk książki wzbudził większą przychylność dla naszego zawodu. Im również, a właściwie – przede wszystkim im – winien jestem podziękowania. Szczególnie tym, którzy dzielili się ze mną historiami ze swej pracy.

Być może nie dla wszystkich było to przyjemne, dlatego pragnę ich przeprosić. Przepraszam, szczerze przepraszam, Zazie, Pascala Obispo, Pierre’a Jaconellego i Johnny’ego Hallydaya, ponieważ ich piosenka, mimowolna bohaterka jednej z anegdot, zwróciła uwagę niemal wszystkich, z którymi rozmawiałem o tej książce. Ale *Allumer le feu* jest i będzie doskonałą piosenką, także dla żywych.

I jeszcze to najważniejsze: zanim wydawca wpadnie w szal i przypomni mi, że wstęp nie może być dłuższy od książki, pragnę podziękować. Podziękować wszystkim, którzy wzięli moją książkę do rąk i poświęcili czas, żeby ją przeczytać. Można komentować, pytać, twierdzić – bez względu na wszystko jestem głęboko przekonany, że każdy, kto zaczyna przelewać słowa na papier, robi to w nadziei, że ktoś je przeczyta. A wy spełniliście to marzenie, choć nie śmiałem na to liczyć.

Dlatego też, Czytelniczki i Czytelnicy, gorąco wam dziękuję.

Guillaume Bailly

Przedmowa

Często pytają mnie, czego się spodziewać, wybierając ten zawód. Choć nie jest to anegdota w dosłownym słowa znaczeniu, to wszystkie przedstawione elementy wywodzą się ze sfery autentycznych doświadczeń, z wyjątkiem morderstw, będących zmyśleniem...

Stało się! Trzymając w ręku certyfikat asystenta pogrzebowego, czujesz się, jakbyś odnalazł Świętego Graala, otworzył Sezam, jakby ziściło się marzenie każdego świeżo upieczonego absolwenta na rynku pracy: umowa na czas nieokreślony w zakładzie pogrzebowym. Jest piątkowy wieczór. Wyczerpany pierwszym tygodniem pracy idziesz do przyjaciół, żeby się trochę rozerwać...

Pierwsza rada: jeżeli chcesz uniknąć problemów, milcz! Bo kiedy tylko ujawnisz swój zawód, opadnie cię gromada pijawek mających wyłącznie jeden cel: bawić się dobrze... twoim kosztem.

Ale pękasz. Po dwóch whisky, przy aperitifie, twój system obronny padł, a zawód, który sobie wymyśliłeś, astrofizyk, okazał się fatalnym wyborem podczas rozmowy z sąsiadem, magistrem matematyki, który uparł się, by dyskutować z tobą o teorii kwantowej w odniesieniu do wariacji orbitalnych księżyców Jowisza w cyklu rocznym. Przyznajesz więc, że kłamałeś, jesteś grabarzem. Błąd: teraz rozmówcy myślą, że nie odpowiada ci ta praca albo że robisz rzeczy zbyt straszne, by o nich mówić.

Przygotuj się psychicznie: zawsze znajdzie się ktoś, a na ogół jest to kobieta, kto dosłownie wrzaśnie: „Grabarz? Serio? Jak w *Sześciu stopach pod ziemią*? Jaki ten Peter Krause jest przystojny!”. I już wiadomo, jak spędzisz kolejną godzinę – będziesz cierpliwie słuchał streszczenia wszystkich ulubionych odcinków serialu, długiej listy najdziwaczniejszych stereotypów i wypaczonych wizji zawodu, a co pewien czas będziesz musiał tłumaczyć, że nie, tego się nie robi, albo to robi się zupełnie inaczej. Jeżeli nie widziałeś *Sześciu stóp pod ziemią* albo – co gorsza – jeżeli nie lubisz tego serialu, to poczujesz się jak przed trybunałem inkwizycji. Grabarz, który nie lubi *Sześciu stóp pod ziemią*, musi liczyć się z tym, że fanka serialu zacznie podważać jego kompetencje

zawodowe, nie zastanawiając się nad tym, że to tylko niezbyt dobrze udokumentowany serialik.

W przerwie na papierosa na zewnątrz (bo pani domu nie toleruje palenia) uwolnisz się od fanki *Sześciu stóp pod ziemią*. Potem zastanowisz się, co zrobić z jej ciałem.

Nie myśl jednak, że to już koniec problemów. Na pewno znajdzie się jeszcze ktoś. O, już się znalazł: „Pewnie mógłbyś długo opowiadać o tym, co się tam dzieje?”. Tak, jasne, bez końca, a przecież pracujesz dopiero od tygodnia. Gdy zastanawiałeś się nad tym, pani domu podała soczystą pieczeń, a jej mążonek półmisek placuszków ziemniaczanych własnej roboty. Kiedy serwowali te pyszności, ktoś zapytał: „Jak przebiega balsamowanie?”. Zacząłeś opowiadać. Najpierw rzuciłeś z uśmiechem, że żeby zabalsamować zwłoki, trzeba by mieć wehikuł czasu, co nie do końca jest prawdą, ale wino było dobre i masz ochotę żartować. Potem zagłębiasz się w szczegóły, rozprawiasz o tanatopraksji. Krojąc mięso, naprawdę pyszne, idealnie upieczone, rozpływające się w ustach, wyjaśniasz, jak tanatopraktor wprowadza przez tętnicę płyn; zbierając kawałkiem chleba sos z talerza, wykonujesz kilka gestów, naśladując użycie trokaru; potem, kończąc ziemniaki, może odrobinę niedosolone, rozprawiasz o wyższości zaszycia ust nad ich zaklejeniem. Kiedy twój talerz jest już pusty, dyskretnie zerkasz na półmisek z pieczenią w nadziei na dokładkę. Ze zdumieniem stwierdzasz, że nie tylko jest jej jeszcze dużo, ale w dodatku pozostali goście nawet nie tknęli swoich porcji. Ludzie nie potrafią już docenić dobrego jedzenia, pewnie przez te wszystkie fast foody...

Przy deserze, zesłany na koniec stołu, rozmawiasz z jedynym współbiedniakiem, który chce się jeszcze do ciebie odezwać, studentem psychologii. Właśnie wrócił z klasztoru, gdzie starał się znaleźć spokój. Nie zapamiętałeś nawet, jak ma na imię.

Musisz wysłuchać jego wykładu na temat żałoby, a przy okazji precyzyjnych wskazówek, jak powinieneś wykonywać swój fach. Przy kawie student psychologii wypytuje cię o zjawiska nadprzyrodzone, z którymi musisz stykać się niemal na co dzień. A kiedy odpowiadasz, że nie, nic z tych rzeczy, jest tak, jakbyś mu wyznał, że żyłeś po bożemu z jego babką. „Nic? Właściwie mnie to nie dziwi, wyczułem, że jesteś zamknięty na wszystko, co należy do sfery paranormalnej. Kto nie chce zobaczyć, nie widzi. Jakiś ty ograniczony!”

Kolejna przerwa na papierosa w ogrodzie wydaje się najlepszym wyjściem.

W końcu żegnasz się z gospodarzami, w duchu przeświadczony, że raczej nie zaproszą cię w najbliższym czasie. Szkoda, jedzenie było wyborne, ale ta banda nudziarzy! Następnym razem musisz wymyślić sobie prostszy zawód. Ale jaki? Nawet kasjer w supermarkecie nie przejdzie tak łatwo, są tacy, którzy piszą o tym bestsellery. O właśnie: księgarz, to powinno być dobre. Biorąc pod uwagę, jak ludzie podchodzą dziś do książek, powinieneś zapewnić sobie święty spokój. A może zachować się bardziej agresywnie, oświadczyć, że po godzinach nigdy nie mówisz o pracy, chyba że ktoś ci za to zapłaci. Musisz jeszcze tylko pozbyć się ciała fanki *Sześciu stóp pod ziemią* i raeliańskiego psychologa: cień grabarza ciągnie się za człowiekiem przez okrągły tydzień i dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Czy wiecie, że...

Grabarz (fr. Croque-mort)

W kulturze ludowej, jak zapewne słyszeliście, funkcjonuje przekonanie, że słowo croque-mort [„pożeracz zmarłych”] wzięło się z tego, że niegdyś ludzie zajmujący się grzebaniem zmarłych, aby sprawdzić, czy „klient” na pewno jest martwy, mocno gryźli go w paluch u nogi. Brak reakcji świadczył o zgonie.

W rzeczywistości pochodzenie tego terminu jest inne. Otóż w XIII wieku w Europie szalała epidemia dżumy. Zwłoki zmarłych wyrzucano na ulicę. Władze miast werbowały więc żebraków (albo więźniów, sprawa jest niejasna), by w zamian za kilka monet albo ułaskawienie zbierali ciała i odwozili je do zbiorowych mogił.

W tej pracy, by chronić się przed zarażeniem, używano długich kijów zakończonych rzeźnickimi hakami (crochet). [...] Upływ czasu i ewolucja syntaktyczna zrobiły swoje...

Wygodnie ułożona

Dyrektor zakładu pogrzebowego od razu zwrócił uwagę na tę kobietę: wśród krewnych zmarłej, której ciało właśnie przywieziono, wyróżniała się donośnym głosem i niezmiennie krytycznymi uwagami. Kawa podana w zakładzie była niedobra, syn nieboszczki, a brat tej pani, przyszedł w dzinsach, a więc niestosownie ubrany, salon był niewłaściwie oznaczony, zbyt ciemny – słowem, wszystko było nie tak, więc obrywało się wszystkim.

Kiedy grabarz zobaczył, że córka zmarłej zbliża się do niego, wiedział, że mu się dostanie.

– Mama leży za nisko – warknęła.

Jej matka spoczywała na chłodzonym stole z głową ułożoną na poduszce. Grabarz pokazał to córce. Życzy sobie, żeby nieco ją unieść? Dobrze. Poprosił rodzinę o opuszczenie salonu, uniósł głowę zmarłej, podsunął drugą poduszkę, a następnie zaprosił najbliższych.

– Wciąż za nisko – wyjęczała malkontentka.

Grabarz znów wyprosił rodzinę, dodał podgłówek, zaprosił krewnych.

– Jeszcze za nisko.

Rodzina znowu wyszła. Zdesperowany grabarz podłożył pod poduszki pustą butelkę po formalinie, zaprosił rodzinę...

– No, ale teraz jest stanowczo za wysoko!

Grabarz był niezwykle cierpliwym człowiekiem. Uśmiechnął się do kobiety.

– Oczywiście. Wydaje mi się, że teraz już dokładnie wiem, czego sobie pani życzy.

– Naprawdę? – spytała.

– Naprawdę. Proszę dać mi chwilkę, zaraz się tym zajmę.

Rodzina wyszła, wróciła i:

– No, nareszcie! – triumfowała uciążliwa kobieta.

– Czy teraz jest pani zadowolona? Zechce pani spojrzeć. Widzi pani... o tu?

– Tak, widzę, ma pod głową poduszkę. I co?

– To, szanowna pani, że ułożyłem ją dokładnie tak, jak na początku. Widzi pani? Zrozumiałem, o co pani chodzi.

I już do końca ceremonii córka zmarłej milczała.

Pieszczota

Tę historię opowiedział mi przedsiębiorca pogrzebowy, którego spotkałem na Funexo w Lyonie w roku 2014. Dziękuję mu za to.

Po kilku latach służby w policji mężczyzna postanowił spróbować sił na rynku pogrzebowym, z którym był związany rodzinnie. Po uzyskaniu dyplomów kupił więc firmę na południu Francji.

Szybko zauważył, że w tym regionie ludzie mają skłonność do dotykania innych. Ściskając mu rękę, mężczyźni kładli tę drugą na jego ramieniu, kobiety całowały przy powitaniu, jakby znały go od dwudziestu lat, choć nigdy wcześniej ich nie widział, a cały ten świątek wciąż chwycił dłonie czy ramiona, które znalazły się w zasięgu ręki. Było to Łaskotkowo, a grabarz, który polubił miejscowych tak samo jak łagodny klimat, dostosował się do zwyczajów.

Pewnego dnia do jego zakładu przyszła rodzina w sprawie pochówku dziadka. Szybko wszystko ustalono, nadszedł dzień pogrzebu. Grabarz był w salonie, towarzyszył rodzinie w ceremonii złożenia do trumny. Jego pracownicy zajmowali się zmarłym. Chwila była podniosła.

Niespodziewanie wnuk nieboszczyka delikatnie poklepał grabarza po ramieniu. Ten dyskretnie pochylił się ku niemu, by go wysłuchać. Ale wnuk milczał. Zaintrygowany grabarz wyprostował się i drobnym gestem kazał kontynuować pracownikom, którzy zauważyli gest wnuka i przerwali pracę.

Wnuk znów poklepał go po ramieniu. Grabarz ponownie się przechylił, ale usłyszał tylko ciszę. Wyprostował się więc, polecił pracownikom kontynuować, tym razem rzucając im karcące spojrzenie. Bo też uśmiechali się pod nosem, jakby uznali to, co się dzieje, za dobry żart.

Wnuk nie ustępował, po raz trzeci poklepał grabarza po ramieniu, a ten, rozzłoszczony, zastanawiał się, o co tu chodzi, gdy nagle doznał olśnienia: „Do diaska, przecież to oczywiste! Chce, żebym go przytulił”. Odwrócił się więc do wnuka i wziął go w ramiona. Po chwili odniósł wrażenie, że być może popełnił

błąd. Jego intuicję szybko potwierdził sam zainteresowany, protestując głośno:

– Nie o to mi chodziło!

Grabarz poprowadził kondukt z pałającymi policzkami. Zmieszany, musiał znosić ironiczne spojrzenia swoich pracowników. Ale to nie był koniec katorgi: wnuk należał do ochotniczej straży pożarnej i bardzo często, gdy dochodziło do różnego rodzaju nagłych zgonów, zdarzało im się spotykać. Zawsze wtedy, zażenowani, poprzestawali na krótkim „Dzień dobry”, nie zamieniając ani słowa więcej.

Tak kończy się ta historia. Może zastanawiacie się, co zrozumiałe, czego mógł chcieć ten wnuk. Ja również zapytałem o to grabarza, a on odpowiedział: „Po tym wszystkim byłem tak zawstydzony, że nie śmiałem go o to zapytać”.

Dumna Bretania

Kościół wypełnił się po brzegi.

Znałem większość tych ludzi. Nie osobiście, ale z widzenia, z nazwiska, wiedziałem, jaką cieszą się reputacją, czytałem ich publikacje na stronach internetowych. Wiedziałem więc, kim są, a co ważniejsze – co robią, po co wstają rano.

Ich wiara, ich sprawa, ich walka.

Ten, którego chowaliśmy, był jednym z najważniejszych w grupie. Lider, erudyta, przywódca. Wzorzec, a dla niektórych idol. Jeden z tych, którzy nigdy nie zwątpili, nie opuścili rąk, nigdy nie złożyli broni, pisali o teorii, którą przeżywali w praktyce, bez względu na cenę.

A my, my byliśmy tam, by nosić na ołtarz niezliczone kwiaty, by wszystko przygotować i zadbać, żeby ceremonia była doskonała.

Wraz z mistrzem ceremonii ustawiliśmy właśnie katafalk, na którym miała stanąć trumna. Sprawdziliśmy rozmieszczenie kwiatów, ustaliliśmy z rodziną, które położyć na trumnie, a które wokół niej. Pozostało nam już tylko przejść przez nawę i wrócić, niosąc zmarłego.

Dyskretnie powiodłem oczyma po twarzach zgromadzonych. Ludzie rozmawiali między sobą, ale wiedziałem, że cisza będzie zapadała stopniowo, za naszymi plecami, i zacznie się oczekiwanie na wniesienie trumny.

I właśnie wtedy doszło do incydentu. Tak niewiele trzeba, żeby zburzyć nastrój. Wystarczy jedno zdanie.

Mistrz ceremonii z pewnością także chciał się upewnić, czy wszystko gra. Tego rodzaju ceremonie są bardzo ważne dla zakładu pogrzebowego, wpływają na jego wizerunek. Nasz kolega niedawno przyjechał z Paryża, gdzie trochę już pracował. Pogrzeby w Notre-Dame, ceremonie żydowskie, buddyjskie, a także pochówki wyznawców dziesięciu innych religii, niekiedy wręcz zadziwiające, a wszystko w najlepszych dzielnicach stolicy. Człowiek przywykł więc do najwyższych sfer i do różnorodności, ale ta klientela z odległej Bretanii była dla

niego nowością. Postanowił więc – zastanawialiśmy się potem, skąd nagle przyszło mu to do głowy – zastosować w całym kościele metodę Coué. Przypuszczam, że zrobił to zarówno dla siebie, jak i po to, by złagodzić cierpienie najbliższych zmarłego. Głośno i wyraźnie oznajmił swym donośnym głosem, przystając pośrodku nawy:

– Urządzimy piękną ceremonię, jak w Paryżu.

Nagle zamilkł. Poczułem, że serce na moment przestało mi bić. Krew odpłynęła mi z policzków. Nie powiedział tego? – pomyślałem. Owszem, powiedział. A może tylko ja to usłyszałem; oczywiście, łudziłem się głupią nadzieją, bo jego głos brzmiał jak dzwon, a wypowiadając to zdanie, chciał, by go usłyszano.

Tylko on nie zrozumiał, co się stało. Szedł dalej, nie zauważając tysięcy par oczu tyluż ultranacjonalistów bretońskich, oczu, z których wyzierała nieokiełznana nienawiść.

Rozmowa kwalifikacyjna

To była spontaniczna decyzja, wsparta płomiennym listem motywacyjnym. Hervé, szef zakładu, postanowił spotkać się z kandydatem. Prawdę mówiąc, dodatkowy pracownik nie byłby zbędnym luksusem, a ten chłopak chyba miał silną motywację.

Jednak coś tu intrygowało Hervého: z bardzo nielicznymi wyjątkami do zakładu pogrzebowego trafia się przypadkiem. Nikt zdrowy na umyśle nie budzi się pewnego dnia z postanowieniem: zostanę grabarzem.

Ale Hervé chciał koniecznie rozwikłać tę zagadkę.

Pierwsza część rozmowy przebiegła dobrze. Droga zawodowa kandydata, który prezentował się świetnie, a także jego doświadczenia wskazywały, że poradziłby sobie z organizacją konduktu pogrzebowego. Nie miał natomiast bladego pojęcia o tanatopraksji. To jeszcze nie stanowiło przeszkody, nasuwało się jednak pytanie, skąd w tej sytuacji tak silna motywacja.

Hervé postanowił otwarcie powiedzieć o tym kandydatowi, ten zaś odparł, że dzięki motywacji będzie w stanie uczyć się szybko i dobrze. Trafna odpowiedź! Hervé naciskał:

– Ale czy przebywanie ze zmarłymi, wykonywanie ich toalety, naprawdę nie jest dla pana problemem?

– Nie, skądże – odparł kandydat. – Czyli myjcie tu zmarłych?

– Tak, oczywiście.

– I gdzie to się robi? – spytał kandydat.

– To zależy. Na ogół w laboratorium.

– W zamkniętym pomieszczeniu?

– Oczywiście.

– I wtedy zostaję sam na sam ze zmarłym?

– Tak, przeważnie tak, pracownik zostaje sam ze zwłokami – odparł Hervé.

W głowie zadźwięczał mu dzwoneczek alarmowy.

– A zwłoki są nagie? Zupełnie?

– Tak...

– A czy jest coś, jakaś mała tabliczka, na której jest napisane, że w środku jest zmarły i nie chcę, by mi przeszkadzano? Można zamknąć drzwi na klucz?

Wydawało się, że na twarzy kandydata dokonana się subtelna zmiana, że dotąd pogodna, przybrała wyraz łagodnej odrazy. Alarm w głowie Hervégo dzwonił coraz głośniejsze, on jednak już go nie słuchał, porażony okropnymi wizjami, które przesuwały mu się przed oczyma.

– Dobrze, dziękuję, że zechciał pan przyjść. Napiszemy do pana.

Karta zgonu
albo
drobne układy ze zmarłymi

Działo się to w piątkowy wieczór, lekarz, który zwykle zajmował się pensjonariuszami domu starców, wyjeżdżał na weekend. Uprzedził, że w tę sobotę i niedzielę będzie łowił ryby i nie obchodzi go, że jest jedynym lekarzem w okolicy, nie zamierza z powodu jakiegoś głupstwa zmieniać planów. Naczelną pielęgniarka ostro zaoponowała:

– Ale, panie doktorze, z panią Chombier naprawdę jest bardzo kiepsko.

– Proszę posłuchać, jadę na ryby, a pani Chombier na pewno poczeka z umieraniem do poniedziałku. A mówiąc serio, wypiszę papierki w poniedziałek, po powrocie.

– Ale doktorze, przecież pan wie, że zakład pogrzebowy nie przyśle tu nikogo, jeżeli nie będzie karty zgonu. Takie jest prawo!

– Oj, prawo, prawo! W takim razie załatwimy to inaczej!

Lekarz wyjął czysty formularz karty zgonu, opatrzył go pieczętą, podpisał i położył na biurku.

– Nie wpisuję nazwiska ani żadnych danych, wiem, że niektórzy tu są przesądni. Jeżeli pani Chombier nas opuści, wypełni pani tu, wstawi krzyżyki tu i cicho sza. Tylko proszę tego nie zgubić, bo narazilibyśmy się na bardzo, bardzo poważne problemy. No, uciekam, miłego weekendu!

Uwaga: karta zgonu to dokument nieodzowny do rozpoczęcia wszelkich dalszych działań i uzyskania aktu zgonu. Innymi słowy, jest to dokument wrażliwy, wystawiany wyłącznie przez lekarza po stwierdzeniu przez niego zgonu, a także ustaleniu jego przyczyn do celów statystycznych: co istotne, lekarz zaznacza, czy są wskazania do przeprowadzenia badań z zakresu medycyny sądowej.

W supermarkecie

Po długim poszukiwaniu wolnego miejsca mężczyzna zaparkował w końcu przed supermarketem, zamknął samochód i poszedł w stronę wejścia do sklepu. W dwóch pierwszych miejscach nie było już wózków, ale on wózka nie potrzebował. Świadczyło to jednak, że w sklepie jest tłok.

Jakie to typowe dla jego żony: zadzwoniła do niego z pracy, kiedy już szykował się do wyjścia.

– Wiesz, zastanawiałam się właśnie, czy nie miałbyś ochoty na naleśniki na kolację.

Oczywiście, że miał na nie ochotę! Naleśniki to jego ulubione danie.

– Wiem. Pomyślałam, że chętnie bym zjadła naleśniki. Dzieci też.

Wszyscy uszczęśliwieni, doskonale.

– Tylko... zauważyłam, że zabrakło mi jajek. Może mógłbyś wpaść po drodze do sklepu? A przy okazji kup jeszcze kiełbasę wieprzową i cydr!

Powinien był przewidzieć, do czego zmierzała. Doskonale wiedziała, że jak każdy Bretończyk z krwi i kości uwielbia naleśniki. Mogła je po prostu przygotować, nie musiała go pytać, wiedziała, że się ucieszy – nie dzwoniłaby, gdyby niczego nie potrzebowała.

I, rzecz jasna, nie poszła sama do sklepu, bo był piątkowy wieczór, początek miesiąca. Ludzie wyjeżdżali na weekend, napełniali lodówki za pieniądze z wypłaty. To był najgorszy dzień na robienie zakupów. Dla dyrektora supermarketu pewnie najlepszy, pomyślał.

Zdobył koszyk, poszedł do działu wędliniarskiego po kiełbasę, do działu z alkoholami po cydr, a na końcu po jajka.

Zadowolony ruszył do kasy. Oczywiście przed wszystkimi stały długie kolejki, nawet przed tą przeznaczoną dla klientów kupujących mniej niż dziesięć artykułów. Kasjerka była zajęta tłumaczeniem emerytce, że nie, nie liczyła, ale w tym wózku pełnym wiktuałów z pewnością jest więcej niż dziesięć artykułów. Dyskusja się przeciągała. Kasjerka musiała przestrzegać

zasad, nie zrobiła wyjątku dla emerytki.

– Ty! – krzyknęła drobna kobieta w trudnym do określenia wieku, o wyrazistej twarzy i krótkich, zwichrzonych siwych włosach.

Nie odrywała oczu od mężczyzny. Ten, kurczowo trzymając jajka, kielbasę i cydr, zastanawiał się, czego może od niego chcieć ta nieznajoma. Czy widział ją kiedykolwiek wcześniej? Widywał tyle twarzy...

– To on! – wrzasnęła, biorąc tłum na świadka. – Ten człowiek zabił moje dziecko! Morderca!

Teraz szlochała.

– Odebrał mi dziecko!

Mężczyzna stał jak wryty. Wokół niego utworzył się krąg ludzi, których przyciągnął krzyk. Ten krąg się zacieśniał. Morderca dzieci? Matki już odchodziły, zabierając dzieci, a ojcowie zbliżali się, pełni wrogości. Nikt nie wiedział, o co chodzi, ale wszyscy byli już gotowi zlinczować tego pedofila. Bo przecież ten facet był pedofilem? Kim innym miałby być?

Poczuł ulgę, widząc nadchodzących ochroniarzy, a tuż za nimi trzech umundurowanych policjantów. Policja? Patrol był już na miejscu, przypadkiem, w zupełnie innej sprawie. Funkcjonariusze poderwali się z miejsc, kiedy powiedziano im, że przy kasie rozpoznano mordercę dzieci.

Z ogromnym trudem zdołali przywrócić względny spokój. W umiarkowanym zgiełku udało im się przesłuchać kobietę. Czy oskarżała tego mężczyznę o zabicie jej dziecka?

– Tak, on zniszczył moje małeństwo.

Wyglądała na bliską obłądu, mówiła łamiącym się głosem, który przechodził w rozdzierający szloch.

Czy mężczyzna wie, o czym mówi ta kobieta?

– Wydaje mi się, że tak.

Zapadła głucha cisza. Nie takiej odpowiedzi się spodziewano. A on nie zaprzeczał. Bardzo blady, jakby lada chwila miał zasłabnąć, potwierdził. I ciągnął:

– Pracuję w krematorium. Domyślałem się, że zajmowałem się dzieckiem tej pani.

A ona, skulona w kącie, szlochała. Zapamiętała tego człowieka, bo on spalił jej maleństwo.

Strażacy odwieźli ją do szpitala psychiatrycznego. A on wrócił do domu.

Opowiedział mi tę historię po kilku latach, w krematorium. Nie przyszło mi do głowy pytać, czy wychodząc, zabrał jajka, cydr i kiełbasę.

Coś mi mówi, że nie.

Łatwo sobie wyobrazić, o czym myśli od tamtego dnia, jedząc naleśnika z kiełbasą. Przypuszczam, że nie jest to już jego ulubione danie.

Co podarować grabarzowi na Gwiazdkę?

Trudno uwierzyć: twoja młodsza siostra, ta, która farbowała włosy na różowo, czytała Ciorana i słuchała The Cure, czesząc się jak Robert Smith, wyszła za mąż. Postanowiła się ustatkować, założyć rodzinę, słowem – skończyć z buntem. Zdecydowała się nawet podjąć pracę w banku, choć tak niedawno do poduszki czytała swemu bratankowi, a twojemu synowi Karola Marksa. Choć w sercu czujesz radość, nie możesz się uwolnić od obaw. Teraz ma przyjść do domu, by przedstawić nowego narzeczonego i powiedzieć o nowej pracy. Przeżywasz szok: zamierzała zostać traderem. Oj...

Z tym większą nadzieją patrzyłeś na towarzyszącego jej młodego człowieka. Rodzice byli nim oczarowani. Grzeczny, powściągliwy. Matka zachwycała się jego łagodnymi oczyma i bezpretensjonalną elegancją, ojciec cenił sobie szczere spojrzenie i męski uścisk dłoni. Przy aperitifie matka zadała wreszcie To pytanie: czym zajmuje się zawodowo? „Pracuję w zakładzie pogrzebowym”, wyjaśnił.

Ojoj... A przecież wyglądał na normalnego faceta...

Tak czy inaczej kolacja minęła w miłej atmosferze, po części dzięki staraniom narzeczonego, który mówił o swej pracy, tłumaczył, jak jest istotna, nie rozwodząc się nad ponurymi szczegółami, mimo nawracających jak refren wątpliwości matki: „Ale jeżeli nie żyją już od dawna albo jeśli rzucili się pod pociąg, to musi być okropne? Nie, nie, proszę mi nie mówić... Jak to jest?”. Rozkochane spojrzenie siostry mówi jaśniej niż najwspanialsze słowa, że pragnie, by grabarz jak najszybciej wsunął pierścionek na jej palec, a grabarz najwyraźniej podziela jej uczucia.

Krótko mówiąc, zakochani wychodzą, a wy zaczynacie wymieniać spojrzenia: z drugą połówką, z rodzicami, a w końcu ojciec celnie podsumowuje tę sytuację:

– O cholera, wygląda na to, że będziemy mieli grabarza w rodzinie.

A matka już zaczyna się martwić:

– Ale co daje się grabarzowi na Gwiazdkę?

Pozwólcie, że na tym etapie wkroczę i powiem, czego nie należy mu dawać. Potem będziecie mogli eliminować podobne pomysły.

Zacznijmy od krawatów. Nikt nie ma ochoty nosić krawatu ze Snoopym poza, być może, ścisłym kręgiem prywatnym – na przykład w dniu urodzin najmłodszej córeczki, ale i to, jeśli ma najwyżej pięć lat. Wyobraźmy sobie więc, że pracownik zakładu pogrzebowego siedzi w takim zabawnym krawacie przed pogrążoną w rozpacz rodziną, która patrzy na ten dodatek wytrzeszczonymi oczyma, zadając sobie pytanie: „Coś takiego... Czy ten facet z nas drwi, czy jest zwykłym idiotą?”. Podkreślam, że nie mam nic przeciwko Snoopy’emu. W ten sam sposób oceniłbym w takim kontekście Królika Bugsa i Myszkę Miki.

Inny podarunek do wykreślenia z listy... Na pewno zrozumiecie: grabarz to taki sam człowiek jak wy i ja – również jestem grabarzem, ale to nieistotne – toteż chce wrócić do domu, pocałować żonę, pobawić się z dziećmi, wyjść z psem na spacer. Planuje wydatki, aby wystarczyło mu do końca miesiąca, z niepokojem śledzi cenę baryłki ropy, decyduje, że jego samochód musi przejechać dwadzieścia tysięcy kilometrów więcej, ponieważ w tym roku nie uda mu się wymienić go na nowy. A wy w przypływie hojności postanawiacie obdarować go złotą spinką do krawata albo spinkami do mankietów z masy perłowej. Kiedy grabarz ma to nosić? Po pracy chętniej ubiera się w dzinsy i T-shirt, więc powinien używać tych dodatków, idąc do pracy. Ale co mógłby powiedzieć, gdyby na widok kosztownych drobiazgów rodziny zmarłych stwierdziły z oburzeniem: „No proszę, można się dorobić na ludzkim nieszczęściu!”. Zgoda, przesadziłem. Na ogół nikt tak nie mówi. Ale wielu tak właśnie myśli.

Postarajcie się wczuć w grabarza, tego, który kocha żonę i dzieci (albo tę, która kocha męża i dzieci), i psa, i świnkę morską, i rodzinę, i przyjaciół. W człowieka, który ma serce jak każdy z nas, a przez całe życie wkłada ludzi do trumny, patrzy na cierpienie, przygnębienie, rozpacz, a różne ponure zdarzenia są dla niego codziennością. Ten człowiek wraca do domu w wigilijny wieczór z radością w sercu, myśląc, że już za chwilę będzie mógł świętować Boże Narodzenie, patrzeć, jak cieszą się dzieci, jak błyszczą girlandy, że w atmosferze tego wyjątkowego dnia zdoła uwolnić się od mrocznych

refleksji... Nie dziwcie się więc, że potraktuje was chłodno, jeżeli rozpakowując drobiazg, który dla niego wybraliście – cokolwiek to jest: czekoladki, butelka wina... – zobaczy drewnianą skrzyneczkę tak bardzo przypominającą trumnę, bo „od razu o nim pomyśleliście”. A on chciał nareszcie pomyśleć o czym innym.

Trzymać zmarłego za rękę

Ten mężczyzna umarł w przytułku, takim dla osób, na których resocjalizację nikt już nie liczył. Alkohol w połączeniu z bezrobociem może, rzecz jasna, każdego doprowadzić do upadku.

Spędził tam tydzień, zanim znalazł go dyrektor. Utknął między ścianą a łóżkiem, na kolanach, twarzą do ziemi. Spadł w tej pozycji i tak już został.

Było pięknie i gorąco, a on był wystawiony na promienie popołudniowego słońca. Ułożenie ciała sprawiło, że krew spłynęła mu do głowy. Przykro było na niego patrzeć. Jego ciało poczerniało, napuchło, a twarz stała się nierozpoznawalna.

Tylko prawa ręka pozostała, o dziwo, praktycznie niezmienną. Błada, oczywiście, ale ani czarna, ani w rozkładzie – ręka człowieka, który zmarł poprzedniego dnia, a nie w ubiegłym tygodniu.

Przewieziono go do kostnicy w chłodzonej skrzyni. Policja miała skontaktować się z rodziną w sprawie pochówku.

Krewni pojawili się tego samego dnia po południu. Dwie córki i zięć zmarłego. Przyjął ich asystent pogrzebowy, ten, z którym przewoziłem zwłoki. I zaczęły się wstępne uzgodnienia.

Po pewnym czasie, kiedy dezynfekowałem jeden ze stołów, ku memu zdziwieniu pojawił się asystent, Gilles. Szedł do mnie wyraźnie podenerwowany.

– Dobra – zaczął prosto z mostu – musimy pokazać rodzinie ciało pana X.

– Nie, to niemożliwe.

– Nie mamy wyboru – odparł krótko Gilles.

– Przeciwnie, mamy wybór. Jest czarny, obrzmiały, zresztą sam wiesz najlepiej, widziałeś go. Nie możemy okazać tych zwłok!

– Chwileczkę, wyjaśnię ci to. Nie było żadnego dochodzenia, nie było sekcji na sądówce. A lekarz nie zalecił ani natychmiastowego złożenia do trumny, ani nie stwierdził choroby zakaźnej. Toteż dla nas, z prawnego punktu widzenia,

facet jest czysty, jakby zmarł dziś rano. Nie możemy zabronić rodzinie zobaczenia zwłok, a zapewniam cię, że jego córki należą do osób, które potrafią zrobić aferę!

– Tylko jedna ręka nadaje się do pokazania...

– W takim razie pokażemy im tę rękę. Będą ją mogły potrzymać ten ostatni raz, zrozumieją, jakoś im to wytłumaczę. Ile czasu potrzebujesz?

– Daj mi dziesięć minut.

– W porządku. Przyjdź po mnie do biura, kiedy go przygotujesz.

Tak też się stało.

W laboratorium wyjąłem ciało z komory chłodniczej, rozsunąłem worek, wyciągnąłem rękę i zacząłem ją myć. Kiedy skończyłem, niemal dało się w niej przejrzeć jak w lustrze. Była idealna i pachniała środkiem do dezynfekcji. Przewiozłem zwłoki do salonu, okryłem płótnem tak, żeby widoczna była tylko ręka. A potem poszedłem do biura po rodzinę.

Wróciłem z nimi do salonu. Tu, na wózku, pod białym całunem, spoczywał ich ojciec, ale widać było tylko jego rękę. Przez chwilę stali w skupieniu, potem jedna z córek spytała, czy mógłbym zostawić ich samych, aby mogli pożegnać się w atmosferze prywatności. Zgodziłem się, wyraźnie zaznaczając, że pod żadnym pozorem nie mogą unosić płótna. Dla ich dobra. Zrobiłem to najtaktowniej, najogłędniej, jak potrafiłem.

Potem wyszedłem drzwiami prowadzącymi do laboratorium. Czekałem tuż za nimi, słyszałem stłumione głosy, szloch, jęk. Obawiając się najgorszego, wszedłem. Wszyscy troje wyglądali na zdruzgotanych, mieli pobladłe twarze, policzki we łzach.

– Nie mogliśmy się powstrzymać, zajrzeliśmy – powiedziała starsza.

Sprawa mogła się na tym skończyć.

Kilka dni później, zaraz po pogrzebie, przyszedł do mnie Gilles.

– Słyszałeś? – spytał.

– Nie, a co? – rzuciłem.

– Córki pana X napisały długi list do centrali, żeby się na nas poskarżyć.

– Co? A co takiego zrobiliśmy?

– Otóż twierdzą, że naraziliśmy je na szokujący i poniżający dla ich ojca

widok. Wbrew ich woli. Nie zamierzają opłacić rachunku.

– Ale... Przecież... nie mieliśmy wyboru.

– Nie. Cokolwiek byśmy zrobili, byłoby źle.

– Więc?

– Więc nic. Dostaniemy naganę za to, że wykonaliśmy swoją pracę.

Dobra reputacja

Przyjechaliśmy do małego bretońskiego miasteczka, żeby wesprzeć kolegów, którzy mieli nawał pracy. Zajęliśmy się złożeniem do trumny, zorganizowaliśmy piękny kondukt do kościoła – to było wspaniałe wejście – a potem, po ułożeniu kwiatów przy trumnie, wycofaliśmy się, by ksiądz mógł w spokoju odprawić nabożeństwo. Na zewnątrz mistrz ceremonii rzucił:

– Co, chłopaki, może postawiłbym wam kawę?

Przyjęliśmy tę propozycję z wdzięcznością i bez chwili wahania. Tymczasem ksiądz odprawiał ekspresową mszę. Spieszył się na następną ceremonię, na drugim końcu rejonu, w którym pełnił posługę. Zawiniła dziewięćdziesięcioletnia wolontariuszka, która prowadziła sekretariat. W ciągu dwudziestu minut, czyli dwa razy szybciej niż zwykle, zakończył mszę, pobłogosławił zmarłego i wiernych, a potem, pośród grobowej ciszy, jaka zapadła, głośno i wyraźnie wypowiedział do grubego kościelnego słowa, które wypełniły kościółek:

– Idź po ludzi z zakładu pogrzebowego. Pewnie siedzą jeszcze w barze.

Stereotypy

Nam, grabarzom, często zarzuca się, że zarabiamy na ludzkim nieszczęściu. Moja odpowiedź jest prosta: tak, to prawda, przyznaję i wcale się tego nie wstydzę.

Zarabiam na życie dzięki nieszczęściu, jakie jest udziałem ludzi, tak jak strażacy żyją z nieszczęścia ludzi uwięzionych w płonących budynkach, jak policjanci zarabiają dzięki nieszczęściom słabych, których trzeba bronić przed agresją, ofiar, które czekają na

sprawiedliwość; tak jak lekarze, pielęgniarki i salowe żyją z chorób i starości, które prędzej czy później dopadną każdego z nas.

Jednak ludzie, którymi się zajmuję, są martwi, a ci, którzy ich opłakują, starają się znaleźć winnego. Czasem mają do nas pretensje o to, że istniejemy, ale co by się działo, gdyby nas nie było?

Poszukiwany

1.

Mężczyzna był sam. Z melancholią patrzył przez okno na Loarę, na którą rozdrażniony *pluviôse* (piąty miesiąc francuskiego kalendarza w okresie Rewolucji) już od wielu dni wylewał bez przerwy strugi deszczu. Teraz przysła chwila wytchnienia, zapewne krótka. W kominku dogorywał ogień, już tylko żar wypalał ostatnie polana, a skrzywienie starego domu, wydanego na pastwę zimna, brzmiało wyjątkowo złowieszczo. Ale mężczyzna nie czuł chłodu. Myślami wybiegał na zewnątrz, ku ojcu, który błędził bez celu i bez pamięci, bo tę odebrała mu choroba Alzheimera. Jednak u podłoża tego wszystkiego leżały dobre intencje. Kiedy poinformowano ich o straszliwej chorobie, ojciec wyznał, że przeraża go myśl o konieczności opuszczenia domu, w którym się urodził, tak jak jego ojciec, dziadek i wszyscy przodkowie. Dlatego mężczyzna przysiągł ojcu, że uczyni wszystko, by mieszkał tu najdłużej, jak to możliwe. Potem choroba czyniła coraz większe zniszczenia, zaczęły się ucieczki – coraz dłuższe, coraz dalsze, coraz częściej kończące się zagubieniem. A ta trwała już od tygodni. Stary człowiek był pod gołym niebem, ubrany w sztruksowe spodnie, wełniany sweter i w ciepłych kapciach. Nic nie chroniło go przed zimnem i wilgocią. Kiedy telefon rozdarł ciszę w dużym domu, mężczyzna nie musiał nawet odbierać, żeby w uszach zabrzmiała mu ta tragiczna wiadomość.

2.

Wędkarz zauważył kręgi na wodzie.

Świetnie – pomyślał – nie wrócę z pustymi rękoma. Deszcz niedawno ustał, więc wędkarz wybiegł z domu stojącego kilka metrów od jeziora, by oddać się swej pasji. Na ramieniu miał torbę ze sprzętem. Przemierzył świat, łowił rekiny w ciepłych morzach, łososie w bystrych strumieniach; był na wodzie i pod wodą – słodką i słoną; widział wszystkie morza i oceany, jeziora i rzeki – każde

miejsce, gdzie mógł złowić rybę. Potrafił zrobić przeręblę w lodzie, żeby dopaść rybę na Alasce, i ustawić kosz w Bretanii, żeby schwytać kraby. Żona podróżowała z nim po świecie, darząc go czułą miłością, i podziwiała krajobrazy, które stanowiły jej pasję. Z czasem zainteresowała się fotografią, a jej zdjęcia były coraz lepsze. Tworzyli zgrane małżeństwo. Byli ludźmi spokojnymi i ze zrozumieniem i zainteresowaniem podchodzili do pasji partnera. Mimowolnie, może nawet nieświadomie, stali się ekspertami – każde w swojej dziedzinie. Toteż kiedy wędkarz zarzucił przynętę, wyczuł branie i po chwili zaczął zwijać żyłkę, by wyłowić zdobycz, od razu zorientował się, że ma na haczyku coś dziwnego. Gdy ciało się wynurzyło, nie spanikował. To nie był jego pierwszy topielec – wiedział, że musi go ściągnąć i odholować w miejsce, gdzie nie będzie mu już groziło pójście pod wodę. Nie spieszył się, ponieważ było dla niego jasne, że zwłoki leżą w wodzie od wielu dni, a może tygodni. Choć odór był paskudny, zachował stoicki spokój. Starannie odłożył sprzęt i poszedł wezwać żandarmów.

3.

Grabarze nerwowo spoglądali na niebo i na lekarza sądowego, licząc, że da im zielone światło i zdążą zabrać zwłoki do zakładu medycyny sądowej, zanim znowu się rozpada. Na zwłokach zostało niewiele – trochę mięśni, kości i strzępy odzieży: filcowy kapeć na jednej nodze, sztruksowe spodnie, wełniany sweter. Twarz była bezkształtną miazgą z dwoma ziejącymi oczodołami. Rozchylone usta przydawały tej twarzy wyrazu zaskoczenia, jakby nieboszczyk dziwił się, że wzbudza takie zainteresowanie.

Grabarze zamykali już worek, kiedy podszedł do nich żandarm.

– Musicie zaczekać, panowie. Mamy człowieka, który twierdzi, że może go zidentyfikować

– Co? W takim stanie?

– Cóż! Wydzwania do nas praktycznie dzień w dzień, pyta, czy odnaleźliśmy jego chorego na alzheimera ojca, który uciekł. Przybliżona data śmierci i ubranie pasują; powiadomiliśmy go, uparł się, że przyjedzie, więc trzeba na niego czekać. Ale mam też dobrą wiadomość – zapraszam na kawę. Podejdźcie do furgonu, tam.

I chroniąc się pod wysuwającym daszkiem, dwaj grabarze popijali ledwie ciepłą kawę z termosu. W pewnym momencie zauważyli światła peugeot, a za kierownicą mężczyznę. Przywitał ich uprzejmie, choć z pewnym dystansem. Powiedział, że chce zobaczyć zwłoki na miejscu. Jeden z grabarzy, ze względu na stan ciała, próbował go od tego odwieść, ale widząc, jak jest opanowany, w końcu otworzył worek. Mężczyzna przez chwilę stał bez słowa, jak skamieniały, potem z jego oczu popłynęły łzy, które w ciszy ściekały po gładkich policzkach.

– To on. To mój ojciec.

– Jest pan pewien? – Żandarm zmarszczył brwi. – Ciało jest w bardzo złym stanie.

– To on. Jestem pewien.

– Ale skąd ta pewność? – nalegał żandarm.

– Widzi pan ten sweter? Przywiozłem mu go z Irlandii. To mój ojciec.

Zapadła cisza. Po chwili mężczyzna wyszeptał:

– Wybacz, tato, nie potrafiłem się tobą zaopiekować. Tak mi przykro... – i łzy polały się z jego oczu.

4.

Autopsja sprowadzała się do badań analitycznych – zewnętrzne oględziny ciała, pobranie materiału – po dwudziestu minutach zakończono pracę i syn mógł odebrać zwłoki.

Udał się do zakładu pogrzebowego, który zajął się przewiezieniem ciała i zorganizował pogrzeb. Syn wybrał solidną mahoniową trumnę, ponieważ chciał, by wszystko było jak najpiękniejsze, zdecydował się na kremację – zgodnie z wolą ojca – bez zmrużenia oka dopłacił w krematorium za twarde drewno, wybrał najpiękniejszą urnę i wykupił wieczyste miejsce, aby pogrzebać prochy w małym grobie, który wymurował. Zamówił pomnik z najrzadszego granitu, zadbał, by nadano mu niepowtarzalny kształt. Potem zamówił karawan – limuzynę do przewozu trumny, oraz dużo kwiatów. Zamieścił nekrolog w najpoczytniejszych gazetach. Odbył się pogrzeb. Był imponujący. Mężczyzna niezwłocznie uregulował rachunek, wręczył żałobnikom hojne napiwki,

serdecznie podziękował pracownikom zakładu, którzy tak troskliwie wypełnili jego wolę, i wrócił do starej rodzinnej rezydencji, by uporać się z cierpieniem i poczuciem winy.

Epilog, po trzech miesiącach...

Mężczyzna otworzył drzwi zakładu. Chciał się widzieć z doradcą, który się nim zajmował. Panowie usiedli w saloniku.

– W czym mogę panu pomóc? – zapytał grabarz.

– Otóż organizował pan ceremonię pogrzebową mojego ojca. To było trzy miesiące temu.

– Tak, doskonale pamiętam!

– Chorował na alzheimera, uciekł.

– Przypominam sobie. Smutna historia.

– Otóż przedwczoraj do mnie zadzwoniono. Przebywa w szpitalu psychiatrycznym pod Paryżem. Błąkał się bardzo długo, a ponieważ kontakt z nim jest utrudniony i nie powiedział, jak się nazywa...

Asystent pogrzebowy słuchał z rozdziawionymi ustami.

– Co do mężczyzny, a właściwie prochów w grobie, nie wiadomo, kto to...

– Doprawdy, nie wiem, co powiedzieć...

– Wystarczy drobny gest: gdyby mógł pan zlecić wykucie na grobie napisu: „Pan X”. Prokurator powiedział, że nie dowiemy się już, kto to był. A ja podpiszę z państwa zakładem umowę na pogrzeb ojca. Ten pierwszy był naprawdę doskonały.

Prawo Murphy'ego

Nadeszła wiosna. Przepędziła w końcu zbyt długą i za ostrą zimę. Przyroda wystroiła się w piękną zieleni, ptaki dopieszczaly swoje trele, radośnie fruwały pod znów lazurowym niebem, a ludzie wychodzili, by powetować sobie długie miesiące w zamknięciu.

Motocyklista pędził ku horyzontowi. Potężna maszyna spełniała wszystkie jego wymagania. Wrażenia były niesamowite, adrenalina i poczucie wolności rozgrzewały krew w jego żyłach. Ławo było wyobrazić sobie, że uśmiecha się za osłoną kasku.

Kierowca także cieszył się tą jazdą przy otwartych oknach. Wiejskie pejzaże Bretanii przesuwaly się przed jego oczyma, nieustannie wprawiając go w zachwyt.

Toteż widok motocyklisty, który nagle wyjechał z prawej strony, bardzo go zaskoczył. Ich spojrzenia się spotkały, oczy kierowcy świdrowały osłonę na twarzy motocyklisty, którego czarne skórzane rękawice gwałtownie zacisnęły się na hamulcach.

A potem doszło do zderzenia. Motocyklista przeleciał nad maską samochodu, wykonał fantastycznego fikołka i zaczął długi zjazd po jezdni, chroniony przez kombinezon z grubej skóry. Nie był jednak pewien, czy ochroni go też przed nadjeżdżającą z przeciwka ciężarówką. Za jej kierownicą siedział porządny gość, który myślał właśnie o prezencie dla wnuka z okazji szóstych urodzin, kolejce elektrycznej. Wyobrażał sobie radość w oczach chłopczyka, syna jego syna, jego dumy... Ale co on tam wyrabia? I gwałtownie obrócił kierownicą. Motocyklista wciąż jeszcze jechał na plecach po jezdni. Zobaczył, jak koła ciężarówki toczyły się, by lada chwila go zmiażdżyć, aż nagle się skrzyły. Przesunął się między nimi i dojechał na plecach do zderzaka samochodu, by w końcu zatrzymać się na nim.

Kierowca auta, człowiek z natury spokojny, zauważył motocyklistę, zaczął hamować pulsacyjnie, manewrując kierownicą tak, żeby go ominąć, nie tracąc kontroli nad torem jazdy. Udało mu się ominąć motocyklistę.

Wszystko zamarło. Pierwszy samochód wbił się w ciężarówkę, która o mało się nie przewróciła, drugi leżał w rowie, a kierowcy wyszli z pojazdów.

– Nikomu nic się nie stało? – rzucił kierowca ciężarówki.

Dwaj automobiliści potwierdzili, że są cali i zdrowi, a potem spojrzenia całej trójki zwróciły się na stojącego pośród wraków motocyklistę.

– No, stary, powinienes zgłosić ten cud w Rzymie. – Kierowca ciężarówki westchnął.

– Uniknął pan śmierci trzy razy w ciągu... pięciu sekund?

Motocyklista sprawiał wrażenie półprzytomnego. Zdjął kask, a jego twarz była niesamowicie blada. Dwaj kierowcy osobówek podeszli do niego.

– Ej, proszę pana! Proszę pana! Co panu jest? Niech pan idzie usiąść w cieniu, o tam, pod drzewem, a my zaraz wezwiemy pomoc.

Pomogli motocykliście usiąść w cieniu, pod drzewem, a sami zajęli się wezwaniem żandarmów i strażaków. Zadbali też – w miarę możliwości – o oznakowanie miejsca, żeby uprzedzić innych kierowców o wypadku. Pracowali w milczeniu – każdy z nich zdawał sobie sprawę, że miał ogromne szczęście.

Po dotarciu na miejsce strażacy najpierw sprawdzili, czy wszyscy dobrze się czują. Trzej kierowcy byli wstrząśnięci, ale dochodzili do siebie.

Potem ratownicy podeszli do motocyklisty. Od razu zauważyli, że jest z nim niedobrze.

– Proszę pana... proszę pana... Proszę pana, słyszy mnie pan?

Już nie słyszał. Siedział oparty o pień drzewa, a broda opadła mu na pierś. Nie oddychał, jego serce przestało bić. Mimo wysiłków ratowników lekarz pogotowia po czterdziestu pięciu minutach od tej chwili musiał wypisać kartę zgonu.

Przeprowadzona na wniosek żandarmerii sekcja zwłok wykazała, że przyczyną śmierci był silny zawał serca spowodowany przez potężny stres.

Dwaj automobiliści i kierowca ciężarówki przyszli na pogrzeb. Przez całą ceremonię patrzyli na nas tak, jakby nas obwiniali.

– Prawo Murphy’ego to empirycznie potwierdzona zasada, zgodnie z którą wszystko, co może się źle skończyć, z całą pewnością skończy się źle.

Miło wypić kieliszeczek

Jesienny wiatr nadciągnął przedwcześnie, a lato i zima już wyciągały do siebie ręce nad skuloną, słabą jesienią. W małym barku, kuszącym urokiem dawnej epoki, zebrało się kilku klientów, którzy zlekceważyli mżawkę, żeby napić się w miłej atmosferze. W sumie pięciu gości.

Czterej z nich stali w rogu baru, tam gdzie zwykle. Zagadywali właścicielkę, prawdziwą duszę tego miejsca, a ona bardzo się z tego cieszyła, bo po pierwsze gawędziła z klientami, których lubiła, po drugie zaś miała dobry pretekst, żeby trzymać się z dala od piątego.

Dokładnie na drugim końcu baru samotny mężczyzna wpatrywał się w kafelki, jasno dając do zrozumienia, że nie życzy sobie niczyjego towarzystwa. Zresztą mało kto odważyłby się do niego odezwać. Skupiony na myślach dalekich od tego miejsca i beztroski wieczoru, oczy miał zapadnięte, a twarz naznaczoną smutnymi bruzdami i wydawało się, że tylko ciężkie troski są w stanie poruszyć tę wykutą z kamienia postać. Mężczyzna miał prawie dwa metry wzrostu, potężne bary, a kufel piwa w jego silnej dłoni wydawał się mniejszy od szklanki.

Otworzył usta tylko po to, żeby powiedzieć „Dobry wieczór!”, a rzucił to słowo jednym tchem, głucho, bez żadnej intonacji, kiedy wchodził, podobnie jak „Dobranoc”, kiedy zapłacił. Choć roztaczał aurę brutalności, nic w jego zachowaniu jej nie potwierdzało.

Jednak patrząc na niego, gdy siedział pogrążony w zadumie, odnosiło się wrażenie, że to góra rozmyślająca nad najokrutniejszym sposobem zabicia myszy. A właściwie – wymordowania wszystkich myszy na całym świecie, tak dla rozrywki.

Krótko mówiąc, facet we wszystkich wzbudzał strach.

Do lokalu wszedł szósty klient. Dołączył do zaprzyjaźnionej grupki, witał się ze wszystkimi, zwracając się do nich po imieniu. On też był stałym bywalcem baru. Zdjął mokry od deszczu płaszcz, pod którym miał uniform grabarza.

Usiadł na taborecie i prowadził wesołą rozmowę z kompanami, nie zwracając uwagi na osiłka przy barze.

A ten patrzył na grabarza, jakby do baru wszedł sam diabeł, by po opróżnieniu kieliszka wyjść, nie płacąc. Wolno dokończył piwo, wstał i ruszył w stronę grupki. Potężna sylwetka zasłaniała światło, podłoga drżała pod jego stopami. Wokół zaległa niezmacona cisza.

Stanął przed grabarzem, wymierzył w niego masywny palec wskazujący i schrypniętym, nieprzywykłym do rozmów głosem krzyknął:

– Ty, tam!

Potem, jakby nie był pewien, czy wyraził się jasno, powtórzył:

– Ty, tam!

Grabarz, który dopiero teraz zauważył, jak niewygodny jest taboret przy barze, poczuł, że krew odpływa mu z twarzy. Ku swemu zaskoczeniu pomyślał o koledze tanatopraktorze, z którym pożegnał się pół godziny temu – kto mógłby wtedy przypuścić, że za kilka godzin grabarz będzie miał jego trokar w sercu! Nie było wątpliwości, że w ten czy inny sposób obraził osiłka z baru i był już trupem.

Tymczasem osiłek zdawał się szukać słów w rozgrzanej do czerwoności pamięci. Po chwili oznajmił:

– Pochowałeś mojego brata!

A więc to o to chodziło! Miał umrzeć, bo pogrzebał brata jakiegoś psychopaty? Podczas pogrzebu musiały pojawić się jakieś problemy, o dziwo jednak nie przypominał sobie żadnego incydentu z tym gościem czy jego rodziną. Był przekonany, że gdyby coś takiego się zdarzyło, zapamiętałby go.

Ale tamten jeszcze nie skończył. Szukał słów i po chwili je dobrał, upewnił się, czy dobrze oddają to, co chciał powiedzieć, a potem stwierdził głosem herolda:

– To było cholernie ładne.

Zastanawiał się, czy powinien coś jeszcze dodać, uznał chyba, że to jest wszystko, położył na barze pieniądze za to, co wypił, dodał cenę drinka grabarza, dał barmance znak, żeby podała temu ostatniemu jeszcze raz to samo, zapłacił i wyszedł bez słowa.

Z tej historii płynie na pewno jakiś morał i grabarz obiecał sobie, że go

odnajdzie, ale potem. Na razie otrząsa się z szoku. Uwierzylibyście? Odkrył, że jest wrażliwy!

Kiepska reputacja

Mężczyzna wszedł do zakładu pogrzebowego i zwrócił się do pierwszej zauważonej osoby, czyli do mnie:

– Przepraszam pana, wie pan może, gdzie w pobliżu jest sklep alkoholowy albo winiarski?

– Przykro mi, ale nie wiem – odparłem.

– Psiakrew, a przecież żona powiedziała: „Zapytaj grabarzy, oni zawsze wiedzą, gdzie można kupić alkohol”.

Notatka służbowa 666–Z (poufna) do wiedzy zakładów pogrzebowych^[2]

Biorąc pod uwagę liczne przypadki przedwczesnego przebudzenia, jakie ostatnio stwierdzono, w trosce o zapewnienie wysokiej jakości usług, również tych świadczonych dawnym zmarłym, uprasza się, aby odtąd stosować poniższą procedurę, gdyby obsługiwany zmarły się przebudził.

1. Należy dbać o stosowny ubiór i – o ile to możliwe – życzliwy wyraz twarzy. W razie potrzeby zaleca się poświęcić chwilę na poprawienie ubioru i otrząśnięcie się z szoku, by zachowywać się spokojnie i z pełną kurtuazją.

2. Nie należy zbyt długo pozostawiać byłego zmarłego w komorze chłodniczej. Trzeba powitać go tuż po jej otwarciu i przygotować koc rozgrzewający, ale rozkładać go tylko w razie konieczności, jako że przedmiot ten może wzbudzić lęk. Idealnym rozwiązaniem jest podanie szlafroka.

3. W związku ze stwierdzonymi ostatnio przypadkami kanibalizmu, o czym mówiono w wiadomościach, należy upewnić się, czy zmarły nie stał się zombie. W tym celu należy zadać byłemu zmarłemu proste pytania i zaproponować gorący napój. Jeżeli przyjmie tę propozycję z wdzięcznością, wszystko jest w porządku. Jeżeli jednak przejawiać będzie chęć wypicia krwi zamiast kawy, zaleca się ucieczkę.

4. W nawiązaniu do punktu 3., jeżeli były zmarły został poddany zabiegom konserwacji ciała albo autopsji, niewątpliwie jest zombie. Należy uciekać.

5. Należy zrzucić winę na służby medyczne i zaprzeczyć, by nasze służby ponosiły jakąkolwiek odpowiedzialność. **NIE WOLNO PRZEPRASZAĆ**, ponieważ przepraszają tylko winni. Należy pamiętać, że lekarze odbyli dziesięcioletnie studia, natomiast wy, skoro trafiliście do zakładu pogrzebowego albo kostnicy, żeby pracować za niewiele ponad pensję minimalną, najwyraźniej macie niewiele więcej niż maturę. Lekarz dobrze zarabia – nie zdejmujcie więc z niego wynikającej z tego odpowiedzialności.

6. Jeśli zmarły jest młody, o miłej powierzchowności i w zasadzie przystaje

do waszych preferencji seksualnych, unikajcie nachalnego patrzenia na niego i powstrzymajcie się od wszelkich niestosownych gestów, nawet gdyby nalegał. Należy pamiętać, że jeszcze kilka minut wcześniej każde z tych zachowań dawałoby podstawy do oskarżenia o nekrofilie. Jeśli to nie wystarczy, zaleca się zimny prysznic. W pojedynkę.

7. Należy zachować jak największą neutralność, udzielając odpowiedzi na liczne pytania, jakie z pewnością zadawać będzie były zmarły. Należy zwłaszcza powstrzymać się od opisu ceremonii prostej (eufemistyczne określenie „tandetnej i taniej”) i skromnej trumny (synonim „z najniższej półki i drewna na skrzynki”) zamówionej przez rodzinę.

8. W nawiązaniu do punktu 7., niezwykle ważne jest, aby zmarły, dopóki pozostaje w naszym zakładzie, nie zdawał sobie sprawy, że stał się nędzarzem, jeśli rodzina zdążyła już roztrwonić spadek.

9. Istnieje możliwość, że po przebudzeniu zmarły trwać będzie w stanie zagubienia, przejawiając skłonność do mistycyzmu. Nie wolno pozwolić, by wciągnął was w ten stan: uznano tylko jeden przypadek zmartwychwstania, doszło do niego około 2000 lat temu, a fakt, że mówi się o nim do dziś, potwierdza jego wyjątkowy charakter. Może się też zdarzyć, że były zmarły myśli, iż rzeczywiście jest nadal martwy. Pamiętajcie, że nie jesteście aniołami. Waszym szefem nie jest Święty Piotr, a dyrektor firmy to nie Bóg Ojciec; pamiętajcie o tym, nawet gdyby on sam zachowywał się, jakby w to wierzył.

I wreszcie, zaleca się dbać o odpowiedni dobór słów:

Nie należy mówić: „Byłeś martwy”. Ale raczej: „Wydaje się, że pański lekarz postawił błędną diagnozę”.

Nie należy mówić: „Zastanawiam się, jak może pan nadal żyć po tej dawce formaliny, którą wstrzyknął tanatopraktor”. Ale raczej: „Teraz przynajmniej nie grozi panu ani katar, ani grypa, ani żadne inne wirusy”.

Nie należy mówić: „Jest pan zrujnowany, dzieci zdążyły już wydać cały spadek po panu”. Ale raczej: „Na procesie, który wytoczy pan szpitalowi, zarobi pan mnóstwo pieniędzy”.

Nie należy mówić: „Tak, tak, jestem aniołem”. Ale raczej: „Proszę tu chwilę poczekać, zaraz powiadomię Boga Ojca”.

Nie należy mówić: „Chce pan całun, żeby się trochę rozgrzać?”. Ale raczej: „Podkręcę ogrzewanie”.

Ochroniarz

Było nas sześciu przy złożeniu do trumny w tym pięknym dworcu. Sześciu? Nie bardzo rozumieliśmy. Był mistrz ceremonii, czterech żałobników, nikogo więcej nie trzeba. Ale był piąty żałobnik. Nie wiedzieliśmy, po co ten piąty żałobnik, a co ważniejsze, nie wiedzieliśmy, który z nas jest tym piątym.

Po złożeniu do trumny wyszliśmy do parku, aby rodzina mogła w spokoju pożegnać zmarłego. Dopiero wtedy mistrz ceremonii zgodził się wreszcie cokolwiek nam wyjaśnić:

– Dobra, wy czterej niesiecie trumnę w kondukcje, jak zwykle. A ty zostajesz tutaj.

Kolega, do którego zwrócił się na końcu, zapytał dlaczego. Mistrz ceremonii odparł, westchnąwszy:

– Bo rodzina nam za to płaci. Nekrologi ukazały się w prasie w całym kraju. Zmarły jest znany wśród zainteresowanych jako człowiek bardzo bogaty i jako kolekcjoner dzieł sztuki. Prawdopodobnie kręcą się tu już wszyscy okoliczni włamywacze i tylko czekają na sprzyjającą chwilę. Dlatego twoje zadanie będzie polegało na krążeniu w pobliżu domu przez cały pogrzeb. Jeżeli zauważysz cokolwiek podejrzanego, wezwiesz policję. Przyjdziemy po ciebie, wracając z cmentarza.

Tak oto nasz kolega dowiedział się, że płacą mu za spacer po parku, a nam za krwawy pot, którym spływaliśmy, dźwigając trumnę i przenosząc dziesiątki olbrzymich wieńców nadesłanych z całego kraju.

Przez chwilę nawet mu zazdrościliśmy. Tylko przez chwilę? Tak, dopóki nie lunęło jak z cebra, bo wtedy, stojąc w kruchcie, przypomniał nam sobie, że w parku nie miał się gdzie schronić.

Poza zasięgiem

Panie Dyrektorze,

w ubiegłym tygodniu Pański zakład pochował mego Wujka. Aż do pogrzebu spoczywał w Waszej kostnicy. Ciocia poprosiła, aby podczas wystawienia trumna pozostała otwarta. Tuż przed zamknięciem wieka musieliśmy ucałować Wujka. To rodzinna tradycja przestrzegana od dawien dawna. Uważam, że to niezbyt higieniczne, nie chciałem jednak skłócić się z całą rodziną.

Kiedy się pochylałem, telefon wysunął mi się z kieszeni i wpadł do trumny. Nie zauważyłem tego od razu, ponieważ mama kazała mi go wyłączyć, więc nie dziwiło mnie, że milczy.

Wszędzie szukałem telefonu. To iCrumble 6 5,5 cala ze wszystkimi opcjami i aplikacjami, które ściągnąłem, w sumie wart tysiąc euro! Na szczęście Wujek nie chciał, żeby go skremowali.

Dlatego myślę, że wpadł do trumny Wujka.

Byłoby dobrze, gdyby mógł Pan szybko go wydobyć, bo wciąż spłacam raty.

Dziękuję.

Podpisano: Pan Chombier

Odpowiedź dyrektora

Panie Chombier,

odnotowałem Pańską prośbę.

Prawo nie zezwala nam na otwarcie trumny przed upływem pięciu lat od jej zamknięcia. Gdy ten czas upłynie, będzie Pan mógł, o ile Pan zechce, zwrócić się do nas, a wówczas sporządzimy kosztorys demontażu i ponownego montażu pomnika, usunięcia ziemi, ekshumacji, kolejnego pochówku z ewentualną wymianą trumny lub złożenia szczątków do półtrumienki.

Być może merostwo poprosi o podanie powodów ekshumacji. Na Pańskim miejscu postarałbym się podać znacznie poważniejszą przyczynę.

Pozwolę sobie dodać, że moim zdaniem mniej kosztownym wyjściem będzie zakup nowego telefonu.

Z poważaniem.

Podpisano: Dyrektor

Komentarz: nie wiem, co stało się potem. Nie wiem też, czy wuj, tam dokąd trafił, miał zasięg.

Ryzyko zawodowe

Pamięci Doktora Nieczytelnego

Jest jeden, a może jest ich wielu, zarazem sławny i zupełnie nieznan. Nic o nim nie wiadomo poza tym, że któregoś dnia się go spotkało. Kiedy jednak próbuje się o nim mówić, jego wspomnienie jest niewyraźne, zamazane, niepewne. Mimo to on pojawia się wszędzie, a miasta to jego ulubiony teren łowiecki. Jego geograficzne oddalenie rodzi wiele pytań: czy jest szybki jak błyskawica? Czy ma dar przebywania w kilku miejscach równocześnie? A może, co wydaje się bardziej pragmatyczne, jest ich wielu? Czy w takim razie są rodziną, sektą, tajną organizacją? Czy to spisek, w porównaniu z którym iluminaci wydają się śmieszni? A jeśli tak, przeciw komu spiskują? Jeśli to rodzina, to który z patriarchów był jej protoplastą? Jego sposób działania jest niezmienny. Pojawia się, wita obecnych, podchodzi do ciała, dokonuje ustaleń, wypisuje świadectwo zgonu i podpisuje charakterem, któremu zawdzięcza swą sławę... Wspomniane świadectwo stanowi podstawę dokumentów administracyjnych, z którymi my, grabarze, urzędnicy administracji, oraz administracja cmentarzy stykamy się na co dzień.

Jego podpis pojawia się każdego dnia pod setkami takich dokumentów. Na każdym widnieje jego marka, nazwisko, sławetna

godność: „Zgon stwierdził doktor NIECZYTELNY”.

Pogrzeb absolutnie nie może odbyć się przed zgonem

Do tej wiązanki idealnie pasowało określenie ładna. Kompozycja była gustowna, układana kwiat po kwiecie, w tonacji fiołkowej przełamanej bielą, co symbolizowało może smutek i czystość uczuć. Ale może nie, bo ludzie nie przywiązują dziś większego znaczenia do symboliki. Była skromna, ale z pewnością kosztowna, jednak wydawała się mała w ogromnej dłoni. Mężczyzna był wysoki, mocno zbudowany, a w progu domu pogrzebowego czuł się najwyraźniej nieswojo. Zdecydował się zostać z tyłu, pozwolić żonie, żeby zajęła się resztą. On niósł kwiaty i powtarzał sobie raz po raz formułkę kondolencji, nad którą myślał przez cały wczorajszy wieczór. Jego żona była drobna i nerwowa. Rzuciło się w oczy, że ta para nie jest oswojona ze śmiercią. Ona i on stali tu, w wejściu do domu pogrzebowego, rozglądając się wokół niemal z lękiem i nie bardzo wiedząc, co robić, dokąd iść, o co zapytać ani nawet – kogo zapytać. Asystent siedział przy biurku. Widział, że podjechali na parking, i czekał na nich, ponieważ jednak nie przyszli do niego, postanowił wyjść im na spotkanie. Na jego widok para poczuła wyraźną ulgę, jednak nadal oboje byli mocno wycofani. Wyglądali na czterdziestolatków, ale sprawiali wrażenie ludzi, którzy po raz pierwszy w życiu widzą grabarza. Dotąd los oszczędził im żaloby. Po krótkim, powściągliwym powitaniu grabarz spytał:

- W czym mogę pomóc?
- Przyszliśmy zobaczyć panią Chombier. Jest u państwa?
- Pani Chombier? Nie, przykro mi...
- Doprawdy? Ale przecież w nekrologu w prasie informowano, że pani Chombier była tu, w państwa domu pogrzebowym.
- Tak, to prawda. Pani Chombier rzeczywiście była u nas w domu pogrzebowym.
- A! Skoro tak, to gdzie teraz jest?
- Otóż w gazecie zaznaczono też, że ceremonia pogrzebowa pani Chombier odbędzie się dwudziestego siódmego.

– Tak, dwudziestego siódmego o czternastej trzydzieści, czyli dziś po południu. A my pragnęliśmy przedtem ją zobaczyć...

– Bardzo mi przykro, proszę pani, ale dziś jest dwudziesty ósmy.

Najprawdopodobniej w błąd wprowadził ich nieszczęsny zbieg okoliczności – z przyczyn technicznych nekrolog nie ukazał się dwudziestego szóstego, w przededniu pogrzebu, ale wydrukowano go dopiero dwudziestego siódmego, nie zmieniając formuły. Kobieta, pod wpływem emocji, nie zauważyła błędu i dlatego pomyliła się o jeden dzień!

Teraz zastanawiała się nad wyjściem z tej sytuacji: iść złożyć kwiaty na grobie, wysłać kondolencje. Jej mąż z kamienną twarzą uniósł potężną rękę, mówiąc jakby do siebie:

– Wczoraj o czternastej trzydzieści? – Spojrzał na zegarek, potem na żonę, i rzucił: – Spóźnimy się!

Czy wiecie?

Tanatopraksja

Słowo tanatopraksja jest stosunkowo nowe, można powiedzieć, że zostało skonstruowane z elementów przez André Chatillona, który utworzył je od imienia greckiego boga śmierci Tanatosa, oraz praxein – manualnego działania o charakterze medycznym. W ten sposób nazwano zabieg chirurgiczny na zmarłym, którego chroni się w ten sposób przed rozkładem. W latach sześćdziesiątych takie zabiegi wykonywali na ogół lekarze. Tanatopraksję nazywa się też „zabiegami konserwacji”, a specjalista, który je wykonuje, to tanatopraktor (tanatopraktyk). Nie należy mylić współczesnej tanatopraksji (zastąpienia płynów ustrojowych formaliną) ze starożytnym balsamowaniem, związanym z usunięciem narządów wewnętrznych. Anglosasi i Kanadyjczycy nadal używają terminu „balsamacja”, obejmując nim zabiegi tanatopraksji.



Oszustwo, pomoc społeczna i telefonia

W zakładach pogrzebowych na biurkach stoi pewien osobliwy przyrząd. Przeważnie zrobiony z plastiku, metalu i odrobiny kauczuku – umiejętnie połączonych – nosi nazwę „telefon”. Fascynujące jest w nim to, że kiedy przykładamy słuchawkę do ucha, wydobywają się z niej głosy. Ale te głosy czasami mają skłonność do plecenia bzdur.

Przykład:

Ja: Zakład pogrzebowy, słucham!

Głos: Dzień dobry, mówi Durand, asystentka społeczna z domu spokojnej starości Jesienne Liście. Dzwonię, ponieważ tej nocy zmarła pani Martin, która zawarła z państwem umowę na pogrzeb.

Ja: Proszę chwilę poczekać, już sprawdzam... Zgadza się. Uwzględniono w niej transport do domu pogrzebowego, więc zaraz wyślę do państwa ekipę, o ile oczywiście lekarz wystawił świadectwo zgonu.

Głos: Tak, tak, mamy świadectwo, lekarz właśnie wyszedł. Podam panu też dane jej córki.

Ja: Dobrze, uzgodnimy z nią szczegóły organizacyjne i tak dalej...

Głos: Trzeba ją też powiadomić. Proszę zrobić to delikatnie, bardzo kochała matkę.

Ja: Słucham? Nie powiadomiła pani rodziny?

Głos: Nie, myślałam, że pan to zrobi. Dla pana informowanie o czyjejs śmierci to codzienność, prawda?

Ja: Nie, nigdy tego nie robiłem i mam nadzieję dotrzeć do emerytury, nie robiąc tego. Przepraszam, ale od jak dawna jest pani asystentką społeczną?

Głos: Od tygodnia, niedawno skończyłam szkołę. Ale skoro pan tego nie robi, to kto?

Ja: W domach starców to zadanie należy albo do asystentki społecznej, albo do dyrektora, do opiekunów, albo do kogokolwiek, kto jest tam zatrudniony

i ma odrobinę taktu. Ale nigdy, przenigdy, nie zajmuje się tym zakład pogrzebowy.

Głos: Ale ja nie jestem w stanie tego zrobić.

Ja: Ja też nie. Z tą różnicą, że ja nie zrobię tego, ponieważ to nie moja praca. To pani obowiązek. Dobrze, w takim razie wysyłam ekipę i czekam na telefon rodziny. Odwagi, do usłyszenia!

Uprzedziłem ekipę, na wypadek gdyby okazało się, że ta mała ma smykałkę do oszustw. Był wczesny ranek, a córka zmarłej zadzwoniła dopiero wieczorem. Właśnie przekazano jej wiadomość. Nie odważyłem się dopytywać, kto to zrobił.

Wyjaśnię tylko, że żaden zakład pogrzebowy nie informuje o zgonie, ponieważ przekazać komuś wiadomość o śmierci bliskiego, a zaraz potem pytać, jakiego rodzaju trumnę chce kupić – tylko troszkę koloryzuję – to rzeczy, które nie idą ze sobą w parze. Miałoby to fatalny oddźwięk psychologiczny. Rozumiecie? Kompleks hieny...

Pośmiertna porównywarka cen

Dzwoni telefon. Odbieram. Zwykle tak właśnie robię w tej sytuacji.

Ja: Dzień dobry, zakład pogrzebowy!

Wiem: „dzień dobry”. Temat ciągłych dyskusji. Należy czy też nie należy mówić „dzień dobry”? I nic nie zapowiada, by ten spór został szybko rozstrzygnięty. Zaznaczę tylko, że staram się nie zachowywać jowialnie.

Kobieta: Dzień dobry, otóż... dzwonię, ponieważ zmarł mój mąż.

Ja: Moje kondolencje.

Kobieta: Dziękuję, to uprzejme z pańskiej strony. Otóż chciałabym uzyskać kilka informacji.

Ja: O organizacji jego pochówku? Tak, oczywiście. Należy zacząć...

Kobieta: Nie, nie, został już pochowany.

Ja: Tak? No cóż... W czym jeszcze mogę pani pomóc?

Kobieta: Otóż skorzystałam z usług innego zakładu i wydaje mi się, że koszty były nieco za wysokie, więc chciałabym poznać pańską opinię.

Ja: ...

Spróbujcie się postawić na moim miejscu: albo konkurencja okazałaby się tańsza od nas (byłoby trudno, ale jednak to możliwe) i musiałbym to przyznać. W sumie to nic strasznego, ale sytuacja wydała mi się żenująca. Albo konkurencja byłaby od nas droższa, więc musiałbym wypowiedzieć się krytycznie o działającym na wolnym rynku zakładzie, a na to nigdy sobie nie pozwalałam. Tego nie robi się konkurencji, chyba że ta konkurencja działa nieuczciwie, wykorzystując klientów.

A w tym wypadku nie było mowy o żadnym nadużyciu.

Zakład, o którym mówiła, był profesjonalny, pracownicy odpowiedzialni, okazujący szacunek zmarłym i pogrążonym w żałobie rodzinom. Pracowali bardzo dobrze. Po prostu właściciel zakładu miał opinię człowieka, który lubi pieniądze i dyktuje dość wysokie ceny. To była jego sprawa, ludzie mieli wybór

– iść do niego albo wybrać inny zakład. Ale po dwudziestu latach od wprowadzenia prawa o swobodnym wyborze zakładu pogrzebowego wielu jeszcze tego nie zrozumiało.

Krótko mówiąc, znalazłem się w kłopotliwym położeniu i uważam, że ta osoba była wyjątkowo bezczelna.

Porównaliśmy więc – ona z wielkim zainteresowaniem, a ja z dużą niechęcią – taryfy obu zakładów. Okazało się, że mój kolega po fachu był – przepraszam za słowo – „cholernie” drogi i dużo droższy od nas. Nawiasem mówiąc, powtarzam tylko przymiotnik, jakiego użył jeden z jego pracowników, mówiąc mi, że „cholernie dobrze tam płacą”. Coś za coś.

Zaczynałem już przeklinać w duchu tę kobietę. Jeżeli kupuję lodówkę w Darty, to nie dzwonię do Conforamy, żeby się dowiedzieć, czy tam zapłaciłbym mniej.

Ale *clou* programu było jeszcze przede mną.

Proszę postawić się na moim miejscu. Streszczam: kobieta dzwoni, żeby mi powiedzieć, że wybrała inną firmę, i pyta, czy nie zrobiłaby lepiej, zwracając się do mnie. Okazuje się, że nie miałem nawet szansy przedstawić jej kosztorysu, zanim dokonała wyboru, a konkurencyjna firma faktycznie jest dużo droższa. Rozumiecie mnie?!

I właśnie wtedy pani spytała oskarżycielskim tonem: I jak pan wyjaśni taką różnicę ceny?

Ja: Nie wiem, proszę pani.

Ona: Bo na przykład różnica dwustu euro za zabiegi konserwacji to niesłychane!

Ja: Owszem, ale nie wiem, czy nie było to na przykład w dniu wolnym od pracy albo w nocy, nie powiedziała mi pani...

Ona: Nie, to było w ciągu dnia, w zwykły dzień tygodnia. A gdyby nawet, dwieście euro więcej za noc albo weekend to rozbój w biały dzień!

Ja: Nie powiedziałem przecież, że tak to wygląda u...

Ona: No a na przykład karawan – u was kosztuje sto euro mniej, jak pan to wyjaśni?

Ja: Nie wiem.

Ona: Właściwie nic pan nie wie! Praktyczna metoda! Już wiem, że cały ten biznes pogrzebowy to mafia! Nie dziękuję panu i nie pozdrawiam! – syknęła mi do ucha.

I rozłączyła się.

Już od czterech lat zastanawiam się, jaki morał płynie z tej historii. Dodam: „grzeczny” morał.

Zły plan

Mieliśmy wykonać pochówek. W pieczarze. Banalny, klasyczny.

Wspomniany grób zamykała przykryta ziemią kłapa. Mówi się, że to otwarcie od przodu, w odróżnieniu od otwarcia od góry, kiedy trumna spuszczana jest poziomo.

Kamieniarz odsłonił miejsce, gdzie powinno znajdować się otwarcie. Niczego nie znalazł. Rozejrzał się zakłopotany: po lewej stał betonowy pojemnik, który służył jako śmietnik na zielone odpady z cmentarza, po prawej nagrobek, a z tyłu biegła wąziutka alejka. Niemożliwe, żeby z tamtej strony znajdowało się otwarcie. Doświadczony kamieniarz widywał już takie aberracje, toteż dokładnie sprawdził miejsce.

Odetchnął z ulgą, gdy niczego nie znalazł. Krótka przerwa: jak otwiera się ten grób?

Postanowił zebrać informacje.

– Nie, to nie jest otwarcie od góry, tylko boczne. Boczne... Chwileczkę...

– Wiecie może, kiedy ostatnio kogoś tu pochowano?

– W latach osiemdziesiątych.

– Uhm! Okej! A kiedy tu się pojawił ten wspaniały śmietnik z betonu?

– W latach dziewięćdziesiątych, dlaczego pytasz?

– Z ciekawości.

– Co, może uważasz, że jesteśmy tacy durni, żeby ustawić betonowy śmietnik na otwarciu grobu?

– Nie, nie. Oczywiście, że nie. Masz coś przeciwko temu, żebyśmy zerknęli na stare plany cmentarza w archiwum? Tak dla pewności?

No i oczywiście gmina ustawiła betonowy śmietnik tak, że zablokował otwarcie starej pieczary. Było tam wolne miejsce, dobra lokalizacja, ale nikt nie zadał sobie pytania, dlaczego na tym przepełnionym cmentarzu tak interesujący skrawek ziemi pozostał niewykorzystany...

Stereotypy

Wciąż słyszymy, że śmierć jest kosztowna, a narodziny darmowe. To nieprawda.

Przeciętny koszt pogrzebu we Francji wynosi od 2800 do 3200 euro. Przeciętne koszty narodzin szacuje się na 7000 euro. Ale koszty narodzin pokrywa ubezpieczenie społeczne, podczas gdy za śmierć płaci się z własnej kieszeni. Istnieje niewiele wariantów na narodziny, natomiast bardzo szeroki wachlarz możliwości organizacji pogrzebu: ceremonia świecka albo religijna – w kościele, świątyni, meczecie; złożenie zwłok do grobu albo kremacja, a po niej złożenie prochów do grobu albo kolumbarium, albo rozsypanie... Mamy wybór, to wolność rynku funeralnego. Zawsze można zwrócić się do służb państwowych, aby te pokryły koszty pogrzebu, ten jednak i tak jest płatny – pobiera się od nas składki ubezpieczeniowe, podatki, rozmaite opłaty. Pamiętajmy, że w związku z ewentualnym pokryciem kosztów pogrzebu przez państwo narażamy się na to, że pewne rozwiązania zostaną nam narzucone. Aby ujednoczyć pochówki, ograniczyć ich koszt czy też po prostu w duchu egalitaryzmu. Ostatecznie wola, wiara i zasady jednostki utraciłyby znaczenie, obowiązywałoby tylko prawo. Cena pochówku jest zatem łatwa do obliczenia: to cena wolności.

Pieskie życie

Mężczyzna zapadł na przewlekłą chorobę. Chciał umrzeć we własnym domu pośród wspomnień i spoczywał teraz w salonie na specjalistycznym łóżku.

Gdy nadszedł dzień pogrzebu, ekipa grabarzy pojawiła się w domu. Od razu zauważyli, że cała rodzina zebrała się w kuchni, a nie przy zmarłym. Mistrz ceremonii poszedł się przywitać i zapytał, czy możemy wejść do salonu, żeby zainstalować sprzęt. Zauważył pewne zakłopotanie.

– Mamy problem – powiedział w końcu syn. – Pies ojca był do niego bardzo przywiązany.

Westchnął.

Teraz leży na łóżku. Nikomu nie pozwala podejść.

– Dlaczego nie wezwali państwo weterynarza?

– No nie, przecież nie chcemy zrobić mu nic złego, chyba pan rozumie, znamy go od dawna, a poza tym jego wierność wobec taty jest wzruszająca.

– Dobrze, zobaczymy, co da się zrobić.

Grabarze ostrożnie weszli.

Na łóżku, w którym spoczywał zmarły, leżał piękny pies – wyciągnął się jak długi i trzymał kufę kilka centymetrów od zimnego policzka swego pana, wpatrując się w niego ze smutkiem. Kiedy zobaczył grabarzy, odwrócił łeb, podniósł się, obnażył lśniąco białe ostre kły i wydał groźny, dziki pomruk, taki, jaki sprawiał, że jaskiniowcy skupiali się w zwartą grupę – dziki ryk rannego zwierzęcia, które gotowe jest zabić.

Dzielni grabarze czym prędzej się wycofali. Kiedy znaleźli się w holu, sprawdzili, czy nie usłyszy ich rodzina, a potem jak jeden mąż zwrócili oczy na mistrza ceremonii.

– Powiedzmy sobie jasno, nie płacą nam za to – rzekł jeden, po dwudziestu latach spokojnej pracy ujawniając, że jest związkowcem.

Mistrz ceremonii powiódł wzrokiem po twarzach członków swojej ekipy.

- Chłopaki, chyba nie zostawicie mnie samego!
- A co mamy twoim zdaniem zrobić? Widziałeś to bydłę?
- To tylko pies... – próbował mistrz ceremonii.
- Nie, to nie jakiś piesek, ale pięćdziesiąt kilo mięśni! Nie żarł nic od dwóch dni i nie podobało mi się, jak gapił się na moją szyję! Idź tam, jeśli chcesz!
- Dobra, chłopaki, idę – powiedział mistrz ceremonii.

I poszedł pomówić z krewnymi. Próbował wynegocjować wezwanie weterynarza, raka, strzelców wyborowych z oddziałów specjalnych policji czy kogokolwiek innego, ale nie gromadki wystraszonych grabarzy. Krewni, choć bardzo uprzejmi i pełni zrozumienia, odrzucali możliwość interwencji osób trzecich, bojąc się, że zostaną zmuszeni do uspienia psa. Ich obawy były irracjonalne, dopóki zwierzę nikogo nie okaleczyło, gdyby jednak dalej nikt nic nie zrobił, taki czarny scenariusz w końcu by się ziścił.

Tymczasem w holu jeden z grabarzy zaczynał się buntować.

– Nikt nie powie, że zebrałem manatki i zostawiłem zmarłego! Dziesięć lat w zakładzie pogrzebowym, dwadzieścia lat kopania grobów od brzasku, w zmrożonej ziemi, rękami, które przymarzały do łopaty... Nie ma mowy, żebym uciekł z podkulonym ogonem przed tym rozpieszczonym kundlem!

Koledzy przytakiwali. Poczerwienieli z zawstydzenia, wyobrażając sobie, że przyjdzie im stanąć twarzą w twarz z rodziną jedyne go odważnego i oznajmić, że trzymali się związkowych zaleceń, podczas gdy tuż obok ich kolegę rozszarpywał daleki kuzyn Fenrira. Postanowili zjednoczyć siły i zmobilizować odwagę. *Siły* w liczbie mnogiej, *odwagę* – w pojedynczej.

I poszli do mistrza ceremonii, przedstawili mu swój plan, a on poinformował krewnych o tym, jak można rozwiązać problem. Uzyskał ich zgodę, zwłaszcza że czas mijał i ksiądz zaczynał się niecierpliwić.

A plan był prosty: jeden z grabarzy odwróci uwagę psa, a drugi w tym czasie pójdzie otworzyć balkon. Dwaj pozostali z mistrzem ceremonii mieli użyć kołdry jako sieci, żeby złapać psa i wyrzucić go na taras, błyskawicznie zamykając mu przed nosem przeszklone drzwi. Taras był otoczony wysokim płotem, którego pies nie mógł przeskoczyć. A skargi sąsiadów? To już nie był problem grabarzy.

Plan był samobójczy, beznadziejnie głupi, szansa powodzenia jeden do

miliona.

Krewni zebrali się w holu, stanęli w półkolu jak Rzymianie wokół areny cyrkowej. Gabarze weszli, trzymając się w rozsądnej odległości od psa, który bacznie ich obserwował.

Napięcie było wręcz namacalne. Ale kiedy trzeba rozwiązać problem, trzeba zaryzykować...

– Chwileczkę, panowie – dobiegł ich cichy głos.

To była wdowa. Dreptała przez pokój, niosąc miskę z wodą i drugą – z karmą. Wyszła na otwarty taras, postawiła naczynia i wróciła drobnym krokiem do najbliższych, przez cały ten czas obserwowana przez dziesięć par zdumionych oczu, w tym psie.

Zapadła cisza.

A potem wszystko potoczyło się bardzo szybko. Grabarz-przynęta potrząsał wszystkimi zabawkami, które wpadły mu w ręce, podskakując i odmawiając *Ojcie Nasz*, tak na wszelki wypadek, a jego trzech koledzy zarzucili kołdrę na psa, doskoczyli, żeby go w niej uwięzić, przenieśli skomlący węzełek na taras, rzucili i błyskawicznie cofnęli się do pokoju, a pchnięte przez dwóch pozostałych skrzydła drzwi zatrasnęły się tuż za nimi. I tak to się skończyło, bo pies, kiedy już wyplątał się z kołdry, ujądał, ale raczej bez przekonania, jakby pogodził się z porażką. Złożenie do trumny i zabranie zwłok już się nie przeciągały.

Dalszy ciąg ceremonii przebiegał bez istotnych problemów.

W drodze powrotnej jeden z grabarzy wyglądał na zatroskanego. Koledzy zapytali, czym się tak martwi.

– Niczym. Ja tylko współczuję temu nieszczęśnikowi, który będzie musiał uwolnić psa.

I cała ekipa pogrążyła się w zadumie, w ten sposób zachowując pełną powagę minutę ciszy.

Halo, karawan, jest pan wolny?

Wóz jechał ostrożnie, choć nie wiadomo dlaczego. Centrum miasta o tej popołudniowej porze było wyludnione, ale kierowca wolał uważać. Licho nie śpi, czai się za każdym rogiem.

Tym razem wyskoczyło pod postacią roztargnionego przechodnia zza zaparkowanej ciężarówki. Przygarbiony, z opuszczoną głową, wpatrzony w ekran smartfona, sprawiał wrażenie bez reszty zaabsorbowanego niezwykle ważnymi sprawami. Te sprawy prawdopodobnie nie miały żadnego wpływu na jego życie, mogły je jednak zdecydowanie skrócić, gdyby kierowca nie wykazał się refleksem. Wcisnął hamulec i samochód stanął.

Tymczasem pieszy, którego dla uproszczenia narracji nazwiemy „oszołomem”, szedł dalej, jakby otaczała go szklana kula beztroski i czegoś w rodzaju „gwizdę na wszystko”, i nawet nie zauważył, jak niewiele brakowało, by spotkało go nieszczęście, któremu ledwie zdołał zapobiec ktoś inny.

Rozgniewany kierowca opuścił szybę, żeby zwymyślać oszołoma, który wcale go nie zauważył. Karawaniarz wziął głęboki wdech i wrzasnął na całe gardło.

– Ej! Tym, których rozjeżdżam, zapewniamy darmowy transport.

Przechodnie w promieniu kilku metrów zatrzymali się, żeby zobaczyć, co się dzieje. Oszołom też nagle wyskoczył ze swojej szklanej kuli. Patrzył na karawaniarza, jakby się zastanawiał, co znaczą te słowa. Potem, kiedy zwrócił oczy na maskę auta, poruszył ustami, bezgłośnie odczytując to, co było na niej napisane: „Usługi pogrzebowe – 7 dni w tygodniu, całodobowo”.

Wciąż zagubiony, zwrócił oczy na kierowcę, jakby nad czymś rozmyślał. Kiedy przyszło olśnienie, na jego twarzy dokonała się gwałtowna zmiana: zamarł z przerażenia i wytrzeszczył oczy, jakby zmagął się na konsoli z wyjątkowo trudnym przeciwnikiem na ostatnim poziomie gry. Wydukał kilka niezrozumiałych słów, przepraszając.

– Dobra, miły z ciebie gość – przerwał mu grabarz – ale mam już z tyłu klienta. Poczekaj na następny karawan. A teraz zejź z drogi.

Oszołem grzecznie wszedł na chodnik.

Zerkając w lusterko wsteczne, grabarz stwierdził z satysfakcją, że oszołem schował telefon i szedł, rozglądając się nerwowo, jakby nagle świat stał się dla niego groźny.

Pamięć to obowiązek

Mężczyzna nie żył od wielu dni, ciało było w stanie zaawansowanego rozkładu. Prawdę mówiąc, było przerażające. Cała rodzina zebrała się w biurze z moją koleżanką. W pewnej chwili ta przyszyła do mnie.

– Litości, powiedz mi, że lekarz nakazał natychmiastowe złożenie do trumny.

Na dużym stole, gdzie kładliśmy dokumenty, znaleźliśmy świadectwo zgonu. Wszędzie zakreślono NIE.

– Chcą go zobaczyć, naprawdę chcą go zobaczyć, jestem w tarapatkach – oznajmiła koleżanka.

Byłem bardzo zdziwiony – miała duże doświadczenie w tej pracy, a przede wszystkim doskonale wczuwała się w psychikę ludzi i potrafiła do nich trafić. Pomyślałem, że ci muszą być wyjątkowo uparci, skoro nawet ona sobie z nimi nie radziła.

Zaproponowałem, że ja spróbuję ich przekonać. Skoro jej łagodna perswazja nie działała, może trzeba zachować się trochę brutalniej. A to potrafiłem.

Pięć minut później stałem w biurze przed rodziną – ojcem, matką, braćmi, siostrami, szwagrami i szwagierkami zmarłego, ale mimo moich perswazji nadal chcieli go zobaczyć.

Podzieliliśmy się z koleżanką rolami dobrego i złego grabarza i w końcu udało nam się wzbudzić w nich wątpliwości.

Wtedy na scenę wkroczył dziadek. Dotąd siedział na krześle i nie odzywał się ani słowem. Był uosobieniem siły spokoju. Teraz też tylko uniósł głowę, rozchylił usta, by zacząć mówić, i wszyscy natychmiast ucichli.

– Pójdę tam za was i powiem.

Zgodnie pokiwali głowami. Starszy pan wstał, wsparł się na lasce, spojrzał na mnie i powiedział:

– Proszę mnie do niego zaprowadzić.

Wymieniliśmy z koleżanką spojrzenia – teraz nie mieliśmy już wyjścia.

Po drodze próbowałem go jeszcze przekonać:

– Muszę pana uprzedzić, co pan zobaczy...

Stanął. Spojrzał mi prosto w oczy. Podwinął rękaw i pokazując tatuaż, powiedział tylko:

– Na pewno widziałem w Dachau gorsze rzeczy.

Nie musiał już nic dodawać. Osłupiałem: wbiłem sobie do głowy, że muszę mu wytłumaczyć, co to jest przerażający widok. Ja jemu! Co za wstyd, hańba, pragnąłem, żeby ziemia rozstała się pode mną i żebym się pod nią zapadł. Ale on bardzo uprzejmie rozmawiał ze mną o „trudnej pracy”, którą wykonywaliśmy. Starając się odpowiadać, nie bredząc, marzyłem przede wszystkim, żeby nie zrobić z siebie idioty. A właściwie – żeby nie zrobić z siebie jeszcze większego idioty.

Szliśmy długim zimnym korytarzem części technicznej. Urzędnik, który wypełniał papiery, spojrzał na nas z zaskoczeniem. W kilku słowach wyjaśniłem mu sytuację. On także próbował przekonać starszego pana, ale gestem kazałem mu zamilknąć. Zrozumiał.

Weszliśmy do laboratorium. Wyjęliśmy ciało na metalowych noszach, rozchyliliśmy pokrowiec – ukazały się zwłoki.

Drobny staruszek drgnął, ale było to ledwie zauważalne. Jakby kiwał się w przód i w tył, lekko. Potem się opanował i podszedł do ciała. Bardzo blisko.

– Mój biedaku, mój biedaku – szepnął.

Potem, po chwili skupienia, podziękował laborantowi, zwrócił się do mnie i powiedział:

– Możemy wracać.

I wróciliśmy.

Kiedy wszedł do biura, skupiły się na nim spojrzenia całej rodziny. Staruszek usiadł, napił się wody, którą mu podałem, a potem powiedział krótko:

– To dobrze, że nie poszliście. Pożegnałem go od was.

I już bez większych problemów ustaliliśmy szczegóły pogrzebu.



Ryzyko zawodowe

Kilka lat temu, kiedy jeszcze byłem kawalerem, poszedłem z przyjaciółmi na koncert do klubokawiarni. To było jak grom z jasnego nieba: młoda, cudowna kobieta, którą natychmiast zagadnąłem. Szybko okazało się, że bardzo dużo nas łączy i że najwyraźniej bardzo się sobie spodobaliśmy. Śmiejąc się z żartu, który właśnie rzuciłem, zapytała:

– A właśnie, nawet nie zapytałam, kim jesteś z zawodu?

Również z uśmiechem odparłem:

– Pracuję w zakładzie pogrzebowym.

Uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy. Odstawiła kieliszek, chwyciła torebkę, która stała pod jej nogami, wstała i odeszła, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć. Nigdy więcej jej nie widziałem.

Upłynęło dziesięć lat, a ja nadal na nieuniknione pytanie o zawód odpowiadam: nie wiem.

In vino veritas

Alkohol to plaga; a w każdym razie tragedia dla wątroby tej poczciwej, wiecznie spragnionej kobieciny, którą boska flaszką przywiodła prosto z winiarni do kostnicy. My więc odprowadziliśmy ją na cmentarz, gdzie dołączyła do zmarłego męża, z którym za jego życia dzieliła upodobanie do trunków. Mistrz ceremonii znał tę rodzinę, bo pochował większość jej członków i nigdy żaden mięsień jego twarzy nie drgnął, choć nad trumną, gdy ją zamykano, unosiły się wyziewy alkoholowe.

Ja podążałem za nim jak podekscytowany psiak: niedawno zdałem egzaminy i uzyskałem prawo zdobywania u boku mistrza sztuki funeralnej wiedzy koniecznej, by także zostać mistrzem ceremonii.

Przy złożeniu do trumny ogarnęły mnie wątpliwości. W progu kościoła ogarnęły mnie wątpliwości.

Przyglądając się uważnie synom zmarłej, kiedy obaj wychodzili z kościoła, otoczeni przez żony i potomstwo, przysunąłem się do mojego instruktora i zapytałem szeptem:

– Jeżeli się myślę, przerwij mi... ale... Oni są kompletnie pijani czy co?

A on, bardzo spokojny, zwrócił na mnie drwiące spojrzenie i powiedział:

– Ja też odniosłem takie wrażenie...

To stawało się uderzające, jeśli przez chwilę się ich obserwowało – obaj stali wyłącznie dzięki temu, że każdego wspierała z jednej strony małżonka – pełna godności i obojętna, a z drugiej najstarsze z dzieci – przynajmniej gdy zataczanie się i rozkołysanie przybierały na sile.

Przygotowaliśmy się do przejścia na cmentarz. Odległość, jaką trzeba było pokonać, wynosiła około trzystu metrów.

Wtedy jeden z braci podszedł do mistrza ceremonii, a gdy ten skinął głową, oddalił się. Gdy siedzieliśmy już w karawanie, spytałem, o czym rozmawiali. Wyjaśnił spokojnie:

– Powiedział mi, że spóźnią się kilka minut. Jest tak gorąco, że zachciało im

się pić, więc wejdą do barku, niedaleko stąd, żeby napić się wody.

Czekaliśmy na nich kwadrans. Nawiasem mówiąc, tylko na synów nieboszczki, bo ich zobojętniałe żony i dzieciaki czekały grzecznie na cmentarzu na powrót braci.

W końcu, trzymając się pod ręce i wzajemnie na sobie polegając, dwaj bracia zdołali dotrzeć do grobu. Ich nadejście czuło się z daleka, a opary alkoholu gęstniały, w miarę jak się zbliżali.

Podczas ceremonii pożegnania praktycznie nie zwracałem uwagi na swojego mistrza, tak bardzo fascynował mnie rozkołysany balet tych dwóch. Byłem gotów się założyć o to, który upadnie pierwszy. Wygrałbym, stawiając na starszego. Nagle przechylił się do tyłu i runął w krzaki, które rosły za nim. Synowi, który pospieszył mu z pomocą, dał znak, że nic mu się nie stało, i leżał tak, zawieszony na roślinnym łożu, zbierając myśli i usiłując zrozumieć płynące znad grobu słowa. Podobnie wyglądało błogosławieństwo. Każdy z braci, wspierany przez małżonkę i potomstwo, podszedł do trumny, z wysiłkiem wycelował kropidłem i nakreślił znak krzyża wodą święconą, która przypomina o chrzcie – wszystko zgodnie ze zwyczajem. Jednemu udało się to w połowie, drugi pokropił mistrza ceremonii, którego stoicki spokój wzbudziłby podziw najbardziej srogiego obserwatora.

Nadeszła chwila, której się obawialiśmy.

Po błogosławieństwie spuściliśmy trumnę do grobu. Potem jest chwila na „ostatnie spojrzenie”, kiedy bliscy kolejno podchodzą do otwartego grobu, aby się pożegnać. Dość powszechną praktyką jest olimpijski rzut kwiatem: rzuca się różę albo inny kwiat, starając się trafić w trumnę.

Wymaga to, by niebezpiecznie zbliżyć się do dołu.

Pierwszy z braci rzucił różę, nie celując. Wylądowała na skraju grobu. Już chciał się pochylić – tuż nad otwartym grobem – żeby ją podnieść i jeszcze raz spróbować szczęścia, ale jego syn, obawiając się fatalnego skutku takich manewrów, szybko chwycił kwiat i rzucił na trumnę. Mężczyzna podziękował mu skinieniem głowy, odsunął się, by zwolnić miejsce dla brata, i wtedy osunął się na kamiennego Chrystusa zdobiącego sąsiedni nagrobek. Chrystus nic nie powiedział.

Drugi brat zachował mgliste wspomnienie niepowodzenia z kropidłem, więc

mocno się skupił. Przymknął jedno oko, wycelował, strzelił i róża wylądowała na wieku trumny. I dumny z siebie, powiedział:

– No to na razie, mamusiu!

A jego brat dodał:

– Tak, cześć, mammo, do zobaczenia!

Potem mistrz ceremonii podszedł, żeby oddać im papiery.

– Ho, ho! Niech pan to załatwi z naszymi żonami! Papierki to nie dla nas.

Odeszliśmy.

Wychodząc z cmentarza, zobaczyliśmy, że dwie sieroty idą uczcić pamięć matki w pobliskim barze.

Witaj

Przyjechałem za wcześnie do szpitalnej kostnicy. Na opustoszały parking. Czekam przed wejściem, trzymając jedną rękę w kieszeni, drugą zaciśniętą na kubku z kawą, a w zębach papierosa.

Nie jest za ciepło.

Przyjechał szef, siedzi sam w karawanie. Drugi kolega zaparkował tuż za nim. We trzech wchodzimy do kostnicy. Pracownik otwiera chłodnię, opowiadając najnowsze plotki z małego świata zmarłych. Na noszach leży ciało owinięte w płótno poplamione krwią i płynami ustrojowymi. Odsłaniam twarz. Lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia.

Twarz kobiety jest obrzmiała, czerwona, w ustach i nosie zakrzepła krew. Pracownik kostnicy wyjaśnia, że jeszcze dzień, a zamroziłby ją, żeby robactwo nie rozplenilo mu się po chłodni.

Układamy ją w trumnie. Ładujemy trumnę do karawanu. Jedziemy na cmentarz, każdy swoim samochodem, żeby potem móc wrócić prosto do domu.

Przyjeżdżamy na cmentarz. Stróż ledwie na nas zerka, gestem każe jechać do kwatery w głębi cmentarza.

Tam czekają trzej grabarze. Dziwimy się. Wyjaśniają, że chcą jak najszybciej zasypać grób, żeby zdążyć przed zamknięciem.

Takie sprawy załatwia się wczesnym rankiem albo późnym wieczorem, kiedy nikogo tu nie ma.

Wyjmujemy trumnę. Przenosimy ją nad grób i ustawiamy na deskach.

Unosimy, jeden z grabarzy wyciąga deski, spuszcza trumnę. Jest na miejscu. Wyciągamy liny.

Oddalamy się o dwa metry, palimy papierosy.

Ktoś rzuca dowcip. Wszyscy się śmieją.

Chwila zawahania.

Ktoś mówi:

– Znów to zawahanie.

Ktoś mówi:

– Znów to zawahanie.

Ktoś mówi:

– Przykro, kiedy ktoś tak kończy.

Ktoś mówi:

– A jest takich coraz więcej.

Zawahanie. Ktoś powinien coś powiedzieć, ale nikt nie wie co.

Grabarze zasypują grób. W tym tempie skończą, zanim dotrzemy do bramy ogromnego cmentarza.

Przekraczając ją, patrzę na zegarek. Siedem minut. Wpadniemy na kawę, potem do biura, żeby trochę popracować.

Rozmawiamy o innych sprawach. Już zapomnieliśmy.

Witaj... w zbiorowej mogile.

Im szybciej, tym lepiej

Pewnego dnia chowałem na cmentarzu w Bretanii starszą panią.

Sposób, w jaki jej bliscy przeżywali żałobę, wywoływał wrażenie, że nie przejęli się jej śmiercią.

Ustawiliśmy wspaniałą mahoniową trumnę, którą wybrała sobie posiadaczka ogromnej fortuny, podpisując z nami kontrakt, pośród tanich wiązanek kwiatów, jakie krewni przywieźli swoimi audi. Przyciągnąłem ich uwagę, wypowiadając klasyczną formułę.

– Panie i panowie, zechciejcie podejść, by otoczyć panią X swą miłością.

No i podeszli, i otoczyli panią X aurą przytłaczającej nudy.

– Najpierw odmówimy kilka modlitw, żeby pożegnać państwa mamę. Potem nastąpi chwila ciszy, a po niej pożegnanie. Następnie złożymy ciało do grobu i przyjdzie czas na ostatnie spojrzenie.

Niespełna dwadzieścia osób – córki, synowie, zięciowie, synowe, wnuki... wszyscy patrzyli na mnie, jakbym zapowiedział im, że lada chwila pojawi się nad nami latający talerz.

Najstarszy syn podszedł do mnie i głośno, dobitnie powiedział:

– Czy mógłby pan zrobić to w krótszej wersji? Bo zaraz potem jesteśmy umówieni z notariuszem w sprawie spadku.

Celna riposta

– *Kochanie, doceniam fakt, że jedziesz tak ostrożnie, ale czy mógłbyś trochę przyspieszyć?* – *Żona grabarza westchnęła.* – *Spóźnię się na pociąg do mamy.*

- Nie mogę, mam dyżur.*
- Wiem, ale co z tego?*
- Co z tego? To, że jeśli będziemy mieli wypadek i zginiemy, to mnie będą wzywali żandarmi, żebym zabrał nas do kostnicy.*

Wkrętarka

To było przy zamykaniu trumny. Rodzina wyprzedziła nas i pojechała już do kościoła: w tym rejonie trudno było zaparkować. Grabarze przykryli zmarłego całunem, nałożyli wieko i wkręcili śruby. Trumna została zamknięta, byliśmy gotowi do wyjazdu.

Ale zdesperowani grabarze szukali wszędzie wkrętarki.

– Gdzie ona się podziała?

– To ty ją miałeś!

– Nie wyjdziemy bez niej, bo znowu się narażę – rzucił mistrz ceremonii.

Przed tygodniem zostawił na cmentarzu drewnianą kobyłkę, a tydzień wcześniej zawieruszył gdzieś kropielnicę.

Któryś powiedział:

– Zaczniemy od odtworzenia zdarzeń: kto co robił?

– Ja ją przyniosłem.

– Tak, co dalej?

– Wszędzie były kwiaty, więc położyłem ją w trumnie.

Gadanie, gadanie. Postanowili iść do karawanu po zapasowy śrubokręt, ale trudno im było go znaleźć, bo leżał w starym pudle pod siedzeniem. Trzeba było otworzyć trumnę, żeby sprawdzić, czy wkrętarka faktycznie tam leży. Mocno wkręcone śruby stawiały opór, ale w końcu drgnęły. Grabarze unieśli wieko. Zobaczyli wkrętarkę.

Pogratulowali sobie – ale z godnością, w końcu wszystko to działo się w obecności zmarłego – i zamknęli trumnę, a kiedy zamierzali już wyjść, zauważyli, że ich kolega stoi w kącie z zatroskaną miną. Zapytali, czym się tak martwi, a on odpowiedział pytaniem: kto zamykał trumnę za pierwszym razem? Nie pamiętali tego. Zapytali, dlaczego tak go to interesuje.

– Dlaczego? Po prostu chciałbym wiedzieć, jak udało mu się wkręcić śruby bez tej piekielnej wkrętarki!

Uwaga: po przeczytaniu tej historii kilku bliskim osobom uznałem, że muszę wyraźnie powiedzieć dwie rzeczy. Po pierwsze, tak, to autentyczne zdarzenie, naprawdę autentyczne. Po drugie: nie, ja też nie wiem.

Błękitny hełm

W rzeczywistości ta rodzina dzieliła się na dwa obozy: syna zmarłego i córki zmarłego, a te obozy nie zbliżały się do siebie na mniej niż dziesięć metrów. Dziesięć metrów pustej przestrzeni, którą mistrz ceremonii i żałobnicy najchętniej wypełniliby dwiema czy trzema kompaniami policji. Co najmniej.

Obie grupy ziały nienawiścią, rzucały sobie pełne wrogości spojrzenia, i to nie jakiegoś banalnego gniewu, z jakim gromi się wzrokiem podczłowieka, który ośmielił się zająć upatrzone przez nas miejsce parkingowe, ale czystej nienawiści, najwyższego stopnia odrazy, jaką mógłby czuć na przykład wojujący wegetarianin do korridy.

Przywódcami grupek potencjalnych wojowników byli więc brat i siostra. Ich podobieństwo rzucało się w oczy tym bardziej, że i oni raz po raz obrzucali się niemal identycznym spojrzeniem, z którego wyzierała chęć mordy.

Od czasu do czasu ktoś z obrzeża jednej albo drugiej grupy zbliżał się do strefy zastrzeżonej dla wroga, ale wówczas natychmiast padały uwagi:

– A co on (ona) tu robi, przyszedł (przyszła) zasmrodzić nam powietrze?

Tak, tak, wszystkich cechowały subtelność i stosowna przy tej okazji powaga.

Złożenie do trumny zmusiło mistrza ceremonii do rozegrania gry strategicznej w realu i naturalnej wielkości, ponieważ – co należy do rzadkości – absolutnie wszyscy chcieli w niej uczestniczyć. Ale żaden członek żadnego z obozów nie godził się przebywać w pomieszczeniu równocześnie z jednym z przeciwników. Trzeba było znaleźć jakiś kompromis, także na chwilę zamknięcia trumny. Ostatecznie byli przy tym obecni tylko reprezentanci dzieci – po jednym z każdej strony. Trzymali się jak najdalej od siebie, co sprawiło tylko, że pomieszczenie wydawało się jeszcze mniejsze, dbali, by na siebie nie spojrzeć, w związku z czym uważnie obserwowali każdy gest grabarzy, którzy – choć przyzwyczajeni do trudnych sytuacji – czuli się skrępowani. Mistrz ceremonii stał pomiędzy dwojgiem reprezentantów, przysłaniając, na ile się

dało, przelotny widok siostrzano-braterski, który mógłby zostać uznany za obrazę i rozpętać krwawą bitwę. Reprezentanci wyszli kolejno – najpierw jeden, potem drugi – ale dopiero po chwili, upewniwszy się, że zachowana zostanie wystarczająca odległość.

Potem dwa stronnictwa udały się do kościoła – każde swoją drogą.

Brat w otoczeniu swego klanu wszedł do świątyni pierwszy. Najpierw doszło do próby zajęcia miejsc w pierwszych rzędach po obu stronach trumny, ale mistrz ceremonii położył im kres, nakazując wszystkim usiąść po lewej stronie nawy. Potem przysła siostra i jej plemię: widząc, że miejsca po lewej zajęte są przez znienawidzony obóz braterski, skierowała się do rzędów po prawej. Ceremonia trwała stosunkowo krótko – każde z dzieci pragnęło wygłosić mowę, składając ojcu hołd jako jego najlepsze dziecko. Jednak ksiądz, mądry starzec, który musiał rozmawiać z rodziną podczas dwóch oddzielnych spotkań, gdzie zapadały sprzeczne decyzje, zażegnał groźbę sporu w zarodku: to on decydował o przebiegu ceremonii i tylko przyjaciele niezaangażowani w konflikt mieli prawo zabrać głos. Mowę wygłosił więc przyjaciel z dzieciństwa, pełen godności starzec, który potrafił wywołać i śmiech, i łzy zgromadzonych, opowiadając zabawne anegdotki. Wypowiadał się z dużą swobodą, mimo to pod koniec, kiedy chciał chyba coś jeszcze powiedzieć, powstrzymał się, trochę poplątał, a gdy zebrał myśli, we wzruszających słowach pożegnał zmarłego. Potem wyznał mistrzowi ceremonii, że pragnął powiedzieć coś o dzieciach zmarłego, bo oboje lubił tak samo, i że pragnął, aby rodzeństwo się pogodziło, ale wyraz ich twarzy skutecznie go zniechęcił. Z perspektywy czasu musiał przyznać, że postąpił słusznie.

Potem wszyscy wstali, aby kolejno podchodzić i żegnać zmarłego. Reguły były proste – ci, którzy siedzieli z prawej, wstawali, podchodzili do umieszczonej na prawo od trumny kropielnicy po kropidło, a następnie, okrążając swój rząd, kierowali się do wyjścia. Siedzący po lewej robili to samo, podchodząc do kropielnicy po lewej stronie trumny.

Zwłoki miały zostać poddane kremacji. W takim wypadku rodzina błogosławiła także kościół.

Jak zwykle kiedy jest dużo ludzi, a było ich dużo, przy trumnie panowało lekkie zamieszanie, ostatni wstający mieszały się ze stojącą rodziną i z tymi, którzy przystanęli na nieco dłuższą chwilę, składając kondolencje. Słyszeć było

delikatny szmer, który nagle ucichł.

Wtedy mistrz ceremonii uświadomił sobie, że zaraz wydarzy się dramat, którego tak się obawiał.

Brat i siostra stanęli twarzą w twarz, każde po swojej stronie trumny. Wydawało się, że to krzywe zwierciadło, które zabawnie zniekształca i ma moc tworzenia portretu płci przeciwnej tego, kto się w nim przegląda. Ten sam kolor włosów, oczu, taki sam kształt twarzy, taka sama brutalna nienawiść, ten sam morderczy wyraz wrogiego spojrzenia.

Szczerze mówiąc, dziś nikt nie potrafiłby już powiedzieć, kto pierwszy zelżył drugiego. Kto na kogo pierwszy splunął, kto wymierzył policzek, a kto nim odplacił. Ich twarze wykrzywiły się w gniewie, mocno chwycili się za kołnierze, jakby chcieli się podusić. Już nikt dla nich nie istniał, zapomnieli o trumnie, nad którą się szamotali, a w której spoczywały zwłoki ich ojca.

Uczestnicy pogrzebu zamarli, stary ksiądz patrzył na tę scenę z przerażeniem, powtarzając w kółko:

– Nie w Domu Bożym, nie w Domu Bożym!

Na próżno. Oni nikogo nie słyszeli, niczego nie widzieli, chwyтали przeciwnika, za co tylko mogli, i okładali się ciosami na środku kościoła.

Mistrz ceremonii podjął zdecydowaną interwencję, ale i to nie pomogło. Wtedy ostrym tonem nakazał rodzinie rozdzielić rodzeństwo. Kilka osób chwyciło walczących i siłą, dzięki umiejętnym chwytom, zdołało odciągnąć ich od siebie.

Można by pomyśleć, że kiedy ochłonęli po bójce, zrozumieli, jak są żałośni, i ogarnął ich wstyd. Nic z tych rzeczy. Trzeba było wyprowadzić ich z kościoła, każde innymi drzwiami. I w końcu żadne z nich nie pożegnało się z ojcem.

Mistrz ceremonii zaniepokoił się teraz o starego księdza. Trupio blady, siedział na krześle, powtarzając raz po raz:

– Na pogrzebie rodzzonego ojca, w Domu Bożym!

Po tym szoku i zasłabnięciu, do którego doszło, trafił do szpitala i nie wrócił już do swego kościoła – zamieszkał w domu dla emerytowanych duchownych: po tym, co zobaczył, odprawianie mszy utraciło dla niego sens.

Pracownicy krematorium nie bawili się w grzeczności: uprzedzeni przez mistrza ceremonii powitali rodzinę w sześciu i rozdzielili wrogie obozy

w drodze do sali, powiedziawszy wprost, że jeśli ktoś ośmieli się choćby krzywo spojrzeć na innego, wezwą policję. Wizja gromów z jasnego nieba nie zadziałała; perspektywa zetknięcia z paralizatorem zadziałała cuda.

Do przemyślenia

Dzień? Był okropny. To statystyczna aberracja usług pogrzebowych: jakby wszystkie najgorsze sprawy spadały na nas w tym samym czasie. Tego wieczoru grabarz wrócił do domu wyczerpany, marząc tylko o tym, żeby jak najprędzej wcisnąć się w kanapę i nacieszyć zasłużonym odpoczynkiem. W swej naiwności nie przewidział, że małżonka ma zgoła inne plany. Rozwścieczona, od progu zarzuciła go pretensjami, a to o niezmyte naczynia, a to o niewyniesione śmieci – błahe powody przelotnych codziennych sprzeczek.

Grabarz już miał odpowiedzieć tak, żeby poszło jej w pięty, wtedy jednak pomyślał o minionym dniu. Ten chłopak potrącony przez samochód, ta młoda kobieta, którą zabił rak, i ta trzecia, kobieta w wieku jego żony, zmarła w wannie na wylew krwi do mózgu, kiedy obok mąż bawił się z dwójką ich dzieci, tak jak one, nie domyślając się, że spadło na nich nieszczęście.

I dlatego powiedział do żony: „Kocham cię, najdroższa”.

Bach z wyróżnieniem

Była to ceremonia świecka, prosta, bez ozdobników: muzyka na początek, powitanie, krótki wiersz, potem znów chwila muzyki, słowo na zakończenie, pożegnanie zmarłego przy dźwiękach muzyki. Tego rodzaju pożegnanie każdy mistrz ceremonii powinien umieć poprowadzić bez problemu. I nadać mu intymny, rodzinny charakter.

A ten z pewnością to potrafił. Rzucił okiem na teksty: „Jutro, o brzasku, gdy niebo nad wsią się zabieli”. Tak, klasyka. A ten drugi? „Ja nie umarłem, przeszedłem tylko do sąsiedniego pokoju”. Klasyka klasyki. Odłożył kartkę i zaczął recytować z pamięci, tak sobie, dla zabawy. Potem poszedł do holu, gotów przywitać rodzinę, kiedy ta się pojawi.

A stało się to punktualnie, o ustalonej porze. Mistrz ceremonii lubił ludzi punktualnych, zwłaszcza że miał bardzo ciężki tydzień, a tego dnia czekało go jeszcze dużo pracy.

Uroczystość się zaczęła. Niezwykle skupiony mistrz ceremonii nie dawał po sobie niczego poznać i wygłaszał teksty spokojnym, cichym głosem.

A potem włączył muzykę.

Koncert Bacha.

Kiedy rozbrzmiała muzyka, cofnął się o krok i dyskretnie oparł o stojący za nim mebel. Wiedząc, że fragment jest stosunkowo długi, słuchał. Najpierw od niechcienia, potem z coraz większą uwagą. Tak, to przecież był Bach, ta głębia, ten spokój, melancholia, ale i wielka siła... To cudowne wytchnienie w tak przeciążonym tygodniu.

Usłyszał szepty. Ludzie rozmawiali po cichu, zerkając na niego ukradkiem. O co właściwie chodziło?

No właśnie, dlaczego ta muzyka nagle ucichła?

Potem wszystko błyskawicznie stało się jasne. Początkowo absolutnie nie chciał w to uwierzyć, ale musiał spojrzeć prawdzie w oczy: najzwyczajniej usnął na stojąco w trakcie ceremonii. Na długo? Nie potrafił określić. Modląc

się, żeby nie trwało to godzinami, zaczął: „Ja nie umarłem, przeszedłem tylko do sąsiedniego pokoju”, a kiedy doszedł do słowa końcowego, zaprosił rodzinę do pożegnania ze zmarłym.

Gdy ceremonia dobiegła końca, wyszedł do krewnych pozostających jeszcze w holu. Sytuacja była żenująca, ale nieoczekiwanie wdowa pospieszyła mu z pomocą:

– Dziękuję, bardzo dziękuję. Szczególnie za tę delikatność – zwykle chwila ciszy jest taka krótka... naprawdę miło z pańskiej strony, że nie ponaglał nas pan.

30 milionów przyjaciół

W delikatny wiosenny poranek, kiedy rześkie powietrze zapowiadało już przyjemny, ciepły, ale nie duszny dzień, trzy wyglądające na wygodne auta niemieckich marek zaparkowały przed zakładem pogrzebowym. Grabarz, który spokojnie pił kawę, przeglądając gazetę, pomyślał, że właścicielom tych samochodów nie brakuje pieniędzy. A tymi właścicielami okazały się trzy bardzo podobne do siebie panie. Jedna, najstarsza, zapewne była matką dwóch pozostałych. Wszystkie trzy nosiły kreacje haute couture, a ich stroje pozwalały przypuszczać, że żadna z nich nie musi pracować. Wydawało się jednak, że ta trójka stara się zdystansować od swego burżuazyjnego pochodzenia. Krótko mówiąc, należały zapewne do tak zwanej bohemy. Rodzinna buntowniczką wyróżniała się tym, że wybrała kabriolet BMW M3, podczas gdy jej matka i siostra jeździły grzecznie mercedesami – córka coupé CLK, a matka autem klasy E. Można by pomyśleć, że ich kosmetyczka zdobyła uprawnienia tynkarskie, zanim przerzuciła się na bardziej kobiecej zawód. Wszystkie trzy zdawały się walczyć z upływem czasu z desperackim uporem: córki były dobrze po pięćdziesiątce, matka wyglądała na osiemdziesięciolatkę. I wszystkie trzy miały miny osób pogrążonych w głębokiej żałobie. Weszły do zakładu. Grabarz przywitał je, wprowadził do saloniku dla rodzin, upewnił się, czy jest im wygodnie, a potem spytał, co je sprowadza.

Grabarz: Czym mogę paniom służyć?

Matka i córki: Ach, ach!

Grabarz: Rozumiem, mamy czas. Razem uczynimy wszystko, by oddać zmarłemu należny hołd.

Matka: Tak, proszę pana, liczę, że zadba pan o to (przejmująco szloch).

Grabarz: Zanim przejdziemy do dalszych kwestii, muszę uzyskać dane osobowe, żeby podjąć konieczne działania. Z góry przepraszam, jeśli te pytania wydadzą się paniom niestosowne. Jak nazywał się zmarły?

Matka i córki chórem: Wouf-Wouf (szlochy, które wzbudziłyby ludzkie

uczucia nawet w robocie).

Grabarz: Rozumiem, nie będę pani ponaglał.

(Cisza)

Pierwsza z córek (ta z mercedesem): Co jeszcze chce pan wiedzieć?

Grabarz: Cóż, zacznijmy od tego, jak się nazywał.

Druga z córek (miss bmw M3): Powiedziałyśmy to panu!

Pierwsza z córek: – Wouf-Wouf!

Matka: Mój biedny Wouf-Wouf!

Grabarz (zdumiony): Wouf-Wouf? Hm... A jeśli wolno spytać: jakie pokrewieństwo łączy panie z tym panem Woufem?

Matka: Był moim wiernym towarzyszem, moim pieskiem, moim ukochanym Wouf-Wouf.

Druga z córek: To był yorkshire.

Pierwsza z córek: Z doskonałym rodowodem.

Grabarz: ...?

Matka i córki: ...?

Grabarz (zachowując podziwu godny spokój, mimo silnego napięcia, o jakim świadczyło lekkie drżenie długopisu w jego ręce): Rozumiem. A czego panie sobie życzą, jeśli chodzi o najistotniejsze kwestie?

Matka: Chciałabym dla mojego Wouf-Wouf pięknej trumny, białej, lakierowanej, aby mógł w niej spoczywać blisko mnie aż do dnia, gdy i ja odejdę.

Córki chórem: Nie, mamo, nie mów tak!

Matka: Ależ tak, ukochane córeczki, pewnego dnia odejdę, tak to już jest, a wy będziecie musiały radzić sobie beze mnie. Jego trumna będzie stała na drewnianej podstawie przy moim łóżku. Dzięki temu będzie spał przy mnie jak za życia. Można chyba dobrze uszczelnić trumnę?

Grabarz: Pyta pani, czy istnieją trumny hermetyczne? Tak, oczywiście. Podsumujmy: chce pani trumienkę dla psa.

Matka: Tak.

Grabarz: Białą, lakierowaną.

Matka: Tak.

Grabarz: Życzy sobie pani, żeby ustawiono ją w pobliżu pani łóżka.

Matka: Tak. I zostanie złożona do mojego grobu, kiedy umrę. Nawiasem mówiąc, odwiedzę pański zakład, żeby podpisać stosowny kontrakt pogrzebowy.

Grabarz: Ale żeby dostarczyć trumnę i złożyć do niej zwłoki, potrzebne są karawan i obsługa!

Matka: Oczywiście! I chcę, żeby tak było. Proszę się nie obawiać, pieniądze nie grają roli. Zapłacę z góry. Akceptują państwo Amex?

Grabarz: Hm... Nie mamy takiej możliwości...

Matka: To drobiazg. Mam inną kartę płatniczą. Proszę się nie niepokoić, nie ma limitu wydatków.

Grabarz: Przepraszam, ale muszę zadzwonić, żeby ustalić pewne kwestie logistyczne. Zechcą panie poczekać.

W biurze, przez telefon, grabarz przedstawił sytuację szefowi.

Szef: Czyli chce urządzać pogrzeb psu?

Grabarz: Tak.

Szef: I płaci z góry?

Grabarz: Tak.

Szef: I przyjdzie podpisać kontrakt pogrzebowy?

Grabarz: Tak.

Szef: Nie odchodź od telefonu, zadzwonię do adwokata.

Grabarz czekał, przygotowując na komputerze szczegółowy kosztorys. Szef oddzwonił po kilku minutach, bardzo rozbawiony.

Szef: Dobra, bierz to, sprzedaj jej, co tylko zechce. Nie ma w tym nic niezgodnego z prawem. Ryzykujesz tylko reputację. Ale wiem, jak jesteś odpowiedzialny i profesjonalny – nigdy nie zostawiłbyś bez pomocy rodziny, którą dotknęło takie nieszczęście. No dobra, powodzenia!

Przygnębiony grabarz się rozłączył. Był pewien, że koledzy z centrali nie uronili ani słowa z tej rozmowy. Słyszał ich głosy w tle. Z ciężkim sercem wrócił do trzech pań.

Kobiety wybrały białą lakierowaną trumnę, jak dla małego dziecka.

Zamówiono do niej hermetyczną cynkową trumienkę z filtrem powietrza, obitą białą satyną, a także całun, poduszeczkę i wyszywane złotą nicią inicjały WW. Na wieku trumny miała się znaleźć tabliczka z napisem „Wouf-Wouf 1991–2008”, jako że tabliczka ta była za mała, by zmieścić na niej wszystkie imiona. Miał też pojawić się krzyżyk. Słyszając to, grabarz zadał sobie pytanie, czy pies przyjął ostatnie namaszczenie i z jakich grzechów mógłby się wyświadczyć. Trumnę miał dostarczyć karawanem mistrz ceremonii, który miał też zająć się złożeniem do trumny, zamknięciem hermetycznej trumienki i organizacją krótkiej ceremonii dla rodziny.

Grabarz wyznaczył pilny termin już nazajutrz, bo gdy rodzina zapytała, czy nie należałoby wykonać zabiegów konserwacyjnych, uświadomił sobie, że rozmowa z rozbawionym szefem to przyjemność w porównaniu z dyskusją z tanatopraktorem, który uznałby, że ktoś tu z niego kpi.

Organizację tej ceremonii uprościł i przyspieszył fakt, że nie wymagała żadnych kroków administracyjnych. Jednak grabarz zastanawiał się, czy nie powinien powiadomić odpowiednich instytucji. W dniu pogrzebu starszej pani ktoś mógł przecież zadać kłopotliwe pytania o drugą trumnę spuszczaną do grobu.

Grabarz wyobraził sobie minę policjanta, który miałby nadzorować zamknięcie trumien, gdyby powiedziano mu, że spoczywa w nich pies, a także reakcję urzędniczki stanu cywilnego w merostwie zapytanej o opłatę za psi pochówek, i uznał, że lepiej tego nie robić. Kiedy nadejdzie ten dzień, on sam schroni się w tybetańskim klasztorze, aby nikt nie zdołał go odnaleźć.

Kobieta zapłaciła, zamówiła jeszcze świeże kwiaty za kilkaset euro i z godnością wyszła, mając u boku oddane i równie zasmucone córki.

Błąd kierowcy

Ceremonia przebiegała dobrze. Wręcz doskonale. W pierwszym rzędzie rodzina płakała jak należy, a oczy licznie zgromadzonych osób – mistrzyni ceremonii zauważyła, idąc tu, że parking jest przepełniony – były zaczerwienione stosownie do okoliczności.

Wygłosiła mowę początkową, nie tracąc panowania nad niczym, głosem spokojnym i powściągliwym. Potem włączyła muzykę. Przy jej dźwiękach zauważyła, że jeden ze współpracowników daje jej gorączkowe znaki z pomieszczenia, które niegdyś było kabiną dźwiękową.

Dyskretnie podeszła do niego, obawiając się, że jeśli będzie nadal wymachiwał rękami, zrobi sobie krzywdę.

Muszę wyjaśnić, że istnieje złota reguła, niepisana, nawet niesformułowana, ale oczywista, jeśli się chwilę nad tym zastanowić: nigdy, przenigdy, pod żadnym pozorem, nie przeszkadza się mistrzowi ceremonii podczas jego pracy.

Dlatego też mistrzyni ceremonii chciała się dowiedzieć, jaka wiadomość była aż tak pilna, że uznano za konieczne naruszyć tę zasadę. Przekazano jej tę informację, uprawiając ją w zakłopotanie.

Wróciła na miejsce i czekała, aż muzyka ucichnie. A potem wcisnęła „stop” i uniosła głowę. Podeszła do rodziny, krótko przedstawiła problem. Następnie, pośród ciszy, którą zakłócały tylko tłumione szlochy, powiedziała do mikrofonu, głosem, który wydawał się brzmieć tak spokojnie jak wcześniej:

– Już za chwilę oddamy hołd panu Mitchellowi, słuchając wiersza, który odczyta jego wnuczka Hildegarde.

Zawiesiła głos i...

– W tym czasie właściciel samochodu zaparkowanego w bramie sąsiedniej firmy zechce przestawić pojazd, który blokuje wjazd ciężarówkom. Dziękuję.

Zgromadzeni unosili brwi zaskoczeni tym jakże przyziemnym przerywnikiem w chwili poświęconej wieczności. Jakiś mężczyzna wstał i pochylony próbował dotrzeć do wyjścia tak, by nie widziało go trzysta par oczu wpatrzonych

w niego karcąco albo z drwiną.

Nie wrócił już, by uczestniczyć w dalszym ciągu ceremonii.

Porażający argument

Ekipa z zakładu pogrzebowego pojawiła się na miejscu, żeby zabrać dwa ciała. Trzecia rano, przeszukanie. Pożar, dwie ofiary śmiertelne – rutyna. Prawie – żandarm wykazał się nadmiernym optymizmem i grabarze czekali, aż strażacy zezwolą im działać. Trzeba było się upewnić, że dom czy też to, co z niego zostało, nie stanowi już zagrożenia.

Żandarmi wyjaśnili grabarzom, że brat zmarłego został powiadomiony i zamierzał przemieścić się na miejsce.

– Przemieścić się na miejsce? – zapytał młody grabarz, który pracował od tygodnia.

– W żargonie żandarmów znaczy, że już jedzie – wyjaśnił mu starszy kolega.

Potem strażacy zaproponowali, że sami włożą ciała do worków i wyniosą je na zewnątrz. Kapitan obawiał się, że budynek się zawali, i nie chciał się tłumaczyć z obecności cywilów na pogorzeliisku, gdyby runęło im na głowę kilka ton gruzu.

W tym czasie przyjechał brat zmarłego. Potulnie przedstawił się żandarmowi, który pilnował, żeby do zagrożonej strefy nie wtargnął jakiś ciekawski cierpiący na bezsenność. Żandarm odesłał go do grabarzy.

Brat ofiary był wyjątkowo antypatyczny. Nie chodziło o zachowanie, ale o to, że miał w sobie coś, co wzbudzało silną niechęć. Grzecznie przedstawił się grabarzom i zapytał, co będzie się teraz działo.

Szef ekipy spokojnie mu wytłumaczył, że musi wskazać, dokąd przewieźć ciała, a jutro udać się do wybranego zakładu pogrzebowego i ustalić szczegóły.

– Och, myślę, że to będzie kremacja – powiedział brat.

Potem rozejrzał się wokół. Ciemności nocy migotały niebieskim blaskiem kogutów, strażacy pracowali pośród dymiących szczątków domu, żandarmi w mundurach polowych dokonywali oględzin. W końcu jego spojrzenie zatrzymało się na białych pokrowcach, w których złożono szczątki jego brata i bratowej, i wtedy dodał głośno i dobitnie:

– Ale dacie mi rabat, bo ogień w dużym stopniu was wyręczył.
Ciszę, która zapadła po tych słowach, można nazwać grobową.

Obawy

Kilka godzin przed ceremonią kamieniarz wrócił z cmentarza.

– I co, grób jest otwarty?

Jego beztroska wzbudziła głębokie zaniepokojenie doradcy pogrzebowego.

– Tak, jest otwarty. Ale taki wąski, że nie wiem, czy trumna się zmieści, Cóż, okaże się!

***Często
(stanowczo za często)
słyszane***

– *Czyli pracujesz w zakładzie pogrzebowym?*

– *Owszem.*

– *I co...? Widziałeś już trupa z bliska?*

Pożegnanie Wouf-Wouf

Nazajutrz. Dom pani psa. Godzina 14.30. Dzień pogodny, niebo czyste, tylko gdzieniegdzie niewielkie chmury. Rankiem trochę padało, ale potem się rozpogodziło.

Grabarz nie potrafił oprzeć się pokusie udziału w złożeniu Wouf-Wouf do trumny. Towarzyszył mu kierowca-tragarz, wybrany spośród najstarszych pracowników ze względu na duże doświadczenie i kamienną twarz. Bo najgorsze, co mogło się stać, to wybuch niepohamowanego śmiechu.

Otworzyły się drzwi i pojawiły się trzy panie. Zrezygnowały z ekscentrycznych kreacji i ubrały się na czarno. Dwóch grabarzy wprowadzono do ogromnego holu. Potem przeszli przez wielką jadalnię i znaleźli się w przytulnym, eleganckim salonie, pośrodku którego na niskim stoliku stał koszyk Wouf-Wouf. W powietrzu zaczynał już unosić się fetor.

– Sama zajęłam się jego toaletą i ubrałam go – wyjaśniła starsza pani.

Strój Wouf-Wouf składał się z obroży i śmiesznego kaftanika dla piesków. Wszędzie wokół leżały zabawki, a nieco dalej, na innym stoliku, przygotowano już ołtarzyk przystrojony zdjęciami Wouf-Wouf i jego pani – szczęście zastygłe w obiektywie, już minione. Jeden z grabarzy zastanawiał się, czy nie należałoby wezwać tu pogotowia psychiatrycznego. Rzut oka na kolegę przekonał go, że ten mocno gryzie się w wewnętrzną stronę policzków, żeby nie parsknąć śmiechem i zachować zbolaną minę.

Ze stosownym w takiej chwili namaszczeniem kierowca wniósł trumnę i otworzył ją. Z takim samym namaszczeniem obaj grabarze przygotowali się do złożenia zwłok. Kierowca wciągnął rękawiczki, wziął pieska, ułożył go w metalowej skrzynce, z łebkiem na poduszce, przykrył całunem, a skończywszy, dał dyskretny znak mistrzowi ceremonii. Ten oznajmił paniom, że obaj wyjdą, aby bliscy mogli spokojnie pożegnać Wouf-Wouf, a następnie wrócą, by zamknąć trumnę.

Wyszli. Czekali. Unikali patrzenia na siebie. Byli bliscy wybuchu.

Niewzruszone słońce kontynuowało wędrówkę po czystym błękitnie.

Nadszedł czas, by zamknąć trumnę.

Grabarze weszli do salonu. Mistrz ceremonii oznajmił, że nastąpi ta chwila. Pani, cała we łzach, rzuciła się na trumnę. Obsypała kudłate ciało pocałunkami i pieścizotami, a tymczasem za nią obie córki jęczały, wykręcając sobie ręce z zapalem, który wprowadziłby w zdumienie nawet bardzo doświadczoną zawodową płaczkę.

Po chwili córki chwyciły matkę pod ręce, cofnęły się, dając znak czerwonym jak piwonie grabarzom, którzy cieszyli się, że w pokoju panuje półmrok. Mężczyźni podeszli do trumienki, osłonili twarz – o, przepraszam pyszczek – całunem, złożyli falbanę do środka, a potem nałożyli wieko i przystąpili do klejenia. W tej pełnej emocji chwili poczuliśmy się jak podczas projekcji *Tytanica* w kinie pełnym egzaltowanych podlotków, gdy na ekranie umiera Leonardo Di Caprio (wybaczcie, przyjaciele kosmici, którzy nie widzieliście filmu, za to, że opowiedziałem wam jego zakończenie). Jednym słowem – dużo płakały.

Trumna z lakierowanego na biało drewna kryła cynkową, wstawioną do środka. A specjalny klej (mieszanka dwóch substancji reaktywnych) po przygotowaniu trzeba było bardzo szybko nałożyć. Zresztą silna woń chemikaliów wypłoszyła rodzinę.

Po zamknięciu hermetycznej trumienki, nałożeniu i przykręceniu drewnianego wieka kierowca przeniósł ją w asyście mistrza ceremonii. Obaj poszli wolnym krokiem, poprzedzając rodzinę, do sypialni starszej pani. Tu ujrzeli dwa drewniane kozły ustawione przy łóżku, od strony wezgłowia.

Staruszka zbliżyła się i szepnąwszy jeszcze „Do zobaczenia, Wouf-Wouf”, nakryła trumienkę serwetą, postawiła na niej lampkę nocną, mały krucyfiks i czarno-białe zdjęcie zmarłego męża.

Dwaj grabarze nareszcie mogli pożegnać rodzinę. Kiedy wychodzili, staruszka dyskretnie wsunęła im pięćdziesięcioeurowy banknot jako napiwek. Jej hojność była tak wielka, a cierpienie tak prawdziwe, że przez chwilę grabarze wyrzucali sobie, że z niej kpili.

Wtedy starsza z córek powiedziała, podsumowując ceremonię:

– To było piękne pożegnanie, panowie, dziękujemy. Z pewnością zwrócimy

się do państwa w dniu, w którym nieszczęście dotknie Miau-Miau.

Zabójcze uwodzenie

Pewnego dnia, w ostatnim tygodniu mojej pracy w grupie żałobników noszących trumnę, bo miałem zostać mistrzem ceremonii, przyszliśmy po zwłoki do szpitalnej kostnicy. Pojawiliśmy się przed umówioną godziną i skierowano nas do pomieszczeń technicznych, gdzie trwała sekcja.

Nie weszliśmy do sali, ponieważ obawiałem się, że nowy, którego szkoliłem, zemdleje nam tuż przed transportem. Sekcja to nic przyjemnego. Trudno to znieść. W szerokim korytarzu było pełno ludzi: laboranci z sali sekcyjnej, żandarmi, lekarz sądowy i urocza młoda kobieta. Elegancka trzydziestolatka o obciętych na pazia blond włosach przechadzała się między sekretariatem a salą sekcyjną.

– Fiuu! Niezła laska!

Zerknąłem na nowego, który wydał ten okrzyk. Chudy jak tyczka, około dwudziestki, przypominał zwariowanego psiaka.

– Podoba ci się? – zapytałem.

– Jasne! Jest zajebista! Chyba pójdę z nią pogadać. Co o tym myślisz?

– Jesteś dużym chłopcem, rób, jak uważasz.

W końcu zabawić się to nic złego.

– Dobra, muszę ją przelecieć!

I ruszył, wspierając słowo gestem.

Zaraz potem pojawił się mistrz ceremonii. Przywitał się ze mną i zapytał:

– A gdzie nowy?

Z miejsca, w którym stałem, doskonale widać było, jak młoda kobieta wytrzeszcza oczy, słuchając, co plecie ten dzieciak.

– Pytasz o Francka? Jest tam.

– Co on wyprawia?

– Przecież widzisz, próbuje poderwać panią prokurator.

***Bardzo często
(za często)
słyszane***

– Przepraszam pana, jak to jest z rozsypaniem prochów na cmentarzu? Czy po kremacji trzeba odebrać trumnę?

Aleja

1.

Cmentarnymi alejkami szła kobieta z baniakiem wody w jednej ręce, a torebką z przyborami do czyszczenia rodzinnego grobu w drugiej. Miała tam szczotkę, płyn do mycia szyb, bo odkryła, że cudownie nadaje się do granitu, z którego wykonany był pomnik, szmatę i rękawice, ponieważ musiała chronić delikatne dłonie. Postawiła sobie za punkt honoru, żeby dwa razy do roku, kiedy odwiedzała swoich zmarłych, zostawiać grób w nienagannym stanie. Bardzo chętnie przychodziłaby częściej, ale niestety mieszkała daleko, a nie lubiła prowadzić samochodu. Po śmierci męża i wyjeździe jedyne go syna musiała ograniczać się do tych dwóch regularnych wizyt.

I tak wiedziała, gdzie znaleźć swoich zmarłych. Myła, tarła, polerowała, wyrzuciła zwiędłe kwiaty i uschnięte rośliny, na ich miejsce postawiła świeże, potem zebrała swoje rzeczy i szykowała się do powrotu. Jak często, odwróciła głowę, żeby zerknąć na drugą stronę alejki, i aż zadrżała, tak ostry był kontrast między jej okazałym, błyszczącym grobem a tymi chwastami, które przewyższały już niewielkie drewniane tabliczki w kwaterze dla ubogich, oddalonej zaledwie o dwa metry. Jej dziadek, który spoczywał w rodzinnym grobie, za życia opowiadał jej o zbiorowej mogile. Bez większego żalu odszedł z tego świata, gdzie ślepych zaczęto nazywać niewidzącymi, głuchych – niesłyszącymi, a zbiorowa mogiła stała się „kwaterą da ubogich”.

Zobaczyła świeżo wykopany grób. Ogarnięta niezdrową ciekawością zrobiła trzy kroki, pokonując odległość, jaka dzieliła ją od tego miejsca, żeby przekonać się, że na nowej tabliczce widnieją tylko dwie litery i kropka: „P.X”. Znowu przeszedł ją dreszcz. To był kąt dla osób, które utraciły wszystko, czasem stały się nawet bezimienne.

Przyspieszyła kroku, zabrała rzeczy i odeszła.

Kondukt żałobny, który mijała, idąc na cmentarz, już zniknął. Odjechały te samochody, z których powodu musiała zaparkować dalej, w ponurej uliczce. Na

szczęście był środek dnia. Skręciła w uliczkę, zobaczyła jednak, że samochodu tam nie ma. Zawróciła, skręciła, obeszła okolicę z konserwatorem cmentarza i dwoma wezwanymi na pomoc grabarzami, w końcu jednak musiała pogodzić się z rzeczywistością – auto ukradziono.

Konserwator uprzejmie zaproponował, że podwiezie ją do komisariatu.

2.

Policjant przyjął jej zgłoszenie w małym biurze. Przerazona, spanikowana, opisała samochód, próbowała przypomnieć sobie numer rejestracyjny i – o dziwo – fakt, że go nie pamięta, ją uspokoił. Cóż, nie zostawiła tam niczego, na czym szczególnie jej zależało, do domu mogła wrócić pociągiem, samochód był ubezpieczony, a przezorny mąż zostawił jej pieniądze. To wszystko były tylko drobne rzeczy, co prawda paskudna kradzież, ale nie strata, której nie dałoby się naprawić. Jeżeli chciała pomóc policjantom, musiała się uspokoić. Byli mili i cierpliwi, ale przecież powinna dołożyć starań, by ułatwić im zadanie.

Spokojnym głosem podawała informacje, o które ją proszono. Policjant zaproponował jej szklankę wody, co przyjęła z wdzięcznością. Piła, gdy rozmawiał przez telefon. Na tablicy, która wisiała niedaleko od niej, zauważyła fotografie. Jedna z nich, na pół zasłonięta innymi, pokazywała tylko dół twarzy. Ale ten dół twarzy wydał jej się znajomy.

Wstała i jak zahipnotyzowana podeszła do tablicy, odsunęła zdjęcie zasłaniające twarz i osłupiała, głucha na wezwania policjanta, który zastanawiał się, co się z nią dzieje.

– Proszę pani? Proszę pani?

Odwróciła się do niego i powiedziała tylko:

– To mój syn.

Potem, po krótkiej chwili milczenia, opowiedziała mu o wszystkim: jak mąż i ona odkryli, że syn bierze narkotyki, jak myśleli, że najlepszą metodą, by mu pomóc, jest surowość i zdecydowanie, jak syn uciekł, a oni nigdy go nie odnaleźli, jak mąż zmarł na raka, pogrążony w rozpacz i dręczony przez

wyrzuty sumienia.

– To mój syn – powtórzyła. – Wie pan, gdzie teraz jest? Nieważne, czy jest kryminalistą, czy zrobił coś złego. To mój syn i chcę mu pomóc, tym razem we właściwy sposób.

Policjant milczał. Z jego oczu wycierał smutek.

3.

Grabarze podnieśli trumnę. Przeszli trzy kroki, potem ustawili się nad otwartym grobem i spuścili ją. Stała obok trumien ojca i dziadka. Potem wyciągnęli pasy i oddalili się, żeby kobieta, sama nad grobem, mogła pożegnać syna, na którego odnalezienie przez krótką chwilę miała nadzieję.

Grabarze zerknęli na tę scenę, rozmyślając o tym, jak wiele dzieje się za sprawą ślepego trafu. Dwa otwarte groby – ten, w którym złożyli trumnę, i ten, z którego chwilę wcześniej ją wyjęli – na wprost siebie, oddalone o dwa metry, po dwóch stronach alei. Pochowali tego mężczyznę niedawno, teraz ekshumowali go w trybie wyjątkowym za zgodą prokuratora.

A między chwastami poniewierała się bezużyteczna już tabliczka. Ktoś wyrył na niej tylko dwie litery i kropkę: „P.X”.

Pomyłka

Świecka uroczystość właśnie się zaczęła. Do sali szybkim krokiem weszli kobieta i mężczyzna i rzucając zażenowane, przepraszające spojrzenia, złożyli przy trumnie kwiaty. Nagle kobieta rozejrzała się wokół siebie i zapytała mistrza ceremonii:

– Przepraszam, to nie jest pogrzeb pani X?

Szybcy jako błyskawica, zabrali kwiaty sprzed trumny i równie zakłopotani wycofali się znacznie szybszym krokiem, na oczach osłupiałych żałobników.

Krótką ballada patetycznego chłopca

Stała tam, przy wejściu do zakładu pogrzebowego. Wahala się. Trudno określić jej wiek – sześćdziesiąt pięć, może siedemdziesiąt lat. Wyszedłem do niej. W czym mógłbym jej pomóc?

– Przyszłam w sprawie kontraktu pogrzebowego.

– Oczywiście, proszę usiąść. Może kawy, herbaty albo wody?

– To miłe z pana strony, ale dziękuję, nie chcę robić panu kłopotu.

– To nie jest dla mnie żaden kłopot, w przeciwnym razie niczego bym nie proponował.

Trzymała torebkę na kolanach i z przerażeniem rozglądała się po biurze, a na mnie patrzyła jak dzieciak na najlepszych na świecie rugbistów, którzy proponują mu przyjacielski mecz.

– W porządku, jakiego typu usług sobie pani życzy?

– Czegoś prostego i niedrogiego.

– Okej. Ceremonia?

– Nie ma potrzeby, nie będziemy z takiego powodu fatygować księdza.

– Nekrologi w gazetach?

– Owszem, ale może potem. W przeciwnym razie ludzie będą się czuli zobowiązani przyjść.

– Dobrze.

Wdech, wydech...

– Co poza tym?

– Wszystko jak najprostsze. Kremacja, rozsypanie prochów. Bez grobu, o który trzeba dbać. To kłopot. I proszę jak najtaniej, żeby coś jeszcze zostało moim dzieciom. Mam pytanie.

– Oczywiście, proszę pani, słucham.

– Czy można je powiadomić dopiero po wszystkim?

– Czyli po czym?

– Potem, kiedy będzie już po wszystkim.

– Chwileczkę, czyżby nie chciała pani, żeby powiadomić pani dzieci? Przecież będą chciały przyjść na pani pogrzeb!

– Wiem, synowie będą się czuli zobowiązani, ale ja nie chcę zawracać im głowy. Jeden jest adwokatem, drugi lekarzem, rozumie pan, że są bardzo zajęci. I tak, odkąd mój mąż odszedł – to był bardzo dobry człowiek – są zmuszeni mnie odwiedzać, a wiem, że to dla nich kłopot. Ja nie mam prawa jazdy, jak mam ich odwiedzać. Kiedy wybije godzina, chcę po prostu odejść, nie zawracając nikomu głowy, bo życie i tak jest wystarczająco ciężkie. Byłam szczęśliwa, nie chcę niszczyć szczęścia innym...

Przygotowałem kosztorys. Prosty, obejmujący tylko to, co konieczne. Nie mogłem jej zagwarantować, że rodzina nie dowie się o jej śmierci. Wyglądała na zawiedzioną, ale zrozumiała.

– Dziękuję, wiem, że robi pan, co w pańskiej mocy.

Ja jednak nie miałem takiego wrażenia.

Patrzyłem, jak odchodzi drobnym krokiem, dyskretnie, niemal przemykając pod murami domów. Zamknąłem drzwi do zakładu. Wróciłem do biura. Sięgnąłem po telefon i wybrałem numer.

– Halo, mama? Tak, to ja. Nie, nic. Chciałem tylko zapytać, co u ciebie.

Prawa człowieka

Ten mężczyzna walczył o uregulowanie sytuacji osób bez dokumentów, o prawa narodu palestyńskiego, prawa człowieka, delegalizację różnych skrajnie prawicowych i nacjonalistycznych partii politycznych, o pokój na terytorium Palestyny, wolny Tybet, edukację w republikach bananowych i setki innych spraw. Drzwi jego mieszkania były obwieszane karteczkami i ulotkami, które dowodziły jego troski o powszechną zgodę i życzliwość wobec prześladowanych. Patrzył zaskoczony na nas, grabarzy, i policjantów, którzy nas wezwali. Wychodził z domu na manifestację przeciw broni atomowej.

Milczenie przerwał policjant.

– Chodzi o pańską sąsiadkę. Zmarła.

Bojownik patrzył na nas, nie rozumiejąc.

– Ta staruszka? O psiakrew. A kiedy to się stało?

Policjant spojrzał mu prosto w oczy.

– Zgodnie z tym, co udało się ustalić, co najmniej dwa miesiące temu.

Policjant zmierzył lodowatym wzrokiem osłupiałego bojownika o dobro. Wskazał palcem plakat na drzwiach i podchwycił widniejący na nim slogan.

– Połóżmy kres zubożeniu, tak? Brawo, doskonały pomysł! Niech pan tak robi, a teraz proszę przechodzić, nie ma tu nic ciekawego.

Samospalenie

Kiedy przyjechaliśmy do szpitala, sekcja dobiegała końca. Policjanci ustalili ponad wszelką wątpliwość, że doszło do samobójstwa, jednak niektóre elementy wzbudziły ich podejrzenia, dlatego prokurator zlecił sekcję, żeby dokładnie wyjaśnić okoliczności zgonu.

Policjanci, uwzględniając to, co widzieli na miejscu zdarzenia, a także to, co powiedział im lekarz sądowy, zrozumieli, co się stało. Kiedy kładliśmy zmarłego do trumny, opowiedzieli nam o tym. Mężczyzna wszedł na wzgórze niedaleko brzegu morza. Tam polał się benzyną. Na dodatek się jej napił. Potem się podpalił. Uważa się, że śmierć w płomieniach powoduje najpotworniejsze cierpienie – ten człowiek miotał się, upadł, sturlał ze zbocza. A kiedy się toczył, płomienie zgasły. Leżał tak, z głębokimi oparzeniami dużej części ciała, bredząc w gorączce i bólu.

Śledztwo i sekcja pozwoliły ustalić, że konał przez osiem godzin i przez większość tego czasu był przytomny.

Wodewil

Zakłady pogrzebowe przypominają labirynt – po jednej stronie znajduje się ich część otwarta dla interesantów, po drugiej ta techniczna, a pomiędzy nimi usytuowane są salony. Do tego dodać trzeba laboratoria, pomieszczenia techniczne, magazyny i inne. Toteż można błądzić po zakładzie, szukając kolegi, który też błądzi, szukając szukającego, i tracić czas, długo się nie spotykając.

Przesadziłem... Ale tylko trochę.

Otóż w ten świeży, ukwiecony wiosenny poranek, gdy liście zieleniły się na drzewach, ptaki świergotały chórem w pachnącym powietrzu, a pyłki wywoływały katar i kichanie u alergików, okryta żałobą rodzina pojawiła się w zakładzie pogrzebowym.

„Cóż bardziej banalnego?” – zapytacie, a ja odpowiem, że cierpienie nigdy nie jest banalne. A zatem rodzina przygotowywała pogrzeb zmarłego, człowieka dojrzałego, ale jeszcze pełnego wigoru, o czym świadczy fakt, że wdowa wyraźnie zaznaczyła, iż nie chce widzieć pani X. Zakłopotany doradca pogrzebowy próbował jej wyjaśnić, że nie da się segregować obecnych, że nie można nikogo prosić o dokumenty przy wejściu do kościoła. Wdowa nie ustępowała, tłumacząc, że absolutnie nie życzy sobie widzieć pani X. Owa kobieta była wysoką blondynką o dużym biuście, jasnych oczach, wydatnych ustach. I oczywiście była kochanką zmarłego. Jak powiedziałem – pełen wigoru.

Kolega obiecał zrobić, co w jego mocy, a przynajmniej nie dopuścić do jej pojawienia się w salonie. Rzecz jasna nazajutrz do zakładu przyszła kochanka. Drżącym głosem, ze łzami w oczach wyjaśniła, że niemożność czuwania przy ciele kochanka i pożegnania z tym, którego gorąco kochała, ciesząc się jego uczuciem, jest dla niej nieznośna.

Młoda kobieta była tak wzruszająca, zagubiona i nieszczęśliwa, a jej głębokie jak dekolt cierpienie tak autentyczne, że rozczuleni doradcy zadzwonili z biura do kostnicy.

– Rodzina jest przy nim?

Recepcjonistka sprawdziła i poinformowała:

– Nie, nie ma nikogo.

I tak oto zrozpaczona kobieta mogła czuć przy zwłokach kochanka.

Ale wkrótce pojawiła się prawowita małżonka.

Grabarz, który rozmawiał właśnie z recepcjonistką, pobladł, jednak nie stracił zimnej krwi i zdołał ją zatrzymać pod zmyślonym powodem, twierdząc, że powinna najpierw pomówić z doradcą o jakiejś ważnej kwestii. Tymczasem recepcjonistka dyskretnie zadzwoniła do biura. Stamtąd biegiem zeszło dwóch doradców. Pierwszy podszedł do małżonki, prosząc ją o uzupełnienie danych personalnych świętej pamięci małżonka. Drugi w tym czasie przeszedł przez część techniczną i dotarł do salonu przez drzwi łączące go z laboratorium. Wyjaśnił kochance sytuację i wyprowadził ją przez zaplecze na kilka sekund przed tym, jak wdowa weszła wejściem dla rodzin.

Odtąd, kiedy oglądam wodewil, nieodmiennie odnoszę wrażenie, że już kiedyś przeżyłem coś takiego.

Co za burdel!

Był piątkowy wieczór, dzień przed sobotą, 14. dniem miesiąca. Telefon dyżurnego zadzwonił.

W słuchawce rozbrzmiał głos asystenta, który dyżurował z Henrim, starym grabarzem, którego nic już nie mogło zaskoczyć: policja zwróciła się do zakładu pogrzebowego w sprawie zwłok, które należało zabrać ze wskazanego miejsca, by przewieźć je w należytych warunkach w inne – konkretnie do chłodni w kostnicy.

Jadąc, Henry uświadomił sobie, że ten adres z czymś mu się kojarzy, ale z czym...

„Na pewno nie jest to adres nikogo znajomego”, powtarzał sobie, choć przecież znał wszystkich w promieniu pięćdziesięciu kilometrów. Kiedy dotarł już na miejsce, stwierdził, że wprawdzie je zna, jednak tu nie bywa. Mieścił się tu największy w okolicy klub dla zwolenników wolnej miłości. Ulubione miejsce spotkań libertynów, którzy mogli liczyć na spokój w tym zagubionym zakątku Bretanii, bo purytańscy i bardzo pobożni mieszkańcy nie rozumieli, co tam się dzieje.

A to, co stało się tego wieczoru, było oczywiste. Młoda i miła damulka spotkała tam jakiś czas temu chorowitego starca, za którego wyszła z czystej miłości, wcale nie myśląc o ogromnym majątku, jaki miał ten dziadzio. Przyciągała go tu regularnie, żeby móc uprawiać akrobacje stosowne przy jej kondycji i zaspokajać nieprzeciętny apetyt na młodych mężczyzn i kobiety o wysportowanych sylwetkach. Zdawała się nie zauważać, że jej prawowity małżonek stara się dotrzymać jej kroku, ale podupada na siłach, faszcerując się niebieskimi pigułkami, żeby sprostać wymaganiom młodych dziewczyn spragnionych nowych doświadczeń. Otóż tego wieczoru właśnie niebieskie pigułki, nadmierny wysiłek i zbyt duża dawka szampana zabiły już i tak słabego starca. I to właśnie stwierdzili Henri i jego kolega.

– Co za burdel! – zaklął ten ostatni.

– W burdelu – dodał Henri, który już otrząsnął się z wrażenia i rozkładał plastikowy worek, nie tak delikatny i nie o egzotycznym smaku jak ta gumka, która okrywała jeszcze ciepłą męskość nieboszczyka, ale duży, solidny, nieprzejrzysty, biały worek do transportu zwłok.

Zmarłego przeniesiono do jakiejś dyskretnej alkowy, z dala od parkietu, na którym anonimowe sylwetki, wyłapywane przez światła projektorów, ocierały się w zmysłowym, wyzywającym, bezwstydnym tańcu. Wróćmy jednak do wielkiej śmierci, która pokonała tę małą.

Nieboszczyk, którego przed nami odwiedził jeszcze lekarz pogotowia, został ukryty przed gośćmi, bo właściciel klubu uznał, że nie może narażać ich na traumę, zwłaszcza że ta mogłaby się odbić na dochodach klubu. Dwaj grabarze włożyli zmarłego do worka, przypięli pasami do noszy i opuścili lokal bocznymi drzwiami. Właściciel przygasił i tak słabe światło, co, gdyby ktoś to zauważył, można by uznać za zjawisko fizyczne. Ale tego wieczoru wszyscy byli roztargnieni.

Pojechali odwieźć go do kostnicy i wszystko było już dobrze.

...

A młoda i ładna wdowa? Otóż asystent pogrzebowy, który – choć zdecydowanie młodszy od Henriego – nie był jednak debiutantem, poprosił kolegę, by towarzyszył mu w jej szukaniu. Wdówka zniknęła gdzieś w przybytku rozpusty. Grabarze opowiadali mi o orgii, na którą się napatrzyli, a ich wizja rodzaju ludzkiego uległa trwałej przemianie. Odnaleźli wdowę w objęciach pocieszyciela. Z wielką niechęcią zgodziła się opuścić tę oazę spokoju, aby umówić się z asystentem pogrzebowym na spotkanie po przebudzeniu, to znaczy późnym popołudniem.

– Przygotujcie mu coś ładnego, pieniędzy miał pod dostatkiem – zaznaczyła schrypniętym głosem, cudownie powściągając szloch. Próbowała też szukać zapomnienia o bólu, jaki zadała jej śmierć ukochanego, rzucając się na męskość swojego chwilowego partnera.

– Wpadniemy do baru? – zaproponował asystent. – Potrzebuję czegoś mocniejszego.

– Mocnych wrażeń mam na dziś dość – odparł Henry – ale whisky bez lodu nie odmówię.

Nie ta osoba

Pewnego dnia – byłem wtedy młody i zajmowałem się noszeniem – wezwano nas, to znaczy asystenta pogrzebowego i mnie, żebyśmy zabrali zwłoki z domu. Była jesień, zapadła noc, zrobiło się zimno, my błędziliśmy, zanim udało nam się trafić pod podany adres. Ujrzyliśmy stary bretoński dom, a po przekroczeniu progu znaleźliśmy się w głównej izbie, którą oświetlała tylko jedna żarówka, dająca słabe żółte światło. W kącie kuchennym oprócz piecyka opalanego drewnem, stołu i kredensu stało łóżko, w którym dostrzegliśmy sylwetkę. Po złożeniu rodzinie kondolencji poinformowaliśmy, że rozłożymy sprzęt. Wnieśliśmy nosze, położyliśmy na nich worek, wsunęliśmy dłonie w rękawiczki – wszystko na oczach milczącej rodziny – a potem zbliżyliśmy się do łóżka, żeby zabrać naszą klientkę, drobniutką staruszkę otuloną ciepłą kołdrą.

– Przepraszam!

Zwróciliśmy oczy na bardzo uprzejmego pana, który jak się dowiedzieliśmy, był najstarszym z synów. To on nas wezwał.

– Panowie, wydaje mi się, że pomyliliście osoby. Tu leży mama. Śpi. Zmarły to nasz tata, jest w sąsiednim pokoju.

Ponizony

Osobiście uważam, że spośród tych, po których jeździłem, tytuł zmarłego najbardziej ponizającą śmiercią mógłbym przyznać mężczyźnie zabieranemu przez nas pewnego dnia na wezwanie policji – ofierze zawału serca, zmarłemu na własnej kanapie i ubranemu wyłącznie w podwiązki i dość obcisły gorset, a siedzącemu wciąż na wielkiej, bardzo „realistycznej” lalce (dodam, że na stoliku obok leżała na pół opróżniona tubka wazeliny), z którą ewidentnie utrzymywał dość intymną relację.

Uraz

Nareszcie zdobył Świętego Graala. Znalazł się, wiedział o tym, w punkcie zwrotnym swej kariery. Dyrektorka wezwała go, wskazała krzesło w swym onieśmielającym gabinecie, zaproponowała kawę, potem przyszedł też szef personelu i oboje patrzyli na niego, uśmiechając się, zanim obwieścili mu wielką nowinę: był mistrzem ceremonii.

Czy czuł się gotowy? – zapytali. Tak, był gotowy. Oczywiście, że tak!

Nazajutrz oznajmili mu, że ma się spotkać z pierwszą rodziną. Musi ustalić z krewnymi szczegóły hołdu, jaki ma być złożony za dwa dni zmarłemu, przygotować całą ceremonię i poprowadzić ją.

Oczywiście nie uczyniono go mistrzem ceremonii nagle. Już od miesięcy szkolił się przy innych: różne techniki, przyjmowanie rodzin, metody działania, zdania, których należy używać, to, co należy przemilczeć... Przez cały ten czas musiał się hamować, a teraz był kapitanem na swoim statku.

To będzie jego ceremonia.

Nazajutrz spotkał się z członkami rodziny. Byli to sympatyczni ludzie, którzy z góry go uprzedzili, że szacując po liczbie telefonów, jakie odbierają, na pogrzeb przybędzie wiele osób. Uspokoił ich – był profesjonalistą. Z ich pomocą przygotował laudację zawierającą mnóstwo ważnych szczegółów. Przez całe popołudnie myślał o jutrze, o swym wielkim dniu. Wieczorem napisał mowę. Nauczył się jej na pamięć, podobnie jak wszystkich tekstów, które miały zostać odczytane. Do późnej nocy myślał o ceremonii, powtarzał wszystko, szlifował, zadbał, by wszystko było perfekcyjne.

Rankiem przed ceremonią zjadł obfite śniadanie, a w południe ograniczył się do lekkiej sałatki. Po raz czwarty obejrzał garnitur, krawat, wypolerował buty, a potem poszedł do salonu, gdzie miało się odbyć złożenie do trumny. Wybiła godzina. Wielka godzina – JEGO godzina.

Trumna już była. Wskazał grabarzom, którzy ją ustawili w sali, gdzie i jak ułożyć kwiaty, zaczekał, aż skończą i wyjdą, już przy dźwiękach stosownie

dobrej muzyki, której głośność dopasował asystent dźwiękowiec.

Ten asystent był też mistrzem ceremonii, i to doświadczonym. Miał obserwować, słuchać, a potem wszystko z nim omówić. Konstruktwna krytyka nigdy nie zaszkodzi.

Nowy stał w pewnej odległości od mikrofonu, czekał, aż muzyka ucichnie. Obserwował licznie zgromadzonych uczestników pogrzebu, którzy wpatrywali się teraz w trumnę, jednak za chwilę mieli zwrócić oczy na niego.

A wtedy on pokaże im, kim jest prawdziwy mistrz ceremonii. Poprowadzi ten pogrzeb o wiele lepiej niż wszyscy jego koledzy, którym zresztą nie szczędził krytyki.

Wreszcie muzyka ucichła. Zbliżył się o krok do mikrofonu, wziął wdech, ogarnął spojrzeniem zgromadzonych.

Czas płynął, ludzie zastanawiali się, kiedy mężczyzna, który wpatruje się w nich prawie od minuty, coś powie. Asystent dźwiękowiec rzucał mu coraz bardziej ponagląjące spojrzenia.

„Najtrudniej powiedzieć pierwsze słowo. Potem idzie już gładko” – uprzedzano go.

Tylko że on nie mógł wydusić z siebie tego pierwszego słowa. Kiedy stało się jasne, że nigdy go nie wypowie, asystent zrobił to, co musiał – podszedł do mikrofonu, wziął leżący na pulpicie tekst, dał jednemu z grabarzy znak, by zajął się dźwiękiem, odsunął skamieniałego kolegę na bok i poprowadził ceremonię. A nowy wciąż stał poblady. Jego zbędna obecność dziwiła, ale zgromadzeni przywykli do tego i właściwie o nim zapomnieli.

Ludzie pożegnali zmarłego i wyszli. Kiedy asystent chciał pomówić z nowym mistrzem ceremonii, tego już nie było. Odtąd nikt w świecie usług pogrzebowych o nim nie słyszał.

Niektórzy mówią, że został drwalem gdzieś w Skandynawii, inni, że przyłączył się do przemytników broni na Saharze. Ci bardziej pragmatyczni twierdzą, że pracuje na roli u wuja w środkowej Bretanii. Ma opinię miłego i pracowitego, a przy tym bardzo skromnego. Tylko, jak to mówią, jest milczkiem.

Nieważkość

Dedykuję Pierre'owi-Charles'owi

Jak powiedzieli rodzice w rozmowie z grabarzem, który organizował pogrzeb, przez całe krótkie życie był szczęśliwy.

Choroby rzadkie od innych różnią się także tym, że często noszą ponure i trudne do wymówienia nazwy od nazwisk skandynawskich lekarzy, że trudno je leczyć i zabijają w potworny sposób, wcześniej skazawszy na jeszcze potworniejsze życie.

Ta również nosiła trudną do wymówienia nazwę od nazwiska skandynawskiego lekarza, ale zapomniałem jaką, jednak nie powodowała cierpienia. Chłopiec rósł, starzał się trochę, ale przede wszystkim tył, tył, aż osiągnął, a potem przekroczył ćwierć tony. Ważył 275 kilogramów przy wzroście 1,8 metra, a intelektualnie – w te lepsze dni – był na poziomie trzylatka. Waga uniemożliwiała mu samodzielne przemieszczanie się.

Niemal nigdy nie opuszczał domu i ogrodu, gdzie wszystko było urządzone tak, żeby mógł być szczęśliwy. I żyło mu się szczęśliwie, ponieważ nie miał z czym porównać swego losu, nie był też zdolny zrozumieć, że powinien czuć się nieszczęśliwy. Jak nie cieszyć się z własnego życia, jeśli się nie wie, że mogłoby wyglądać inaczej?

W końcu jego serce się zatrzymało, czuł ból, ale raczej nie strach, ponieważ małe dzieci nie rozumieją, co to jest śmierć. Zmarł otoczony miłością, jaką darzyli go ukochani rodzice, zupełnie zdrowi bracia i siostry, którzy się nim opiekowali.

Zmarł w wieku dwudziestu dwóch lat, tuląc ulubionego pluszowego misia. Jego niewinna dusza grzecznego chłopczyka uciekła, zostało po nim tylko to olbrzymie i zniekształcone ciało, na które grabarze patrzyli teraz z wielkim niepokojem.

Wzięli miarę i odeszli. Trzeba było zrobić odpowiednią trumnę, i tyle.

Ponoć tanatopraktor spędził przy zwłokach wiele godzin i o mało nie oszalał. Jak zauważył z lekką ironią jeden z kolegów, tanatopraktorzy nieustannie zapewniają, że praca ich pasjonuje i że nie ma wyzwań zbyt trudnych, by mogli im sprostać. Nadarzyła się okazja, żeby to udowodnić.

Jednak logistyczna strona tego przedsięwzięcia wymagała doskonałego zespołu.

Do niesienia trumny wybrano sześciu żałobników, których postura odpowiadała wyzwaniu. W tych chwilach, kiedy trumna musiała być przenoszona, żaden nie mógł zawieść. Na resztę drogi błyskawicznie wypożyczono wzmacniany wózek o udźwigu do pięciuset kilogramów, ale trzeba go było przywieźć z zakładu oddalonego o trzysta kilometrów. Żałobnicy mieli dostarczyć go wraz z robioną na miarę trumną.

Wszystko byłoby dopięte na ostatni guzik, gdyby nie pewien szczegół: rodzinny grób, w którym miał spocząć chłopiec, znajdował się w samym środku kwatery, na starym cmentarzu, którego teren był nierówny, a nagrobki oddalone od siebie zaledwie o trzydzieści centymetrów. Ramię dźwigu kamieniarzy nie dosięgłoby grobu, a w normalnych okolicznościach trumnę mogłoby przenieść tylko dwóch żałobników. Jednak w tym wypadku, gdy chodziło o ciężar przekraczający trzysta kilogramów, było to wykluczone.

Ale mała filia dużego zakładu pogrzebowego, zagubiona gdzieś na krańcach Bretanii, miała u siebie wielki talent. Powiedzmy wprost – na jej czele stał prawdziwy geniusz. Gdyby ceremonie pogrzebowe były muzyką, byłby Mozartem. Gdyby były poezją – Baudelaire’em. Gdyby były prozą, byłby Flaubertem. Ale to były pogrzeby, a on był sobą.

Zawsze życzliwy, zawsze sumienny. Kiedy pewna rodzina w rozmowie z nim wyraziła żal, że w pobliżu cmentarza nie odprawia się nigdzie mszy po łacinie, sam zaimprovizował mały ceremoniał pogrzebowy w języku Marka Aureliusza, mówiąc z pamięci, bez notatek.

To nie był mistrz ceremonii, lecz Mistrz. W porównaniu z nim inni przypominali robotników przy taśmie. Poszedł na cmentarz, a po powrocie powiedział tylko tajemniczo, że jest rozwiązanie, że wszystko będzie w porządku i pogrzeb może się odbyć.

Cały on: lubił robić wrażenie, taką miał słabostkę. Ale wtedy, kiedy inni czuliby niepokój, jego pracownicy tylko kiwali głową. Skoro powiedział, że

sytuację da się rozwiązać, to wiedział, jak to zrobić.

Podczas ceremonii chłopiec leżał ze swoim ulubionym misiem w ogromnej trumnie obsypanej płatkami kwiatów i zabawkami, które były mu szczególnie bliskie. Nie muszę nawet mówić, że była to piękna i wzruszająca uroczystość. Potem kondukt dotarł na cmentarz.

Poza rodziną i licznymi przyjaciółmi obecni byli grabarze, murarze, zarząd cmentarza i dwaj skupieni mężczyźni, którzy stali nieco na uboczu. Ich marynarki nie pasowały do spodni, rzucało się też w oczy, że nie przywykli do noszenia krawatów.

Przy wzmacnianym wózku mistrz ceremonii prowadził uroczystość, potem nadszedł czas, by złożyć trumnę w grobie.

Mistrz ceremonii spokojnie dał znak jednemu ze stojących na uboczu mężczyzn, a ten wyjął krótkofalówkę, powiedział kilka słów i potężny dźwig z pobliskiej budowy zaczął się wolno obracać. Mistrz ceremonii zauważył budowę, na którą nikt inny nie zwrócił uwagi. Poszedł porozmawiać z mistrzem, ten zagadnął kierownika budowy, którego wzruszyła ta historia, więc zgodził się pomóc. Mistrz ceremonii zwrócił się do wszystkich, których zezwolenia były konieczne. A na budowie zorganizowano pracę tak, żeby dźwigowy miał przedpołudnie na próby.

I pasy łagodnie zjechały z nieba. Grabarze przymocowali je do uchwytów trumny, która powoli się wzniosła. Potem, naprowadzana przez mężczyzn z ziemi, maszyna z namaszczeniem przeniosła ją nad grób i delikatnie opuściła.

Czas jakby stanął w miejscu. Ani jeden płatek kwiatu, ani jedna zabawka na trumnie nie drgnęły. Gdy trumna dotknęła ziemi, kamieniarz zszedł odpiąć zaczepy, które uniosły się i zniknęły. Potem najbliżsi podchodzili do grobu, rzucając a to kwiat, a to garść ziemi.

Wreszcie rodzina serdecznie podziękowała mistrzowi ceremonii i odeszła. Matka powiedziała tylko:

– Obawiałam się, że ten dźwig będzie brzydki albo poniżający. Ale... to było, jakby odlatywał, nareszcie wolny. Dziękuję.

Są zawody, które wymagają kompetencji i umiejętności technicznych. Inne wymagają talentu.

Czarne i białe

Asystent pogrzebowy wszedł do sali, gdzie wystawiano trumny, z bratem młodej kobiety, która zginęła w wypadku drogowym.

– Oto nasze wkłady do trumien, zechce pan wybrać.

– Wziąłbym ten – odparł brat, wskazując jedwabny wkład.

– Biały? To kolor, który nie zawsze tworzy dobre tło dla zmarłego. Czy po śmierci siostra była bardzo blada? Biała?

Po chwili zakłopotania brat nieboszczki powiedział najgrzeczniej jak mógł:

– Blada. Ale nie biała – to moja siostra, była czarna, trochę tak jak ja.

***Często
(o wiele za często)
słyszane***

– W twoim fachu przynajmniej nie ma bezrobocia!

No future

Zadzwonili z policji:

– Przyjeliśmy wezwanie, zgon w squacie, proszę przyjechać po zwłoki. Za ile możecie być? Okej, dziękuję.

Przyjechaliśmy najszybciej jak to możliwe. W magazynach portu handlowego zobaczyliśmy kilka samochodów policyjnych i około dwudziestu squattersów. Nieużywana od dawna hala stała się domem garstki włóczęgów. Atmosfera nie była napięta, nikt nie przejawiał agresji, panował smutek. Wyczuwało się jednak narastający niepokój. Policjant w cywilu podszedł do nas i wyjaśnił, że mężczyzna zmarł zapewne na skutek śpiączki alkoholowej, lekarz nie dopatrzył się niczego podejrzanego, toteż prosi, abyśmy zechcieli zabrać ciało do zakładu i przechować w chłodni do chwili uzyskania dokładniejszych informacji. Tak też uczyniliśmy.

Informacje docierały do nas dawkowane jak z kroplówki przez całe tygodnie, które upływały niewzruszenie w wilgotnym chłodzie bretońskiej zimy. Pojawił się lekarz sądowy, pobrał materiał do badań, kierując się poczuciem odpowiedzialności zawodowej, potem śledztwo umorzono i z punktu widzenia wymiaru sprawiedliwości sprawa była zamknięta. Zima łagodniała, w powietrzu nie unosiła się już taka wilgoć i wkrótce obnażone sylwetki drzew znów przystroiła delikatna zieleń. Wiosna wróciła do Bretanii i zapowiadała się cudownie.

A w szufladzie chłodni nasz klient też zieleniał. Informacje o nim były niepokojące. Mężczyzna był Polakiem, próby ustalenia, czy w kraju miał jeszcze jakąś rodzinę, nie przynosiły żadnych efektów, a polski konsulat odmawiał przejęcia zmarłego, dopóki nie znajdzie się ktoś, kto chciałby odebrać zwłoki. Pewnego dnia zapadła decyzja: ze względu na to, że zmarły nie ma rodziny, zważywszy na jego status rezydenta we Francji, a także na fakt, że nikt z jego otoczenia nie wyraził woli lub nie ma środków, by wziąć na siebie organizację pogrzebu, człowiek ten pochowany zostanie na koszt merostwa w kwaterze dla ubogich.

Kwaterna dla ubogich. Jeszcze nie tak dawno powiedziałbym: zbiorowa mogiła. Ale postęp dokonał się także na tym terenie – teraz każdy miał prawo do własnego dołu.

Wiadomość dotarła do nas we wtorek po południu. Ponieważ trzeba było wykonać papierkową robotę, termin pochówku wyznaczono na czwartkowy poranek. W środę rano pogoda była jeszcze piękna, świeciło słońce. Było ciepło, ale nie tak, by narzekać na upał. Wiatr wiejący z odległych rejonów niósł świeżość, nie zimno, był jak tchnienie rozległego świata i w wielu Bretończykach wzbudzał pragnienie, by wszystko rzucić, wsiąść na statek i przemierzać oceany w poszukiwaniu przygód. Ale gromada obdartych korsarzy, którzy nieśmiało zbliżali się do zakładu, nie wyglądała na załogę gotową natychmiast wyruszyć w rejs.

Weszli, przystanęli w progach, z zaciekawieniem rozglądając się wokół, patrząc na artykuły funeralne, na tabliczki, sztuczne kwiaty, wzory nagrobków. Wreszcie jeden z kolegów podszedł, by zapytać o cel ich wizyty. Zналиśmy kilku z nich, przynajmniej z widzenia, zajmowali się żebractwem z niezręczną grzecznością ludzi, którzy chcą zachować się jak najlepiej, ale nie wiedzą jak.

– Proszę państwa, w czym mogę pomóc?

Wspomniany kolega był adeptem szkoły: „Unikaj mówienia «dzień dobry», jeśli pracujesz w zakładzie pogrzebowym”, a warto wspomnieć, że debata semantyczna w tej kwestii rozpala tych przedstawicieli branży, którzy nie pracują w niej wyłącznie dla pieniędzy.

– Przyszliśmy w sprawie kolegi, tego, który jest tu od czterech miesięcy. W merostwie powiedzieli nam, że jutro będzie pochowany.

– Tak, to prawda, jutro.

– Chcielibyśmy się dowiedzieć, jak to się odbędzie.

– No cóż, jedziemy na cmentarz, grzebiemy go, umieszczamy tabliczkę z nazwiskiem, i tyle.

– A, no dobrze. Hm... I nie ma żadnej ceremonii?

– Nie, nie robi się tego, to ubogi. Jest to operacja techniczna przeprowadzana na zlecenie właściwych służb państwowych.

Zapadła cisza – przedstawiciel grupy przypominał sobie usłyszane słowa i starał się nadać sens każdemu z nich i wszystkim razem.

– Okej, rozumiem. Hm... Chcemy zapytać o taką ceremonię, ile to kosztuje.

– To zależy. Jak miałyby wyglądać?

– Chodzi tylko o to, żeby powiedzieć kilka słów na cmentarzu, żeby nie odchodził całkiem sam, i tyle. Mamy trochę pieniędzy, złożymy się. Rozumie pan? Chcemy po prostu jakoś to podkreślić.

– Rozumiem. Proszę chwileczkę zaczekać, zorientuję się.

W biurze odbyła się narada i nieważne, co się tam mówiło. Może padło:

– Dobra, w porządku, jutro rano i tak nic innego nie mamy.

Albo:

– Możemy się zdobyć na taki gest.

Czy:

– Właściwie dlaczego nie?

Potem drzwi się otworzyły i grabarz podszedł do czekającej grupki.

– Dobrze, jutro na cmentarzu będzie mistrz ceremonii, powiecie mu, co chcecie zrobić. Spotykamy się o dziesiątej na cmentarzu?

– Świetnie, ale ile to będzie kosztowało?

– Nie mówmy o tym. Dla nas nie będzie to dodatkowy koszt.

Rzecz jasna było to pocziwe kłamstwo, ale przecież nie jesteśmy handlarzami, prawda?

Nazajutrz rano, o dziesiątej, trzydziestu squatterów punków zastanawiało się, jak wejść na cmentarz, skoro stróż zabronił im wprowadzać psy. W końcu wyznaczyli ochotnika – nowego, który dołączył do grupy, nie znał zmarłego, a przyszedł tylko przez grzeczność.

Potem grupka ruszyła wolnym krokiem za karawanem, uzgodniwszy z mistrzem ceremonii przebieg tego pożegnania. Przeszli przez cały cmentarz w Kerfautras, aż do wstydliwie ukrytej za żywoplotem kwatery dla ubogich.

Dziwaczna gromada ustawiła się, obserwowana przez oniemiałych pracowników cmentarza, którzy czekali na karawan przy dole. Był to najprostszy ziemny grób, głębokości nieco ponad metr dwadzieścia. W alei na wprost grabarze umieścili kozły, żeby postawić na nich trumnę.

Mistrz ceremonii podszedł do grupy.

– No dobrze, co robimy?

– Pomyśleliśmy sobie, że przydałoby się trochę muzyki, a potem, kiedy będzie już w tym dole, chcielibyśmy złożyć różne drobiazgi. Możemy?

– Tak, tak, naturalnie. Jaką muzykę mam zapowiedzieć?

– Ma pan odtwarzacz CD? Jeśli nie, to mamy własny, CD jest już w środku. Nie musi pan zapowiadać, znamy to.

– Jak chcecie. W takim razie zaczynamy.

– Hm... – zwróciła się do niego młoda dziewczyna o czaszce gładkiej jak tafla lodu – a czy można położyć kwiaty na trumnie?

Tak zrobili. Kilka skromnych bukietów, w większości niekwiaciarnianych, złożyli na trumnie.

W pobliżu motyl, który krążył nad bukietem na grobie, usłyszał rozmowę dwóch grabarzy municypalnych:

– Patrz, nie wydaje ci się, że są dziwnie podobne do kwiatów, które miejscy ogrodnicy sadzili w parku?

– Owszem, bardzo podobne.

– Myślisz, że powinniśmy im o tym powiedzieć?

– Chcesz donieść na tych młodych, tak smutnych ludzi miejskim ogrodnikom, chociaż oni nie mówią nam nawet dzień dobry, bo traktują pracowników cmentarza jak trędowatych?

– No tak, masz rację, ci młodzi naprawdę są smutni. Ejże, a co to za hałas?

Ten hałas to była ceremonia pogrzebowa. A ta przebiegała jak niżej: najpierw mistrz ceremonii poprosił obecnych, aby otoczyli trumnę, a potem podali sobie ręce i przez minutę zachowali ciszę. Następnie zapowiedział, że rozbrzmi muzyka, i dał znak zajmującej się tym osobie. Ledwie dostrzegalne skinienie głową, dyskretne uniesienie palca wskazującego. Ale niepewny siebie chłopak krzyknął wtedy na całe gardło:

– To znaczy, że mogę już puścić nagranie?

– Tak!

Pogoda była naprawdę idealna. Około dwudziestu stopni zapewniało komfort, a świeżość niósł lekki wiatr, który łagodnie muskał trawę i młode pędy drzew zacieniających cmentarne aleje, powodując cichy szelest roślin, chwilami zagłuszany przez dziwny hałas. A brzmiało to tak: *I am an antichrist, I am an*

antichrist! Don't know what I want but I know how to get it. I wanna destroy the passer by...

A potem zrobiło się cicho. Squatterzy cofnęli się o kilka kroków i zaczął się balet grabarzy: chwycili trumnę, zanieśli ją na skraj grobu, potem spuścili na pasach. Następnie odeszli, a mistrz ceremonii dał znak przyjaciołom zmarłego, jego kompanom, tym, z którymi zebrał i mieszkał w squatcie, że czas na ostatnie pożegnanie.

I pożegnali go na swój sposób.

Każdy podchodził do grobu, by pozostawić pamiątkę wspólnego życia.

Niektórzy rzucali do grobu bilety autobusowe. Potem pojawiały się kolejno: mała miseczka do zebrania, monety, słoik kleju przemysłowego, bo najlepiej nadaje się do robienia irokeza, jak wyjaśnił ofiarodawca, sam ze wspianym irokezem na głowie; rękawiczki bez palców, scyzoryk, sznurowadła do butów, zapalniczki, zapalki, paczka tytoniu, bibułki do zwijania papierosów, a nawet coś, co wyglądało jak wielki joint... Później wielu wyjęło piwo, by wspólnie dopełnić swoistego rytuału: stojąc nad grobem, otworzyli butelki, wznieśli je uroczyście, mówiąc: „Twoje zdrowie, przyjacielu!”. Wypili po kilka łyków, następnie wyciągnęli ręce i wylali resztę do grobu. Ten toast był ostatni dosłownie i w przenośni.

W końcu odeszli. Zwartą grupą opuścili cmentarz, by udać się do zaimprovizowanej psiarni, na niewielki parking przed bramą cmentarza.

Kiedy karawan wyjeżdżał z cmentarza, cała grupa gorączkowo wymachiwała rękami, dając grabarzom znaki i prosząc, żeby się zatrzymali. Ten, który wyglądał na przywódcę, podszedł do samochodu.

– Chcieliśmy wam podziękować. To dla was.

I podał im plastikową torbę, z której dochodził brzęk szkła – w środku były cztery piwa i dziesięć euro.

– Dziękujemy po swojemu. Jeżeli odmówicie, poczujemy się urażeni.

– W takim razie bierzemy. Dziękuję. Ale i bez tego cieszy nas, że mogliście okazać żal po jego śmierci.

– Tak. To nie pierwszy kumpel, który odszedł, ale zwykle nie chcą nas nawet na cmentarzu. A właśnie, czy następnym razem możemy dzwonić bezpośrednio do was?

– Hm... Nie, lepiej wezwać policję, taka jest procedura. A potem poproście, żeby zwrócili się do nas, znają nas.

I odjechali.

Kiedy byli już w zakładzie, jeden z grabarzy zapytał:

– A co zrobić z tym piwem?

Mistrz ceremonii, po krótkim namyśle, powiedział:

– Wstaw je do lodówki, miejsca przecież nie brakuje.

Mała śmierć

– Kocham cię! Kocham! Kocham!

Namiętne jęki i krzyki wznosiły się w ciepłym i wilgotnym powietrzu wiosennego popołudnia. Wibrowały, nieznacznie zmieniając charakter.

– O tak, tak, tak! Jeszcze, taak! – wyrzucała z siebie rozanielona dziewczyna, niedwuznacznie okazując partnerowi, że ten orgazm dał jej głęboką satysfakcję.

Znacznie bardziej gardłowy męski głos jej wtórował.

– Rha, tak! Rhuu, o tak! – odpowiadał, potwierdzając, że spieszy spełnić życzenia partnerki, która tak szczerze okazywała zadowolenie.

A ich rozkosz, materializując się w postaci dźwięków, ulatywała falami przez szeroko otwarte okno akademika, w którym mieszkała dziewczyna, i rozchodziła się, tak jak męskie nasienie miało lada chwila rozbiec się po zakamarkach kobiecego ciała, a o tym, że moment ten jest już bliski, świadczyło crescendo jej treli.

– Kocham cię! Tak, o tak! Jeszcze!

Te drgania, których nasilenia nie dało się ignorować, wydobywały się więc z mieszkania na pierwszym piętrze, przebiegały na drugą stronę wąskiej uliczki, bez problemu przelatywały nad niskim murem cmentarza i docierały do pierwszego grobu. Podobnie jak okno i – zapewne nogi studentki – ten był otwarty.

I z pewnością – kiedy trochę później ogier, który tak dobrze ją zaspokoił, podszedł do okna, żeby zapalić papierosa, i kiedy zauważył nad posępną czarną dziurą oburzone spojrzenia rodziny w żałobie i mistrza ceremonii, a także lekko drwiące miny gości czy rozbawione grabarzy, którzy nie uronili ani jednego jęku, ani miłosnego okrzyku, gdy chowali drogiego zmarłego – ten ogier rzucił na inną nutę:

– O nie!

Co w duszy gra

Był to pogrzeb świecki. Przysunąłem się do kolegi.

– Wiesz może, na co umarł?

– On? Rzucił się z okna.

Tymczasem z głośników płynęły słowa piosenki wybranej przez rodzinę:
I believe I can fly.

Wyczucie słowa

Asystent pogrzebowy był szczęśliwy: piątek, osiemnasta. Przed nim pierwszy od miesiąca prawdziwy weekend: wolna sobota i niedziela. W doskonałym nastroju szedł korytarzami zakładu pogrzebowego, zmierzając na parking i mijając rodzinę, która przyszła załatwić formalności, odruchowo rzucił radosnym tonem:

– Udanego weekendu, do poniedziałku!

Nazywam się Cajmer, Al-Cajmer

Akt 1, telefon

Grabarz 1: Zakład pogrzebowy, dzień dobry!

Krewny: Dzień dobry, jestem krewnym pani Martin, jesteśmy z rodziną w szpitalnej kostnicy i czekamy na ekipę od państwa. Nikt jeszcze nie przyszedł, czy to normalne?

Grabarz 1, *sprawdzając grafik*: Przepraszam, mógłby pan powtórzyć nazwisko?

Krewny: Jesteśmy rodziną pani Martin, chodzi o pogrzeb Gertrude Martin, zmarłej w miniony wtorek.

Grabarz 1: ...

Krewny: Halo? Czy to zakład pogrzebowy?

Grabarz 1: Tak, tak. Proszę zaczekać na miejscu, ekipa wkrótce przyjedzie.

Akt 2, biuro planowania

Grabarz 1: Masz tam jakąś rodzinę Martin?

Grabarz planista: Nikogo takiego. A o co chodzi?

Grabarz 1: To rodzina, która na nas czeka. Podobno zamówili u nas pogrzeb, czekają na ekipę. Grabarz planista, *parskając śmiechem*: Nie, na pewno nie, nie masz się czym przejmować. Po prostu pomylili zakłady. U nas takie rzeczy się nie zdarzają. Zresztą chodź, sprawdzimy jeszcze w biurze, gdzie przetwarzają dokumenty rodzin, które zgłosiły się w tym tygodniu. To cię uspokoi.

Grabarz 1: Ale co właściwie tak cię śmieszy?

Grabarz planista: No przecież chodzi o konkurencję, żal mi tego niedojdy, który nie potrafi nawet przyjechać na czas po nieboszczyka.

Akt 3, gabinet dyrektorki

Grabarz planista: Pani dyrektor, mamy problem...

Dyrektorka: Co się stało? Jest pan strasznie blady. Proszę usiąść. Napije się pan wody? A może wezwać lekarza? O co chodzi?

Grabarz planista: Pani dyrektor...

Dyrektorka: Słucham... Przecież nie stało się chyba nic straszego.

Grabarz planista: Pani dyrektor, zapomnieliśmy o pogrzebie.

Dyrektorka: Oooo! Spokojnie, przecież to niemożliwe, mamy doskonały, skuteczny system, sama go wprowadziłam! Dowcipniś z pana!

Grabarz planista: A jednak to prawda. Sprawdziłem. Ktoś przyjął rodzinę, zaplanował pogrzeb, przyjął czek z zaliczką, położył dokumenty na biurku w biurze planowania, ale nikt się nimi nie zajął. W tej chwili nie mamy ani jednej wolnej ekipy, wszystkie karawany wyjechały, trumna nie jest przygotowana, papiery też nie, a rodzina czeka w kostnicy, ksiądz w kościele, murarze na cmentarzu. Tylko my nie jesteśmy gotowi.

Epilog

Pogrzeb odbył się dwa dni potem. Rodzina nie wydała ani grosza. Sprawę udało się zatuszować.

Stereotypy

Przestrzegam wszystkich domorosłych komików, którzy chcąc popisać się oryginalnością i w swej ostatniej woli zaznaczają „że życzą sobie, by podczas kremacji towarzyszyła im piosenka Rozpalcie ogień Johnny’ego Hallidaya”: pracownicy krematorium poprosili mnie, żebym wyjaśnił tym dowcipnisiom, że ich pomysł jest w bardzo złym guście i że mają dość słuchania całymi dniami tej piosenki. A zatem podkreślam: nie, to wcale nie jest oryginalny pomysł!

Éric

Éric zmarł. Kim był? Nie wiem. Człowiekiem, Bardzo wczesnie stracił matkę, o ile wiadomo, zmarła w połogu. Potem, w wieku trzech lat, odszedł jego ojciec. Ktoś stwierdził, że dziecko nie ma rodziny. Trafił do domu dziecka i tam się wychował, a jako osiemnastolatek znalazł się na ulicy. Pracował, zawsze pracował, z nikim się nie przyjaźnił. Nie wiadomo, kiedy i jak został narkomanem, ale nadal pracował i w samotności robił to, czego oczekiwało od niego społeczeństwo.

A potem? Przypadkowo przedawkował, a może miał już dość? Zmarł na skutek przedawkowania w Nancy. Mieszkał w Wogezach.

Na jego rachunku były pieniądze. W domu znaleziono trochę rzeczy. Żadnych rodzinnych zdjęć, bo nigdy ich nie miał. Żadnego notesu z telefonami do przyjaciół, bo ich też nie miał. Numer do opiekunki społecznej – widziała go raz, pomogła mu wypełnić oświadczenie o dochodach.

Łącząc pewne informacje, merostwo i opiekunka społeczna odkryli, że pragnął, aby go pochować w Wogezach, w grobie, w którym leżał ojciec, ponieważ grobu matki nikt nie zdołał nigdy odnaleźć.

Merostwo zwróciło się do mnie, abym zorganizował pogrzeb. Faktura miała zostać opłacona bezpośrednio z rachunku bankowego, za zgodą władz. Zająłem się więc przygotowaniem jego powrotu w Wogezy, do ojca. I wtedy natrafiłem na przeszkodę: ojca pochowano na głębokości półtora metra, więc żeby złożyć w grobie Érica, trzeba było ekshumować ojca, złożyć jego kości w półtrumience i pochować ojca i syna obok siebie. Ale prawo było jasne: do przeprowadzenia ekshumacji konieczna jest zgoda uprawnionego, czyli członka rodziny. Éric nie miał żadnej rodziny, nawet bardzo dalekiej. Nikogo. Nawet przyjaciela, który mógłby poświadczyć, że taka była wola zmarłego.

Mer komuny Wogezy mógłby zezwolić na ekshumację na mocy swych uprawnień policyjnych, jednak opłaty za grób zostały skrupulatnie wniesione na kolejnych dwadzieścia lat, teoretycznie więc nie było żadnego powodu, by korzystał z tych uprawnień.

Dokumenty trafiły do prefektury. Wydano postanowienie: Éric ma pieniądze, ma grób, chciał być pochowany przy ojcu; ponieważ jednak nikt nie ma prawa podpisać wniosku, a prawo nie przewiduje takiej sytuacji, Éric zostanie pochowany pod Nancy, jak ubodzy. Innymi słowy, w mogile zbiorowej. Merostwo zapłaci nam za urządzenie pogrzebu i ściągnie tę kwotę z jego konta. Jego pozostałe oszczędności zostaną zdeponowane u notariusza, który zajmie się szukaniem spadkobiercy. Jeżeli go nie znajdzie, pieniądze zasilą skarb państwa. Rzeczy osobiste zostaną przekazane organizacji charytatywnej.

A kiedyś szczątki ojca i syna trafią kolejno do ossuarium.

Napisałem wówczas do prezydenta Republiki, prosząc, aby podpisał dokument, skoro nikt inny nie odważył się podjąć decyzji. Nawet gdyby jakimś cudem zechciał mi odpowiedzieć, na pewno byłoby już za późno.

Nazywał się Éric. Miał czterdzieści pięć lat. Szedł przez życie samotnie i nikt się o niego nie martwił. Kiedy zostanie pochowany, nikt go nie wspomni. Chciałem, żeby choć tu znalazł swoje miejsce.

Tym, którzy są ciekawi, wyjaśniam, że wspomniany prezydent nigdy mi nie odpisał ani nie został wybrany na drugą kadencję, a Éric, o ile mi wiadomo, nadal jest tam, gdzie go pochowaliśmy.

Pornografia

Spływał potem w ten piękny letni dzień i był niemal w transie. Osiągnął dobry rytm, panował nad sytuacją, skupił się na tym, co robił. Klęcząca przed nim, z torsem na kanapie, naga, wilgotna, otwarta, żona przyjmowała jego szturmy, wcisnąwszy twarz w poduszkę. Czuł narastającą rozkosz i wzmógł rytm, poruszał się coraz szybciej, aż do orgazmu. Kiedy już zostawił w niej swoje nasienie i jego mięśnie się rozluźniły, cofnął się i opadł na kanapę obok żony, która nie podnosiła się, zapewne wciąż oszołomiona rozkoszą.

– Bez dwóch zdań, kochanie, to naprawdę moja ulubiona pozycja!

Cisza.

– Kochanie? Kochanie?

Przysunął się do niej.

Sąsiedzi aż podskoczyli, słysząc długi przeraźliwy krzyk.

Kiedy grabarze przyjechali na miejsce, zobaczyli męża, przepraszam – wdowca, siedzącego w kuchni w szlafroku. Przeżył szok. Żona wciąż była na kanapie, w niezmienionej pozycji, ponieważ lekarz pogotowia uznał, że policja może prowadzić dochodzenie. Nie było dochodzenia – zgon nastąpił z przyczyn naturalnych, jeśli można powiedzieć, że pęknięcie tętniaka to sprawa naturalna.

Jej krągłe pośladki były wystawione na spojrzenia obcych ludzi, podobnie jak wagina z której wyciekała jeszcze sperma zrozpaczonego męża.

Grabarze nawet nie mrugnęli. Zachowując się profesjonalnie, rozłożyli worek na zwłoki, podnieśli zmarłą i włożyli do niego. Potem zasunęli pokrowiec, ułożyli zwłoki na noszach i zabrali do samochodu.

Następnie wrócili, by pomówić z mężem. Wyjaśnili mu, dokąd przewiozą jego żonę i jakie kroki będzie musiał poczynić. Pożegnali się i poszli do karawanu.

Opowiadając mi tę historię, jeden z nich wyznał z pewnym skrepowaniem:

– Przez kilka miesięcy ta scena stawała mi przed oczyma, zawsze kiedy z żoną... No wiesz...

Wizytówka

Skuter jechał zygzakiem, wyprzedzał raz z prawej, raz z lewej, zależnie od humoru, radośnie przecinał linię ciągłą, a wyraźnie nieposkromiona bestia w silniku szalała po drodze krajowej. Dwaj dosiadający jej nastolatkiwie rozbijali się po tej drodze – na razie w przenośni – śmiejąc się kierowcom w nos.

Krótko mówiąc, dwóch rozwydrzonych smarkaczy na podrasowanej maszynie, dwóch bezmyślnych chłopaków, których nowocześni rodzice uwierzyli, że kopniak w tyłek może złamać osobowość i zniszczyć jednostkę tolerancyjną i otwartą na świat.

Dojechali do celu – baru w biednej wiosce w Bretanii, i zaparkowali skuter. Jeden poszedł kupić papierosy, drugi, stojąc przy maszynie, rozglądał się za jakąś laską. Może uda się wyrwać jakiś towar.

Tak, próbuję mówić jak młodzi, chcę zdobyć nowych czytelników, a co!

Chłopak przy skuterze nie od razu zauważył długi samochód, który zaparkował za nim, nie widział też mężczyzny w garniturze, który wysiadł i szedł w jego stronę szybkim krokiem. Kiedy odwrócił głowę, zbladł: facet był wysoki i wystarczająco barczysty, żeby nieźle dowalić, a w dodatku raczej nie chciało mu się żartować.

Poznał go – nie faceta, ale ten samochód. Wziął go z prawej, przyspieszył, kiedy kierowca próbował go wyminąć, a potem jechał mu przed nosem zygzakiem, tylko po to, żeby wysłać mu jasną wiadomość: „A właśnie że ci pokazemy!”.

Wysoki mężczyzna w garniturze stanął przed chłopakiem, zmierzył go od stóp do głów, rzucił okiem na skuter, wsunął rękę do kieszeni. Wyjął z niej wizytówkę i podał chłopakowi.

– Masz, daj to matce.

Potem stało się coś przerażającego: facet szeroko się uśmiechnął i odszedł bez słowa.

Małolat spojrział na wizytówkę i jeszcze bardziej pobiadł. Przeczytał „Hervé – Usługi pogrzebowe”. Nie zwracał uwagi na marudzenie i docinki kolegi – jechał ostrożnie, trzymając się prawej i nie przekraczając prędkości.

Środkowy palec

Najgorsze? Pociągi...

Oczywiście nie twierdzę, że najgorsze są koleje jako takie, co innego ludzie, którzy rzucają się na tory pod rozpędzony pociąg. Należę do zamkniętego klubu tych, którzy jeździli po zwłoki osób zabitych przez pociąg.

Trzeba zaznaczyć, że są tam dwie kategorie ludzi – tacy, którzy zbierali kawałki ciał na odcinku pięciuset metrów od miejsca zderzenia – spowodowanego czy też nie – z pociągiem, i inni.

To było samobójstwo. Bez cienia wątpliwości. Mężczyzna zostawił list, stanął za zakrętem, tam gdzie maszynista nie miał szans go zobaczyć i gdzie pociąg pędził z prędkością 300 km/h. Szczątki walały się wszędzie.

Krótko mówiąc, szliśmy wzdłuż torów, przemierzaliśmy pola z workami na śmieci i wkładaliśmy do nich szczątki. Zebraliśmy co się dało, a po pewnym czasie, ponieważ niczego już nie znajdowaliśmy, włożyliśmy worki do pokrowca na zwłoki i pojechaliśmy przygotować dokumenty. Pociąg ruszył w dalszą drogę do Niemiec.

Lekarz sądowy ograniczył się do pobieżnego badania, pobrał kilka próbek do analiz toksykologicznych. Rutyna. Odnotował, że brakuje kilku kawałków ciała, i uznał, że zabrały je zwierzęta padlinożerne. W okolicy żyło dużo lisów.

Mężczyzna cierpiał na depresję, porzuciła go żona, stracił pracę, nic szczególnego. Rodzina domagała się wydania ciała, nie było powodu, by to przeciągać, więc prokurator podpisał zgodę na kremację.

Trafił do pieca, prochy złożono w grobie rodzinnym, a najbliżsi wrócili do domów z poczuciem winy. Rutyna. Kilka dni potem zadzwonił niemiecki policjant.

Mówił po francusku, ale z silnym niemieckim akcentem.

– Ach, dzień dopry, kolego! – zaczął.

– *Guten Tag!* W czym mogę pomóc?

– Otóż, mam pewien probleme, ja, wyobraźcie sobie, sze wesfano mnie f

związku z rutynową kontrolą zur eine Zug od faz, ja?

– Rozumiem, ale co to...

– Bił u faz chłop, który się rzucił pod, *ja*?

– *Ja*, to znaczy, tak!

– Nic mu nie brakło?

– Może, trudno powiedzieć. Był w takim stanie!

– Ach! Zgadniesz? Zalosze się, brakowało ramienia!

– Ramienia? Chyba tak, wydaje mi się... Coś o tym słyszałem.

– Ja je znalazłem! Utknelo w rogu, pod pociong!

– Cholera!

– *Scheisse*, jak powiedziałaś! Okej, co z nim zrobię?

– Sam nie wiem. Został już skremowany, nie wiem, jak miałbym przekazać rodzinie taką wiadomość.

– *Ja*, rozumiem. Dopsze, dogadam się w krematorium, spalą to jako poamputacyjne, i cicho sza, *ja*?

– Tak, kolego, dziękuję.

Obiecałem mu, że kiedy przyjedzie z rodziną do Francji, postawię im szampana i kolację. Zasłużył na to. Ale ten samobójca wywinął mi niezły numer, wystawił rękę i pokazał środkowy palec – z za grobu. Cóż mogłem na to poradzić? Oskarżyć go pośmiertnie o obrazę?

Szczęśliwi ubodzy w duchu

Ponieważ jest prawo, ale jest też duch prawa i kilka drobiazgów takich jak odrobina elementarnej psychologii, duża dawka zaradności, a przede wszystkim, *przede wszystkim* zdrowy rozsądek, nie można robić głupstw, nosząc uniform grabarza.

Zdrowy rozsądek to po prostu umiejętność zrozumienia, że nie można robić pewnych rzeczy, i nikt nie musi nam mówić jakich. Oczywiście jest ściśle związany z wychowaniem i edukacją, ale tu nie trzeba wyższych studiów, wystarczą podstawy: „dzień dobry”, „dziękuję”, „do widzenia” i tym podobne drobiazgi. Odrobina logiki załatwi resztę.

Był pewien grabarz pochodzący z wielkiej rodziny grabarzy – wielkiej nie ze względu na sławę, ale po prostu licznej. Liczne rodzeństwo przejmowało wspólnie rodzinną firmę założoną przez ojca, który zresztą postarał się, trzeźwo oceniając swe potomstwo, zdywersyfikować inwestycje.

Tak się złożyło, że najstarszy syn, znacznie inteligentniejszy od reszty rodzeństwa, przyjechał do Nancy po zwłoki. Zmarły miał wrócić do oddalonej o kilkaset kilometrów rodzinnej wsi i spocząć na miejscowym cmentarzu. Tymczasem czekał w nantejskim domu pogrzebowym.

Działo się to w niedzielę. To ważne, bo tego dnia biuro komisariatu nadzorujące transport zwłok nie pracowało, więc opaski identyfikacyjne zakładał patrol. Takie opaski są konieczne, aby zwłoki mogły opuścić gminę.

Policjant był sam w komisariacie. Miał ciężki dzień – to się zdarza – i już po raz trzeci tłumaczył grabarzowi, że tak, przyjedzie, kiedy tylko będzie mógł, ale wszyscy jego koledzy są na mieście, gdzie prowadzą interwencje w związku z licznymi incydentami, jak kradzieże, gwałty, wypadki, przemoc domowa, bójki, i inne tego rodzaju zdarzenia, a przecież zmarły na pewno nie ucieknie. A on nie może tak po prostu zamknąć budy. Przez budę rozumiał komisariat główny w Nancy przy bulwarze Lobau. To była kwestia godziny czy dwóch, do czasu aż sytuacja się uspokoi, a Lotaryńcy przestaną się na siebie rzucać i grzecznie wrócą do domów, żeby obejrzeć ulubiony serial.

Grabarz czekał co najmniej trzy kwadransy i narzuciwszy sobie niezmienny rytm, co dziesięć minut dzwonił do komisariatu. Wina leżała po jego stronie – przygotował dokumenty, udał się pod wskazany adres, włożył zwłoki do plastikowego worka i dopiero wtedy zadzwonił na policję, informując, że jest gotowy do wyjazdu i potrzebuje opaski. Powinien był odwrócić kolejność.

Policjant po raz trzeci odłożył słuchawkę i wrócił do swoich zajęć dyżurnego. Po kilku minutach zobaczył w drzwiach mężczyznę w garniturze, jakby trochę zaspanego.

– Słucham pana?

Mężczyzna szeroko się uśmiechnął.

– Jestem z zakładu pogrzebowego. Przyszedłem po opaskę.

Policjant, dla którego nieporozumienia nie były niczym nowym, poprawił go.

– Przyszedł pan po nią? Doskonale pan wie, że tylko funkcjonariusz policji może ją założyć. Niepotrzebnie się pan fatygował, trzeba było czekać na miejscu.

Grabarz odparł:

– Tak, wiem o tym. Zmarły jest na dole.

Policjant wyjrzał przez okno. Rzeczywiście zobaczył karawan na światłach awaryjnych, zaparkowany na prawym pasie bulwaru.

Nie zdołał oprzeć się pokusie – wziął przygotowany już przybornik i poszedł sprawdzić, co chodziło po głowie temu grabarzowi o niskim czole. Kiedy stanął przy karawanie, grabarz otworzył tylne drzwi, a potem komorę chłodniczą i zaczął wysuwać nosze. Policjant natychmiast go powstrzymał.

– Ejże! Stop! Człowieku, co ty wyprawiasz? Oszalałeś? Nie zamierzasz chyba wystawiać ciała tu, na środku ruchliwej ulicy, w niedzielne popołudnie! Myślisz, że założę tu opaskę? Chcesz wylądować na pierwszej stronie „L’Est républicain” czy co?!

Grabarz wpatrywał się w niego obojętnymi oczyma.

– To co mam zrobić?

Policjant westchnął.

– Radź sobie, ja nie chcę o tym nic wiedzieć. Chcę tylko, żeby ten karawan stąd odjechał, i to szybko!

Wtedy grabarz zapytał, czy może sam założyć opaskę. Wie, jak to zrobić. Policjant zgodził się, byle tylko jak najszybciej się go pozbyć. Najchętniej zadzwoniłby do prefekta, aby ten wydał nakaz umieszczenia natręta w zakładzie psychiatrycznym, gdyby wiedział, co zrobić z samochodem i jego koszmarnym ładunkiem.

A grabarz sięgnął po przyborek policjanta i przeczołgał się nad ciałem w ciasnej komorze.

Widząc tego człowieka, który miał poza komorą już tylko nogi, policjant zastanawiał się, czy nie powinien poprosić dla siebie o nakaz umieszczenia w domu wariatów. W całej swej karierze, choć ta była długa i różnorodna, nigdy czegoś takiego nie widział.

W końcu grabarz wyszedł. Skroplona para z systemu chłodzącego osiadła na jego marynarce, koszuli i krawacie. Grzecznie podziękował policjantowi, oddał mu szczypce do nakładania plomb, zamknął wszystkie drzwi i promiennie się uśmiechnął.

– No cóż, teraz już wszystko jest w porządku? Mogę jechać.

Policjant wybuchnął. Jeszcze nigdy nikt nie zwymyślał tak grabarza. Ale jedyną reakcją, jaką uzyskał policjant, było milczenie i lekko zasmucone spojrzenie krowich oczu. Po kilku minutach policjant skapitulował.

Grabarz pożegnał się bardzo uprzejmie i wsiadł do samochodu, żeby zabrać klienta na miejsce ostatecznego spoczynku.

Policjant samotnie wrócił do biura. Zamyślił się na chwilę, wysunął szufladę i wyjął z niej formularz, którego złożenie od wielu tygodni odkładał. Starannym pismem wypełnił wszystkie rubryki. Podjął decyzję o przejściu na emeryturę, do której nabył już prawa.

Skrzywienie zawodowe

Działo się to w czasach, kiedy grabarze bez wahania pukali do drzwi pogrążonej w żałobie rodziny, żeby dokonać „wstępnych ustaleń”. Ekipa została wezwana w środku nocy w związku z dość gwałtownym zgonem. Dom, w którym doszło do nieszczęścia, był szczęśliwy, choć przeżył niejedną tragedię. Mieszkali tu kobieta i mężczyzna, para pięćdziesięciolatków, którzy nie mieli dzieci, kompensowali jednak ich brak miłością i przyjaźnią, bo tych czas nie tylko nie nadszarpnął, ale wręcz je wzmocnił. Wraz z nimi mieszkały dwie siostrzenice, które przygarnęły wiele lat temu po śmierci ich rodziców. Była to potworna śmierć w wypadku samochodowym: uwięzieni w płonącym wraku samochodu, zginęli w ogniu na oczach córeczek.

A zatem przybyła ekipa. Ponieważ były to lata, kiedy nikt nie szczędził czasu, by dobrze wykonać swą pracę, w ekipie znaleźli się doradca pogrzebowy, tanatopraktor i dwóch grabarzy. Pojawili się w domu, stwierdzili, że ciotka nie żyje. Od dawna zmagала się z chorobą, rano jej stan gwałtownie się pogorszył i po kilku godzinach zmarła. Cała rodzina była w szoku. Dziewczęta płakały, ich wuj zdawał się jeszcze nie wierzyć w to, co się stało.

Zabranie zwłok okazało się trudne. Siostrzenice tuliły się do ciotki, a mąż stał obok, tocząc po pokoju błędnym wzrokiem, jakby po raz pierwszy widział wszystko, co go otacza. Choć wokół panowało poruszenie, on był sam z własnymi myślami.

W końcu udało się zabrać zwłoki do kostnicy, o co poprosił mąż, gdy zszedł już na ziemię. Doradca pogrzebowy został więc w tym domu sam na sam z płaczącymi siostrzenicami i małżonkiem zmarłej, który teraz zachowywał niezwykle spokój. Niezmacony jak cisza przed burzą.

Doradca pogrzebowy, jak wielu mężczyzn w tym małym mieście na wybrzeżu, nigdy służył w marynarce jako komandos. Kiedy stuknęła mu czterdziestka, zmęczony przemierzaniem świata w przebraniu krzaka, skorzystał z uprawnień emerytalnych, a w cywilu znalazł sobie pracę doradcy pogrzebowego. Był to człowiek, który wiedział, czym jest niebezpieczeństwo –

wiele razy otarł się o śmierć, niemal ścisnął jej dłoń i podobnie jak jego koledzy nauczył się zachowywać zimną krew i logicznie myśleć w sytuacjach krytycznych.

Ecce homo.

Siedząc przy stole w salonie, wszyscy czworo wypełniali papiery i uczestniczyli w uzgodnieniach. Wszystko zostało wybrane, trzeba było już tylko skontaktować się nazajutrz z księdzem i ustalić dzień. Kiedy przeszli do kwestii finansowych, mąż oświadczył:

– Wszystko dziedziczą dziewczynki, rachunek proszę przekazać notariuszowi, to on będzie płacił.

Nikogo nie zaniepokoiły te słowa. Potem mąż dodał, że on i żona zawarli ubezpieczenie na życie, także na rzecz siostrzenic, i że niczego im nie zabraknie. W tym momencie w głowie doradcy rozbrzmiał dzwonek alarmowy, jednak nie zdołał jeszcze ustalić dlaczego. W końcu mąż dodał, że życzy sobie, żeby jego pogrzeb wyglądał tak samo. Po tej deklaracji zareagowały siostrzenice:

– Ależ wujku, nawet nie mów takich rzeczy.

Zdawał się ich nie słyszeć. Spisywanie ostatnich dokumentów dobiegło końca. Wuj nalegał, żeby doradca napił się kawy.

– Ściągnęliśmy tu pana w środku nocy, więc przynajmniej tyle możemy teraz zrobić.

Po chwili przed każdym z nich stała filiżanka kawy.

– Czy wszystko jest już ustalone? – upewnił się wuj.

Doradca potwierdził.

Wtedy wuj wstał, rzucając: „Nie do końca, przepraszam na chwilę”, i odszedł korytarzem, prawdopodobnie po jakiś dokument.

Doradca został sam ze zrozpaczonymi siostrzenicami pośród ciszy, którą zakłócały tylko ich szlochy. Nad filiżanką kawy unosiła się jeszcze para, a on dyskretnie zerknął na zegarek i stwierdził, że już pięć po czwartej. Gdzieś w głowie wciąż dzwonił mu cichy alarm.

Nagle ciszę rozdarł odgłos strzału i doradca natychmiast powiązał wszystkie drobne sygnały, których nie rozszyfrował, choć wzbudziły jego zaniepokojenie.

Siostrzenice, młodsze i szybkie, a poza tym doskonale znające mieszkanie, pierwsze wbiegły do pokoju wuja. Oto jaki obraz ukazał się ich oczom: wuj leżał na łóżku. Kiedy zjawił się doradca, po obu stronach targanego jeszcze drgawkami ciała siostrzenice zawodziły z rozpacz, na pół leżąc na zmarłym. W dłoni samobójcy nadal tkwił pistolet automatyczny Beretta 92F, a na podłodze pozostała łuska – parabellum 9 mm. W pokoju czuć było woń krwi i kordytu.

Doradca, były komandos, niemal widział, jak te szczegóły krystalizują się w jego pracującym na pełnych obrotach mózgu. Myśli skupiły się na jednym: nabita broń i dwie rozhisteryzowane siostrzenice. Bliskość tych elementów uznał za bardzo niebezpieczną. Dlatego zaczął działać zgodnie z tym, czego go nauczono – wziął broń, zabezpieczył, wyjął magazynek i schował go do kieszeni, pozbył się naboju z komory, a potem rozłożył berettę, rzucając jej części na podłogę.

Później podszedł do telefonu i po chwili namysłu uznał, że w tej sytuacji należy wezwać pogotowie ratunkowe, a potem policję.

Dwadzieścia minut później w mieszkaniu poza rozhisteryzowanymi siostrzenicami i trupem z dziurą w głowie znaleźli się lekarz i ratownicy medyczni, którzy zajęli się podaniem kobietom środków uspokajających i wystawieniem świadectwa zgonu, a także zdenerwowani policjanci, którzy krzyczeli:

– Niczego nie dotykać!

Doradca, który siedział w kącie, na jakiś czas zapomniany przez wszystkich, zobaczył, że idzie w jego stronę mężczyzna wyglądający tak, jakby mówił: „Nie lubię, kiedy wyciąga się mnie z łóżka o wpół do piątej rano, nie podoba mi się cały ten bajzel, nie znoszę, kiedy niewinni cywile rozwalają mi śledztwo”.

– Dobry wieczór panu – powiedział policjant – a właściwie dzień dobry.

– Dzień dobry, panie inspektorze – odparł, ponieważ wtedy tak zwracano się do policjantów.

– Czy mógłby mi pan coś wyjaśnić, bo naprawdę tego nie rozumiem?

– Ale czego?

– Twierdzi pan, że ten człowiek popełnił samobójstwo?

– Tak, niemal na moich oczach.

– Powiedział pan mojemu koledze, że był pan wojskowym?

– Tak.

– Więc wie pan, jaki to kaliber?

– Owszem, dziewięć milimetrów parabellum.

– W takim razie niech mi pan jeszcze wytłumaczy, jakim cudem facet, który wpakował sobie dwadzieścia gramów ołowiu, zdołał wstać, rozłożyć spluwę, wyjąć magazynek i wsadzić go panu do kieszeni.

– Kolega panu tego nie powiedział?

– Powiedział, ale chciałbym to usłyszeć od pana.

– To proste: kobieta zmarła nagle, mężczyzna odebrał sobie życie, a ich siostrzenice, które w dzieciństwie na własne oczy widziały, jak giną ich rodzice, wpadły w histerię. Broń znalazła się w zasięgu ich rąk. Uznałem, że dość już tragedii, i dlatego unieszkodliwiłem broń.

– Uznał pan.

– Tak.

– Uznał pan, że musi rozłożyć dowód rzeczowy tu, gdzie ktoś zginął od strzału z broni palnej.

– Tak.

– W porządku. W takim razie powiem panu, że teraz czeka mnie wiele godzin wypełniania dokumentów, wyjaśniania tego prokuratorowi i tak dalej. A już i tak jestem zmęczony, rozumie pan?

– Przykro mi, ale jako wojskowy podjąłem nieodzowne środki ostrożności.

I właśnie tego zdania nie powinien wypowiadać. Wojskowy nie powinien mówić policjantowi, co trzeba było zrobić. Palnął gafę.

– Pozwolę sobie pana poprawić: nie jest pan już wojskowym, natomiast ja jestem inspektorem policji i informuję, że od tej chwili jest pan zatrzymany za niszczenie dowodów i dlatego, że doprowadza mnie pan do szału.

Grabarz spędził kilka godzin w paskudnej celi z alkoholikami, pijakami i złodziejaskami, aż wreszcie powiadomiony o incydencie dyrektor zakładu pogrzebowego wyciągnął go z aresztu.

Panowie nie zamienili ani słowa, dopóki nie wsiedli do samochodu. Kiedy wreszcie mieli pewność, że nikt ich nie słyszy, odbyli krótką rozmowę.

- Dobra – powiedział dyrektor.
- Dobra...
- Na szczęście komisarz to mój przyjaciel. Jednak powiedział, że mam pana ukarać, żeby nie stracił autorytetu u swoich ludzi.
- Rozumiem.
- Dlatego zawieszam pana na tydzień. Żeby utrata zarobku za ten okres była nieodczuwalna, będę panu potrącał drobne kwoty przez kolejnych sześć miesięcy. Ale niech to zostanie między nami.
- Dziękuję panu.
- Prosił też, żebym dał panu podwyżkę. Zastanowię się nad tym.
- ...?
- Poza tym uprzedził, że wpadnie do nas wieczorem.
- Wieczorem? Ale po co?
- Przecież to oczywiste: wydawało się panu, że po takiej historii uniknie pan najazdu ciekawskich?

Czy wiecie?

Piętno epidemii

W XIII wieku, gdy wybuchały epidemie dżumy, gromadzące się w Paryżu zwłoki stanowiły poważny problem. Pomiędzy Paryżem a miastem Corbeil kopano groby, do których rzucono ciała. W tym okresie najprostszą metodą wywozu zwłok ze stolicy było ich ładowanie na statki pływające między Paryżem a Corbeil. Statki te zwano „corbeillard”. Nazwa, która objęła wszystko, co służy do transportu zwłok, przetrwała w nieco zmienionym brzmieniu – „corbillard”, oznacza dziś karawan. Mieszkańców Corbeil-Essone zapewne zmartwi, że to ich urocza gmina nadała imię tak ponuremu desygnatowi.



Policyjne zlecenie przewozu zwłok

z Serge'em Reynaudem

Kiedy policja znajduje zwłoki, wzywa ekipę wesołych grabarzy, do których bractwa należą. Z grubsza mówiąc, przyjeżdżają, zabierają, przesyłają rachunek prokuratorowi. A prokurator płaci, kiedy ma czas i środki, chyba że odnajdzie się rodzina zmarłego – wtedy to ona reguluje należność. Ale to już inna historia... W zasadzie patrol zgłasza sprawę do centrali, centrala wzywa lekarza – czasem lekarza sądowego, policję dochodzeniową, jeśli zachodzi taka potrzeba, i zakład pogrzebowy. Wszystko musi się toczyć we właściwym porządku, więc na ogół mamy czas pogadać z patrolem, czekając, aż wszyscy dotrą na miejsce i zrobią swoje.

Pewnego wieczoru sąsiedzi wezwali policję do mieszkania, z którego wydobywał się „niecodzienny aromat”. W związku z tym wezwaniem do drzwi zapukali dwaj policjanci. Ustalili, że lokatorką jest wystraszona staruszka, i tylko dzięki cierpliwości i znajomości psychologii zdołali nakłonić ją do otwarcia drzwi i wejść do czegoś w rodzaju składowiska. Rozprute torby ze śmieciami wały się po podłodze, w przedpokoju panował niewyobrażalny brud, a smród był odrażający. Staruszka zdawała się pogrążona w psychicznym chaosie. Jeden z policjantów zdołał nawiązać z nią rozmowę, a tymczasem drugi poszedł rozejrzeć się po mieszkaniu i ocenić stopień zniszczeń. Ten, który z nią został, zdziwił się, bo już po chwili kolega zawołał nie swoim, może trochę za wysokim głosem:

- Chodź, zobacz!
- Jestem zajęty!
- Jasne. Ale chodź szybko!

A brzmiało to jak „już, natychmiast, pospiesz się!”.

Poszedł do kolegi do sąsiedniego pokoju. Znajdowały się tam szafa, komoda, dwa identyczne łóżka i zwłoki człowieka.

Dokładnie okryty aż po szyję byle jaką kołdrą, na materacu przesiąkniętym zakrzepłymi płynami ustrojowymi, trup wyglądał, jakby leżał tu pół roku, może nawet dziesięć miesięcy. Koprofagi i nekrofagi dawno zniknęły, nie znajdując niczego, czym mogłyby się żywić na tych kościach, na których zostały już tylko strzępy zasuszonej skóry. Policjanci wiele widzieli, ale z czymś takim nigdy się nie spotkali. Wrócili do staruszki, wezwawszy przez radio policję śledczą i podkreśliwszy, że konieczne jest szybkie działanie. Policjant, któremu udało się nawiązać rozmowę ze staruszką, choć potwornie zakłopotany, podjął:

– Przepraszam panią, ale w sypialni ktoś leży w łóżku...

– Tak, to mój mąż!

– Proszę pani, ale czy nic pani nie dziwi?

– Nie, dlaczego?

– On nie żyje. Nie żyje już od dłuższego czasu.

Staruszka zwróciła na niego oczy zapatrzone w pustkę, a potem oświadczyła:

– Tak sobie myślałam, że ostatnio zrobił się jakiś małomówny...

Staruszka trafiła do zakładu psychiatrycznego, jej męża pochowano. Ich córka przysłała wieniec, bez sprzeciwu opłaciła rachunek wystawiony przez prokuratora, ale nie widziała potrzeby osobiście się fatygować.

Naelektryzowana atmosfera

Wezwanie z policji, do samobójcy. Patrol czekał na nas przed drzwiami domu, a kolega, z którym dyżurowałem, powiedział:

– Spotkamy się na miejscu i załatwimy to szybko, bo mam gości.

Dopalałem przed domem drugiego papierosa, kiedy nareszcie usłyszałem warkot jego diesla, z którego wyciskał, ile tylko się dało, zanim silnik zdążył się rozgrzać. Miałem więc sporo czasu, żeby obejrzeć sobie to miejsce. Dom, utrzymany w bretońskim stylu burżuazyjnym, był typowy: przestronny i luksusowy w środku, szary i skromny z zewnątrz. Od drzwi wejściowych korytarz prowadził do wielu pokoi. W jego końcu znajdowały się schody – dokładnie na wprost wejścia. Były wystarczająco szerokie, abyśmy mogli bez problemu zrobić swoje.

Jeden z obecnych na miejscu policjantów poszedł ze mną, abym mógł się trochę rozejrzeć, a potem wypaliliśmy na zewnątrz papierosa i trochę pogadaliśmy. Sąsiadka powiadomiła już syna kobiety, po którą przyjechaliśmy: zaniepokoiła się, bo jego matka nie pojawiła się ani na targu wczoraj, ani wieczorem w klubie scrabble’owym, choć były to jej główne wyjścia w każdym tygodniu. Kobieta dzwoniła do drzwi i telefonowała, aż uporczywa cisza mocno ją zaniepokoiła. Tylko bardzo poważne powody mogły zmusić starszą panią do rezygnacji z jedynych rozrywek.

Syn, który także na próżno usiłował skontaktować się z matką, postanowił działać. Udał się do komisariatu w swoim mieście, w środkowej Francji, i poprosił dyżurnego, aby zadzwonił do bretońskich kolegów i przekazał im zgłoszenie oraz kopie dokumentów, które uprawniały syna do działania. Okazało się, że to zbędne, bo wystarczyłoby zadzwonić do strażaków, ale rozsądne.

A zatem strażacy wraz z patrolem policyjnym wyważyli zamknięte od środka drzwi. Przeszukując dom, znaleźli na stole w salonie książeczkę zdrowia, rozmaite dokumenty bankowe i administracyjne oraz list samobójczyny. Wiedzieli już, że znajdą zwłoki, i podjęli ich poszukiwanie.

Znaleźli ją na piętrze, w łazience. Ubrana w koszulę nocną, leżała w napełnionej wodą wannie, do której wrzuciła suszarkę do włosów. Pomijając kilka powierzchownych oparzeń, zmiany na ciele wskazywały, że zgon nastąpił ponad dwadzieścia cztery godziny temu, a zatem widok był jeszcze znośny. Może tylko twarz zmarłej wydawała się wykrzywiona, nie było w tym jednak nic dziwnego.

Ulżyło mi tak samo jak policjantom. Wszystko było czyste, jasne, łatwo dostępne – miła odmiana po wisielcach, no i sytuacja nie tak nieprzyjemna jak wówczas, gdy samobójca wybiera broń palną. Suszarka wciąż leżała w wannie, a ja, nie wiedząc, czy policja zabezpieczyła już ślady, zostawiłem ją tam.

Staliśmy przed domem, obojętni na bretońską mżawkę, kiedy pojawił się mój kolega. Był asystentem pogrzebowym i dobrym przyjacielem, ale funkcjonował niejako w dwóch trybach: raz sympatyczny i cierpliwy, kiedy indziej stawał się nieznośny – wszystko zależało od jego humoru i od okoliczności. Tego wieczoru, kiedy do mnie zadzwonił, natychmiast zorientowałem się, że wszedł w ten zły tryb. Podjechał rozpędzony, zatrzymał się na ręcznym, wysiadł z samochodu i na początek rzucił ostro:

– Co jest, nie traćmy czasu, dlaczego nie wyjmujesz sprzętu?

Nie raczył powiedzieć nawet „dobry wieczór” stojącemu obok mnie policjantowi. Nieźle się zaczynało! Przechodząc, od niechcenia skinął mu głową. Kiedy oznajmiłem, że sprzęt jest już na miejscu – wózek w korytarzu, a nosze i worek na górze, a poza tym wzięłem rękawiczki dla nas obu, odburknął:

– W takim razie na co czekasz?

Wpadł do domu jak furia, mówiąc do policjantów:

– Dobry wieczór. Dobra, załatwimy to szybko, bo mam w domu gości. Kurczak siedzi w piekarniku, wiecie, jak to jest...

Wszyscy czekaliśmy cierpliwie, aż skończy opowiadać o swoich sprawach. Wymiana kilku spojrzeń pozwoliła mi nawiązać z policjantami kontakt pozawerbalny i głębokie porozumienie.

– *Jak on się do pana odzywa!*

– *Wiem, wiem, ale to nieważne.*

– *Zawsze jest taki?*

– *Nie, rzadko. Przeważnie jest świetny, dlatego teraz jeszcze go nie udusiłem.*

W końcu weszliśmy na górę, ale mój kolega i tam kontynuował swoje popisy.

– No już, ja biorę za nogi, a ty za ramiona. Rusz się, nie marnujmy czasu.

I odepchnął mnie, żeby wejść do łazienki, a kiedy przez to o mało nie wpadłem na stojącego obok policjanta, miał czelność warknąć:

– Uważaj!

Czułem, że funkcjonariusz z trudem się pohamował. Ja stadium oburzenia miałem już za sobą, teraz popadałem w tępą rezygnację.

Kolega galopem wciągnął rękawiczki, rozsunął worek, poganiając mnie raz po raz, o mało nie rozdarł worka, w końcu ułożył go jak należy na noszach i krzyknął:

– No to już!

Odwrócił się i prawie zanurkował w wannie, żeby wyjąć z niej kobietę.

Policjant, z których rozmawiałem, najstarszy z trzech, rzucił wtedy nonszalanckim tonem do jednego z kolegów:

– Wiesz, czy ekipa dochodzeniowa wyłączyła suszarkę?

Widzieliście kiedyś, jak człowiek zamienia się w słup soli? Mój kolega nagle zamarł z palcami kilka milimetrów nad wodą. Potwornie zbladł. Potem gwałtownie się poderwał, wydał dziwaczny dźwięk i osunął się na umywalkę.

Oczywiście korki wyskoczyły i nie było prądu, ale w takich sytuacjach trudno logicznie myśleć.

Po chwili otrząsnął się z przerażenia. Dokończyliśmy pracę – ja i mój kolega, który przestawił się na tryb sympatyczny i przestał się spieszyć. Musiałem go nawet namawiać, żeby wrócił prosto do domu, bo w kostnicy poradzę sobie sam. Odjechał, ale już normalnie, bez pisku opon.

– Oberwie mu się, żona będzie niezadowolona, kurczak wyschnie w piekarniku na wiór – powiedział przed odjazdem policjant. I dodał, nie mogąc pozbawić się tej drobnej przyjemności: – Atmosfera w domu będzie naelektryzowana.

Nigdy nie rozmawialiśmy o tym incydencie. Kolega od czasu do czasu przełączał się na tryb nieznośny, ale już nie tak często. Na jego usprawiedliwienie należy dodać, że ma wiele innych zalet, które nagradzają

trudne chwile.

Kilka razy, przy wezwaniach, natknąłem się na tego policjanta. Za każdym razem zadawał mi to samo pytanie:

– Cześć! O, Duracel z tobą nie przyszedł?

Za mały

To było złożenie urny, klasyczne, proste: minuta ciszy, skupienie przed urną ustawioną na małym stoliku, a potem złożenie do grobu na cmentarzu.

Wszyscy milczeli z nabożną czcią, choć przecież uroczystość była cywilna, gdy nagle wdowa zwróciła się do mnie:

– Jest pan pewien, że to mój mąż?

– Oczywiście, proszę pani, całkowicie – potwierdziłem, aby ją uspokoić.

– A czy gdzieś tu jest nazwisko?

Obróciłem urnę i pokazałem jej małą tabliczkę. Pochyliła głowę i patrzyła w zamyśleniu. Coś nie dawało jej spokoju. Zapytał ją o to syn, dostrzegając jej zatroskanie.

– Mamo, czy coś się stało?

– Po prostu nie mam wrażenia, że to twój ojciec.

– Mamo, przecież pan już ci wyjaśnił, że to on, że wszystko dzieje się pod ścisłym nadzorem. Po co te nerwy?

– Zrozum... On... wydawał mi się większy.

Kołaczcie, a otworzą wam^[3]

Pewnego pięknego dnia przygnębione, zbolące, cierpiące dzieci – a to mój chleb powszedni – przyszły, aby poprosić o urządzenie pogrzebu ich matki.

Pani ta zmarła w domu starców specjalizującym się w opiece nad pacjentami cierpiącymi na chorobę, która ją dotknęła.

Przenosząc się do tego domu, pierwszy raz w życiu opuściła swoją dzielnicę. Urodziła się w Nancy, właśnie w tej części miasta, tam dorastała, tam poznała męża. Tam kupili pierwsze mieszkanie, a potem domek na drugim końcu ulicy. Kiedy zapadła na tę chorobę, pozostała u siebie najdłużej, jak to było możliwe, a po nieuniknionej przeprowadzce przeżyła zaledwie dwa miesiące.

Dlatego też rodzina poprosiła, aby zorganizować ceremonię w parafii, do której należała. W Nancy.

Zadzwońiłem do proboszcza i przedstawiłem mu sytuację. Poprosił o podanie kilku informacji, a kiedy powiedziałem, gdzie zmarła, natychmiast wszedł mi w słowo:

- Chwileczkę, to znaczy, że mieszkała w domu starców?
- Tak, ojczy, przebywała tam od dwóch miesięcy.
- Och, w takim razie musi pan skontaktować się z tamtejszą parafią.
- Ale jej parafią jest kościół księdza! Tam została ochrzczona, poszła do pierwszej komunii, wzięła ślub, obchodziła złote wesele, tam odbył się pogrzeb jej męża!
- Tak, ale nie mieszkała już w dzielnicy. Nie mogę się bawić w odprowadzanie do grobu każdego, kto wziął ślub w moim kościele, bo zapanowałby chaos! Nie mogę panu pomóc.

I rozłączył się.

Muszę wyjaśnić pewien drobiazg: od incydentu, do którego doszło na początku mojej kariery, zabezpieczam się i dzwoniąc do osób, z którymi coś mam załatwić, przełączam telefon na głośnomówiący. Dzięki temu mój rozmówca nie może wmawiać niezadowolonej rodzinie: „Ależ ja tego nie

powiedziałem! Pracownicy zakładu pogrzebowego plotą bzdury!”, ponieważ usłyszaliby: „Owszem, tak właśnie pan powiedział, byliśmy przy tym, słyszeliśmy”.

I dzieci zmarłej siedziały obok mnie, wstrząśnięte, niemal oniemiałe.

Pierwszy wybuchł syn:

– Z całym szacunkiem należnym ludziom Kościoła, to jakaś wredna świnia!

Reszta wzięła z niego przykład. A potem biskup otrzymał list, na który – o ile mi wiadomo – do dziś nie raczył odpowiedzieć.

Chciałbym teraz napisać, że wszystko jakoś się ułożyło, że archanioł Gabriel interweniował, żeby wstawić się za tą parafianką, tak pobożną i wierną. Ale nie. Rodzina pożegnała ją w kaplicy domu starców, zimnej i anonimowej; ceremonię poprowadziła przemiła kobieta, która już w pierwszych słowach przeprosiła za nieobecność księdza, tych jednak było coraz mniej z powodu kryzysu powołań. Nikt nie miał serca wyjaśnić jej, że tłumaczy to ludziom, których Kościół definitywnie utracił. Czyż bowiem Jezus nie rzekł: „Proście, a będzie wam dane, szukajcie, a znajdziecie, kołaczcie, a otworzą wam”?

Napiwek

Podobnie jak wszyscy moi koledzy, patrzyłem z lekka oniemiały na człowieka, który szybko zbliżał się do mnie z harmonią pieniędzy w ręce. Zatrzymał się przede mną, wyciągnął banknot dwudziestoeurowy i podał mi go.

– Proszę, to dla pana, dziękuję, ceremonia była naprawdę doskonała.

I podbiegł truchtem do jednego z kolegów.

Odruchowo zerknąłem na niego w obawie, że wpadnie do dołu, do otwartego jeszcze grobu, gdzie złożono właśnie trumnę jego ojca.

Za moim kolegą nie było już przejścia. Mężczyzna zawrócił, a kiedy przechodził obok nas, zobaczył mnie stojącego z opuszczonymi rękami i dwudziestoma euro w dłoni. W naszym fachu napiwek to rzadkość, zwłaszcza tak hojny. Tym razem każdy z nas dostał banknot. Żona mężczyzny skinęła na niego.

– Pamiętałeś o murarzach?

– Zaraz to załatwię – powiedział, popierając słowa czynem.

Dwóch murarzy i pomocnik, o których na ogół zapomniano, zobaczyli biegnącego do nich człowieczka, który wymachiwał banknotami – istne rozhisteryzowane tornado. Każdy dostał po jednym. Z trudem powstrzymałem się od parsknięcia śmiechem, bo murarze po prostu zbaranieli. Przywykli do ciężkich warunków pracy i nie tak łatwo było wprowadzić ich w zdumienie. Potem mężczyzna stanął zdezorientowany. Omiótł spojrzeniem horyzont i stwierdził, że nie został już nikt do wynagrodzenia. Widziałem, że patrzy na plik pieniędzy, jakby je liczył, zastanawiając się, czy ma ich dość na drugą rundę.

Widywałem różne dziwne reakcje w obliczu śmierci, ale takiej jeszcze nigdy.

Potem mężczyzna się odwrócił. Podszedł do grobu, przy którym stanąłem na dyskretny znak mistrza ceremonii – obrzeże było niestabilne, a facet trochę roztargniony.

Teraz wyraźnie potrzebował rozmowy. Odetchnąłem z ulgą – znalazłem się na znajomym terytorium.

– Pewnie uważa mnie pan za dziwaka?

– Każdy reaguje na swój sposób – odparłem ostrożnie.

Prawdę mówiąc, to dość zaskakujące, że tak niewielu grabarzy próbuje sił w dyplomacji i odwrotnie, bo przecież jesteśmy mistrzami wszelkiego rodzaju akrobacji słownych.

Mężczyzna wydawał się bardzo zadowolony.

– Ojciec był wspaniałym człowiekiem, inteligentnym, kochającym. Zapadł na straszną chorobę – rak wyniszczał go przez długie lata. To było okropne. Leczenie narażało go na ogromne cierpienia, choroba też.

Pokiwałem głową.

– Mówiłem już, że to trwało latami? A my, dzień za dniem, patrzyliśmy, jak wyniszcza go to paskudztwo. Los nie szczędził mu cierpień. Był skazany, a my nie pozwalaliśmy mu umrzeć. Pragnął tylko jednego – dołączyć do mamy. Ale lekarze nie zostawili go w spokoju. Banda hien.

Z jego oczu wycierała gorycz, jednak po chwili zniknęła, jak przemija sztorm na spokojnym morzu. Spojrzał na mnie i znowu się uśmiechnął.

– Teraz to się skończyło. Już nie cierpi. Nareszcie ma spokój. Rozumie pan?

– Strasznie jest patrzeć na cierpienie człowieka, którego się kocha – powiedziałem.

Uśmiechnął się promiennie.

– Oczywiście, cieszyliśmy się, mogąc zatrzymać go przy nas jak najdłużej. Ale co to za radość? To egoizm. Cieszę się, że już po wszystkim. Nie zasłużył sobie na to.

Znów zwrócił oczy na grób.

– Tato...

I zapłakał po cichu.

Do przemyślenia

Rozmowa na imprezie.

– Jestem organizatorem eventów!

– Tak? Brzmi ciekawie! Ale co właściwie robisz?

– Po prostu rozmawiam z organizatorem imprezy, żeby uchwycić, jaki ma projekt, później załatwiam wszystkie potrzebne zezwolenia właściwych organów, a potem zajmuję się koordynacją środków logistycznych i ludzkich, żeby zorganizować imprezę. A czym ty się zajmujesz?

– Ja pracuję w zakładzie pogrzebowym.

– No, oryginalne. Ale na czym to polega?

– Robię dokładnie to samo co ty.

Szczerość

Rodzina przyszła do zakładu pogrzebowego i poprosiła o rozmowę z szefem, Hervém.

– Poradzono nam, żeby zwrócić się właśnie do pana, ponieważ jest pan specjalistą od ceremonii cywilnych, także tych najbardziej skomplikowanych.

– Staram się – odparł ostrożnie Hervé.

– Chodzi o naszego ojca. Zmarł i pragniemy godnie go pożegnać. Jest jednak pewien problem.

– Tak? A jaki?

– Mówiąc wprost, był prymitywnym idiotą.

– Słucham?

– Był gburem i idiotą. Proszę zrozumieć, wszyscy byliśmy z nim skłóceni. Skonfliktował się także z sąsiadami, ze wszystkimi. Tylko ktoś, kto nie znał ojca, mógł się z nim nie kłócić, a najlepiej było nigdy go nie spotkać.

– Hm... I mimo wszystko chcecie oddać mu hołd.

– Tak, ponieważ matka, która była święta, nie zniósłaby, gdybyśmy nie okazali mu szacunku. Ale i dlatego, że był naszym ojcem. Mimo wszystko go kochaliśmy.

– Ale czego oczekujecie? Muszę to dokładnie zrozumieć.

– Ceremonii nieco zgodnej z tym, co powiedzieliśmy. Chcemy, aby było jasne, że mimo wszystko kochaliśmy go trochę, bo był naszym ojcem, ale trzeba też delikatnie przypomnieć, że jednak był prymitywnym idiotą. W przeciwnym razie ludzie pomyślą, że jesteśmy hipokrytami.

Pewnie trudno wam w to uwierzyć, ale Hervé zdołał to wszystko wyrazić. Podczas ceremonii ludzie czasem się uśmiechali, jednak wyszli z zaczerwienionymi oczyma. Wszyscy byli zgodni: idiota czy nie, potrafił dobrze wychować dzieci.

„Szczególny”

W świecie usług pogrzebowych obowiązują szeroka tolerancja i poszanowanie odmienności, dlatego też bardzo rzadko używa się tu tych modnych pojęć.

Ta szeroka tolerancja wyraża się poprzez użycie słowa „szczególny”.

Żeby uniknąć głupiej i niezamierzonej złośliwości, przesadnej ścisłości albo obraźliwości – do tego zaś może doprowadzić wydawanie ocen wartościujących na podstawie własnego doświadczenia i osobowości, a z pominięciem wielkiej różnorodności świata – nie powiemy na przykład:

– Ta rodzina to banda wariatów.

Albo:

– Cholerni łajdacy, czekają tylko, żeby w końcu iść do notariusza.

Nie, powiemy wtedy:

– Są dość szczególni.

Nie jest to oczywiście uniwersalna reguła. Ale obserwowałem ją na tyle często, żeby o niej wspomnieć. Ten, kto chce pracować w zakładzie pogrzebowym, powinien umieć posługiwać się eufemizmami.

Nie powiemy na przykład:

– Lepiej, żeby nie oglądał pan zwłok ojca, ponieważ kiedy je odnaleziono, leżały już sześć tygodni pod ziemią. Są czarne i obrzmiałe, zżera je robactwo, wszędzie są płyny ustrojowe, a tego smrodu nawet pan sobie nie wyobraża. I niech mi pan nie wmawia, że pan się o niego troszczył, wyrodny synu, bo przez cały ten czas nawet pan do niego nie dzwonił.

Lepiej zabrzmiałoby:

– Odradzam oglądanie ciała, czas zrobił już swoje, to naprawdę przykry widok.

Jeżeli jednak ktoś wygrał w Lotto i chce z przytupem rzucić pracę, może dodać: „Wyrodny syn!”. W innych sytuacjach lepiej to sobie darować.

Wiem, to specyficzne zajęcie.

Jeśli asystent pogrzebowy, który rozmawiał z rodziną, nie jest zarazem mistrzem ceremonii, który poprowadzi pogrzeb, to uprzedza kolegę, że rodzina jest „szczególna”.

Bruno nie należał do takich mistrzów ceremonii. Nie tolerował użycia tego słowa. Uważał, że nie ma rodzin szczególnych. Na początku kariery beszał każdego, kto udzielał mu takiej informacji, nie umiając sprecyzować, co tak szczególnego cechuje rodzinę, jednak z biegiem lat stopniowo przestawało mu zależeć na precyzji, i tak bowiem polegał na doświadczeniu.

A to było ogromne – dwadzieścia lat w zawodzie, kilka tysięcy ceremonii na koncie. Gdy przychodził na miejsce złożenia do trumny, jedno spojrzenie wystarczało mu, żeby ocenić sytuację: atmosferę, ludzi i relacje między nimi.

Bruno ma kamienną twarz. Powiedzmy, a będzie to eufemizm, że nie miały szans na zwycięstwo w konkursie na miny i grymasy. Dlatego często uznawano go za nieprzystępnego i zimnego. Ci, którzy znają go bliżej, wiedzą, że wiele doświadczył, jest spokojny, cierpliwy, nie ma w sobie ani odrobiny złośliwości, jest inteligentny i przenikliwy.

To mistrz ceremonii. Z prawdziwego zdarzenia.

A zatem wraz ze swoją ekipą zapukał do drzwi salonu, gdy nadszedł czas na złożenie zwłok do trumny. Wszedł, a jeden z jego ludzi dyskretnie zatrzymał się w progu, na wypadek gdyby pojawił się jakiś problem.

Niektórzy reagują bardzo gwałtownie na cierpienie związane z utratą drogiej im osoby, czasem szukają winnych. Otóż grabarze, którzy za opłatą usuwają zwłoki drogiego zmarłego, to łatwy cel dla gniewu uderzającego na oślep.

Tym człowiekiem w progu byłem ja. Z miejsca, gdzie stałem, miałem doskonały widok na cały pokój i szczerze mówiąc, choć w tamtym okresie żywiłem już pewne ambicje zawodowe, do dziś cieszę się, że tamtego dnia nie byłem mistrzem ceremonii. Są pogrzeby, które się prowadzi, które chciałoby się prowadzić i po których cieszymy się, że przypadły komuś innemu. Oczywiście jako mistrzowi ceremonii.

Powiedział:

– Dzień dobry państwu.

I ciągnął:

– Nazywam się Bruno X, jestem mistrzem ceremonii. Wraz z moją ekipą

będę towarzyszył państwu podczas pogrzebu państwa ojca.

W salonie było ich siedmioro: małżonka zmarłego, jeden albo dwóch synów, córka, synowe i zięć; niewiele wiedzieliśmy. A kiedy wszedł do salonu i zaczął mówić, oni stali w półkolu, patrząc na zmarłego. Nikt się nie ruszył. Gdy Bruno się przedstawił, jeden z synów (który wyglądał jak zmarły za młodych lat) ledwie odwrócił ku niemu głowę i spojrzał pustym wzrokiem, jak na natrętną muchę, która pcha się do szklanki z sokiem, a potem znów odwrócił głowę i skupił się na zmarłym.

Wyczułem, że Bruno lekko się zawahał.

Mimo to kontynuował:

– Jeżeli państwo pozwolą, zabierzemy kwiaty i przystąpimy do złożenia do trumny. Zechcą państwo na chwilę opuścić ten pokój, poproszę tu państwa, kiedy zmarły spocznie w trumnie.

Nic. Cisza. Nikt nie był łaskaw choćby na niego zerknąć. W końcu wdowa w ciszy wyszła z pokoju, a inni podążyli za nią. Bruno zamknął za nimi drzwi dla gości, upewniwszy się, że zbytnio się nie oddalą.

Blady, z kropelkami potu na czole, zwrócił się do nas:

– Co oni wyrabiają? Dobra, chłopaki, zabierzcie kwiaty, złożcie go do trumny. Ja muszę coś sprawdzić.

Wrócił po pięciu minutach i choć zwykle miał kamienną twarz, teraz zmarszczka na czole zdradzała zatroskanie.

– I co? – zapytaliśmy, wiedząc, że poszedł pomówić z doradcą pogrzebowym, który przyjmował tę rodzinę.

– I nic.

Potem, czując, że nie zaspokoił naszej ciekawości, wyjaśnił:

– Rodzina zachowywała się tak samo podczas załatwiania spraw. Przez cały ten czas wypowiedzieli może dziesięć słów. W ciągu godziny i piętnastu minut padło z ich ust dziesięć słów.

– Na osobę?

– Nie, na wszystkich.

Wydawało się, że zaraz zaszlocha.

– Nie są głuchoniemi, nic z tych rzeczy, po prostu zachowują się, jakby

nikogo nie dostrzegali.

– A my co mamy robić?

– Wykonamy naszą pracę. Po prostu jeszcze nie wiem jak.

I zrobiliśmy, co do nas należało.

Kiedy ułożyliśmy zmarłego w trumnie, Bruno poszedł po rodzinę. Wszyscy weszli do salonu, nawet nie patrząc na mistrza ceremonii.

Potem nadszedł czas, by zamknąć trumnę. Bruno poinformował o tym i, wobec braku jakiegokolwiek reakcji, dał nam znak, byśmy zaczęli. Gdy zbliżyliśmy się do trumny z wiekiem, oni wyszli bez słowa. Wszyscy. Jak jeden mąż. Bez słowa. Obrócili się na pięcie i ruszyli w stronę drzwi.

Bruno ledwie zdążył rzucić: „Spotkamy się na dziedzińcu kościoła”, a już echo tych słów odbiło się od zamykających się drzwi i skonało, obolałe i krwawiące.

Przed kościołem, kiedy tam dotarliśmy, nikt na nas nie czekał. Rodzina była już w środku. Bruno przywitał się z kapłanem, drobnym, sympatycznym staruszką, który przyjął go jak mesjasza.

– Są dziwni. Nie zgodzili się ani na czytanie z Ewangelii, ani na nic innego. Niezwykle milczący ludzie.

– Tak – przyznał Bruno – oględnie mówiąc...

Zostaliśmy, by uczestniczyć we mszy.

Nigdy nie widzieliśmy równie zdezorientowanego kapłana. Asystowała mu świecka kobieta i oboje raz po raz wymieniali spojrzenia, w których rozpacz stopniowo przeradzała się w rezygnację. Rodzina wstawała, kiedy należało, siadała, kiedy przychodził na to czas, ale ani nie śpiewali, ani nie odpowiadali „amen”, kiedy uczyniłby to każdy inny, i nawet nie udawali, że odmawiają *Ojcze nasz*. Kiedy nadszedł czas na ostatnie błogosławieństwo, wstali i kolejno błogosławili trumnę, a potem wyszli.

Na cmentarz.

Bez słowa, bez żadnego gestu, wciąż tworząc to przytłaczające półkole.

Bruno wygłosił mowę, prostą, podstawową.

Po spuszczeniu trumny do grobu i zamknięciu go pożegnaliśmy się i wróciliśmy do zakładu.

Przy dystrybutorze z kawą spotykały się wracające ekipy. Rozmawiano. Ale my nie wiedzieliśmy nawet, jak opowiedzieć o tym, co nam się przydarzyło.

Bruno znalazł w końcu odpowiednie słowa. Wszyscy byli zaszokowani jego relacją.

Powiedział:

– Rodzina była... szczególna. Tak, to trafne słowo. Szczególna. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Potem wybrał w dystrybutorze cappuccino, ignorując pełną konsternacji ciszę, która go otaczała. Widział gorsze rzeczy.

Busola wiary

Mężczyzna, jeszcze dość młody, zmarł po długiej i ciężkiej chorobie. Ponieważ był Marokańczykiem, rodzina postanowiła wysłać go do kraju, by spoczął w ziemi przodków. Zajęliśmy się ciałem, złożyliśmy je do trumny, wszyscy zebrali się w meczecie na modlitwę za zmarłych, ale z przyczyn technicznych trumnę można było załadować do samolotu dopiero nazajutrz. Dlatego postanowiliśmy bezpłatnie oddać do dyspozycji rodziny jeden z naszych saloników pogrzebowych.

Z meczetu przewieźliśmy więc trumnę na miejsce oczekiwania na wielką podróż. Wszystko pod okiem dwóch imamów.

A, zapomniałbym o pewnym szczególe: wuj zmarłego był marokańskim imamem i przeczuwając rychłą śmierć siostrzeńca, przyjechał do Francji. Z przyczyn, których nie udało mi się wyjaśnić, nie mógł tu pełnić swej posługi, toteż rodzina zwróciła się do oficjalnego imama, by dopełnił ceremoniału, wuj natomiast wziął na siebie rolę „doradcy duchowego”. Być może kierowano się po prostu czystą kurtuazją.

Po przyjeździe do domu pogrzebowego wyładowaliśmy trumnę, którą zabrałem na specjalnym wózku do salonu.

Czekała tam już cała rodzina i dwóch duchownych.

Marokańczyk nosił tradycyjne szaty, czyli śnieżnobiałą dżelabę. Jego długa, przycięta prosto broda opadała mu na tors. W ręce trzymał Koran, który zresztą nie był mu potrzebny, ponieważ znał go na pamięć. Francuski imam, choć również Marokańczyk, nosił beżowe spodnie, szarą koszulę i miał trzydniowy zarost w stylu Vincenta Cassela.

I obaj coraz ostrzej się sprzeczali.

Trumnę należało ustawić tak, by zmarły spoglądał w stronę Mekki. Według mnie dwaj panowie różnili się tu w poglądach o trzydzieści stopni, a gra toczyła się tak: każdy z nich przedstawiał poważny argument, następnie zaś zwracał się do mnie i mówił:

– Obróć ją trochę w tę stronę, jeszcze, jeszcze. Stop! Doskonale!

Efektem była interwencja tego drugiego.

– Ależ nie, dziś rano, w porze modłów, konstelacja znajdowała się w tym kierunku, patrząc z meczetu. Meczet znajduje się tam, więc Mekka jest tu! Obróć tę trumnę, jeszcze, jeszcze. Stop! Doskonale.

I tak dalej.

Po pewnym czasie rozpaleni dyskusją panowie przeszli na arabski. Żaden z nich nie udzielał mi już wskazówek, a ja trzymałem się na stosowny dystans. Jeden z przyjaciół rodziny stał niedaleko ode mnie. Powiedział, uśmiechając się z zażenowaniem:

– Przepraszam za nich.

Nikt inny nawet nie drgnął, bo któż odważyłby się przerwać doktorom Koranu tak poważną dyskusję.

– Proszę się nie niepokoić, to nie potrwa już długo – dodał mój sąsiad.

– Naprawdę? – zapytałem. – A skąd pan wie?

Znów się uśmiechnął.

– Posłałem syna po kompas.

Odważyłem się zadać nurtujące mnie pytanie.

– Rozumiem, ale dlaczego w takim razie ci dwaj nie czekają spokojnie na ten sprzęt? Zastanawiam się zresztą, czemu sami nie poprosili od razu o kompas.

Mężczyzna westchnął.

– Też tego nie rozumiem. Ale skoro sami na to nie wpadli... Jednak to nie zdobycie kompasu jest problemem, tylko przekonanie ich, że to był ich pomysł. W przeciwnym razie obaj się obrażą.

Sobota w Kerangoff to dzień ślubów

Mamadou i Maryam brali ślub w Breście. Ta młoda para spotkała się nieoczekiwanie i odtąd ich życie, wcześniej nijakie, całkowicie się zmieniło.

Mamadou przyjechał do Francji sam, żeby studiować. Ojczyście Kongo wydało mu się bardzo odległe, kiedy wyszedł na płytę lotniska, na bretońską mżawkę i smagający twarz wiatr. Przez kolejne lata pilnie studiował, ciesząc się sympatią wszystkich kolegów, którzy zgodnie podkreślali jego zalety, uprzejmość, spokój, chęć pomagania innym.

Mimo to czuł się przygaszony, a kiedy słońce wychylało się zza chmur, miał wrażenie, że jest blade i bardzo dalekie, tak różne od słońca nad jego ojczystą Afryką – majestatycznej gwiazdy zalewającej ostrym blaskiem suchą, tajemniczą dla Europejczyków ziemię, o której wciąż myślał jak o domu.

Pewnego wieczoru, kiedy wychodził z piekarni, gdzie zafundował sobie ulubiony „paryż-brest” w nagrodę za świetne wyniki śródsesemestralne, wpadła na niego rozpędzona Maryam, a ciastko wyleciało mu z ręki i nakreśliło łuk, który zapowiadał fatalne lądowanie.

Ale Mamadou wcale się nie zmartwił, bo od tej chwili nie widział świata poza Maryam, która wpatrywała się w niego, jeszcze oszołomiona i zdziwiona, i jąkała się, przepraszając, choć trudno było zrozumieć, co mówiła. On również chciał ją przeprosić, uspokoić, zapewnić, że nic się nie stało, że to drobiazg bez znaczenia, bo najważniejsze, że od pierwszego wejrzenia zakochał się w pięknej dziewczynie, i że nie powinna robić sobie wyrzutów... Ale zdołał wydobyć z siebie tylko głupawy bełkot.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, bezwiednie poruszając ustami, starając się wypowiedzieć niewyraźne, a potem równocześnie wybuchnęli niezwykle radosnym śmiechem, czystym i krystalicznym, który zabrzmiał jak wyzwanie rzucone światu, bo nawet cały świat nie mógł zniszczyć ich szczęścia.

Po kilku miesiącach Mamadou, który w tym czasie został dyplomowanym

nauczycielem matematyki, i Maryam – władająca czterema językami sekretarka w firmie importowo-eksportowej, powiedzieli sobie „tak” przed urzędnikami merostwa w Breście, a potem „tak” przed Bogiem w małym kościele.

Wychodząc z kościoła, młoda para uśmiechała się i promieniała szczęściem. Skupieni u stóp schodów ich bliscy, którzy specjalnie przylecieli z Konga, przywożąc Mamadou wieści z kraju, a także z Guipavas – rodzinnych stron panny młodej – robili mnóstwo zdjęć, sypali ryżem, rzucali kolorowe konfetti, śpiewali i tańczyli w słońcu Brestu, miasta, które Mamadou nazywał teraz swoim, bo za swoje uznałby każde miejsce, w którym mieszkała jego ukochana Maryam. Zwrócił oczy na żonę, podziwiał ją i zastanawiał się, dlaczego nagle małżonka wytrzeszczyła oczy, stojąc jak wryta. Podążył za jej spojrzeniem.

...

– Nie jest dobrze.

– Co robimy, szefie?

– Parkujemy przy chodniku i staramy się nie zwracać na siebie uwagi.

W karawanie wszyscy wytrzeszczyli oczy tak samo jak Maryam – czterech grabarzy wpatrywało się w nowożeńców wychodzących z kościoła, do którego wieźli klienta odbywającego ostatnią drogę. Setka Afrykanów w kolorowych strojach również obserwowała karawan w osłupieniu, trzymając w rękach na pół opróżnione miski ryżu i aparaty fotograficzne.

Grabarze zdawali sobie sprawę, że oczy weselników zwróciły się nie tylko na nich, ale też na dwadzieścia samochodów krewnych i przyjaciół zmarłego – na cały kondukt, który przejechał przez miasto.

A ja, siedząc za kierownicą dwutonowego karawanu, wypełnionego po brzegi kwiatami i trumną, i mając za pasażerów grabarzy, rozpaczliwie szukałem sposobu, jak „zniknąć” na tych kilka chwil.

Wnosząc trumnę do kościoła, grabarze musieli zachować ostrożność: dywan z ziaren ryżu to zdradzieckie podłoże, łatwo się na nim pośliznąć.

Już po wszystkim dowiedzieliśmy się, że młody ksiądz osobiście ustalał godziny ślubu i pogrzebu, a jako człowiek niedoświadczony postąpił lekkomyślnie: powiedziano mu, że ślub trwa niedługo.

Czy Mamadou i Maryam znali lokalny przesąd, nieco już zapomniany, a głoszący, że spotkanie karawanu na drodze ślubnego korowodu to dobra

wróżba?

O niczym nie zapomnialeś?

To było wezwanie z policji, takie, jakich nie lubimy: ciało, opuchnięte, ogromne, czarne, leżało w płynach ustrojowych w ciasnym mieszkaniu.

A była to kawalerka na poziomie ogrodu, a dokładniej – asfaltu, długa i wąska.

Zmarły znajdował się między metalowym łóżkiem a ścianą. Ze względu na ciasnotę łóżko i ciało zajmowały całą szerokość pomieszczenia.

Policja wyniosła z mieszkania kilka sztuk broni różnego kalibru, od karabinu po strzelbę myśliwską naładowaną brenekami. Wygląd ciała nie pozwalał określić przyczyn śmierci. Czy mężczyzna strzelił do siebie z pistoletu kalibru .22, który leżał kilka kroków od jego zwłok? Tego można się było dowiedzieć dopiero po gruntownym oczyszczeniu ciała na stole sekcyjnym.

Po zebraniu broni i stwierdzeniu zgonu przez lekarza, który podpisał dokumenty już na podstawie wrażeń węchowych, policja wezwała nas, abyśmy przewieźli zwłoki do instytutu medycyny sądowej.

Na miejsce przyjechało nas trzech – dwaj dyżurujący koledzy i ja, ponieważ przypadkiem byłem w okolicy, a pomoc zawsze przydaje się w takich okolicznościach. Dumni ze swej zdobyczy policjanci pokazali nam zarekwirowaną broń, którą ułożyli w ciężarówce.

– Możecie zaczynać, wszystko zabraliśmy.

Weszliśmy do mieszkania i byliśmy zmuszeni przejść po łóżku, żeby dostać się do ciała od drugiej strony. Po kilku próbach zrozumieliśmy, że połamiemy sobie kręgosłupy, jeżeli ułożymy nosze na łóżku i będziemy usiłovali przenieść na nie ciało. Zmarły miał ogromną nadwagę i bez wątpienia podczas sekcji lekarz doradziłby mu, gdyby miało to jeszcze sens, kontrolować poziom cholesterolu. Lekarze uwielbiają udzielać takich rad. Tak czy inaczej, nasze możliwości były ograniczone – żeby zyskać trochę miejsca, musieliśmy podnieść łóżko i oprzeć je o ścianę.

Tak zrobiliśmy.

Ale „łup, łup!” nie było przewidziane. Dźwięk przypominał uderzenie metalu o metal – coś metalowego spadło na części łóżka.

Policjanci czekali na zewnątrz: po co katować się w smrodzie rozkładającego się ciała, skoro można tego uniknąć? Ujrzeni wychodzącego grabarza. W takich okolicznościach grabarz musi nosić biały kombinezon ochronny, plastikowe obuwie ochronne i wielkie ochronne rękawice. Ale czy powinien trzymać broń palną dużego kalibru i pytać obecnego na miejscu śledczego:

– Przepraszam, czy na pewno o niczym nie zapomnieliście?

Katastrofa

Dostaliśmy wezwanie z posterunku policji przy rue Colbert, była 19.45. Zwłoki znajdowały się na terenie Guipavas, a dokładnie – na lotnisku międzynarodowym Brest.

Telefonistka z policji, prawdopodobnie młoda, nie potrafiła powiedzieć nic więcej. Samolot rozbił się pod Guipavas. Wszyscy wpadli w panikę, konieczna była pomoc zakładu pogrzebowego. Potem połączenie się urwało. „To na pewno jakieś zakłócenia elektromagnetyczne spowodowane przez wrak”, snuł domysły asystent pogrzebowy, który odebrał ten najbardziej wstrząsający w swojej karierze telefon. Natychmiast zadzwonił do dyżurującego kolegi, kierowcy ambulansu, który właśnie usadowił się w fotelu z filiżanką kawy, żeby obejrzeć wiadomości o 20.00. Biedak nie domyślał się, że dokładnie dwie minuty i siedemnaście sekund później jego serce zamrze na czas jednego uderzenia i że o mało nie przewróci małego stolika, bo pośliźnie się na kałuży kawy, gdy znajomy głos obwieści mu katastrofę samolotu na Brest-Guipavas.

Dołączył do kolegi, prowadząc jak automat i niemal paląc opony, a potem już razem z nim pojechał ambulansem przez cały Brest o tej szczególnej porze, kiedy dzień spotyka się z nocą i zamienia z nią tajemnicze słowa, które wiatr niesie gdzieś za horyzont wraz z ciepłem dnia. Tak właśnie było i tym razem.

Jeden z grabarzy, skupiony tak mocno, że na jego czole pomiędzy brwiami pojawiły się pionowe zmarszczki, zmuszał się, żeby myśleć o drodze, tylko o drodze, która przesuwawała się z niesłychaną szybkością, no i o czerwonych światłach, które lekceważył, i o rondach, które przecinał. Odpędzał od siebie wizje płomieni, poszatkowanych, zwęglonych ciał, oderwanych rąk i nóg walających się po ziemi, nocy rozświetlonej niebieskimi kogutami, bezsilnych ratowników biegających we wszystkie strony i niechących wyrzec się resztek nadziei, że gdzieś dostrzegą oznaki życia, gdzieś dalej, bo potężny wrak samolotu przemieniony w trumnę znajdował się na pierwszym planie, a przed nim, na zalanej paliwem trawie, leżała pluszowa zabawka, własność jednego z najmłodszych pasażerów, niewinnej ofiary obłądu, w jaki popadli ludzie,

gnając na oślep ku postępowi, podbijając niebo mimo nauczki, jaką bogowie dali Ikarowi. To dziecko zabrało ze sobą resztki niewinności tkwiącej we wszystkich, którzy znaleźli się na miejscu katastrofy.

Czuł, że po twarzy spływają mu łzy i strużki potu. Samolot rozbił się w Guipavas.

A drugi dzwonił uporczywie i bez wytchnienia. Najpierw do szefa, dyrektora regionu północnej Bretanii, który miał zatelefonować do wszystkich biur, żeby postawić je w stan pogotowia. Należało ściągnąć wszystkich, którzy mieli wolne, żeby już wkrótce cały sprzęt ruszył do Brest-Guipavas. Potem zatelefonował do szefów innych regionów, aby także zarządzili mobilizację. Wszystkim opowiadał o płomieniach, o zmasakrowanych ciałach, o nocy migoczącej światłami wozów policyjnych i strażackich, o bezsilności ludzi, którzy biegali jak opętani, szukając iskry nadziei, oznaki życia gdzieś za potężnym wrakiem maszyny, która przemieniła się w trumnę...

A za oknami wozu przesuwiał się niewzruszony Brest. Dogasające światło dzienne otulało jego prostą architekturę powojennego miasta, którego piękno było niewidoczne dla oczu, a jedynie dla serc Bretończyków i Bretonek pragnących patrzeć na swe miasto inaczej niż na banalny ciąg ulic. Morskie powietrze pieściło ich nozdrza, niosło zapachy z całego świata napływające zza oceanów. Świat był obojętny na dramat, ku któremu pędzili. Rue Jean-Jaurès, Place de Strasbourg. A potem rue de Paris. Wreszcie dotarli do Coataudon-Tourbian, skręcili w stronę lotniska, zobaczyli patrole stojące na skraju polnej drogi. Była też garść strażaków. Prawdopodobnie posterunek, który odciął drogę.

– Dobry wieczór, panowie. Szybko przyjechaliście!

– Najszybciej, jak to możliwe. Gdzie to się stało?

– Tam.

Policjant wskazał łąkę ukrytą za pagórkami.

– Dobrze. Posiłki są już w drodze. Czy strażacy uturują nam drogę? Gdzie urządzimy kaplicę polową?

– Co takiego?

– Kaplicę polową!

Zapadła głucha cisza. Pan Nierozumiejący podrapał się po głowie.

- No wie pan, dla ofiar!
- O... Panowie, co dokładnie wam powiedziano?
- Że rozbił się samolot. To nieprawda?
- Owszem, dokładnie tak. Cessna 172M, jeśli się nie mylę. Czteroosobowa. Ale na pokładzie był tylko pilot. Dostał zawału i nie zdołał wylądować awaryjnie... Ej, chłopaki, co z wami? Strasznie zbledliście!

Most na rzece Styks

Bernardowi

Mężczyzna niedawno owdowiał. Wcześniej, bo miał dopiero siedemdziesiąt lat. I zaczął marnieć. Nie jeździł już nawet do wiejskiego domu, gdzie on i jego nieodżałowana żona przeżyli tyle cudownych chwil. Siedział zamknięty w mieszkaniu w Breście, gdzie zwykle spędzali tylko zimę. Przestał wychodzić, nic nie robił, jakby już nie żył.

A jego dzieci zastanawiały się, co począć.

Niemal przypadkowo jedna z jego wnuczek dokonała odkrycia, które miało wszystko odmienić. Pewnego popołudnia, kiedy została u niego, czekając na powrót rodziców z pracy, przeczytała artykuł o filmie, który właśnie wszedł na ekrany, i poprosiła dziadka, żeby poszedł z nią do kina.

Zgodził się, żeby sprawić jej przyjemność.

W następną niedzielę, przy stole, z ożywieniem i radością mówił o filmach, które widział. Ku powszechnemu zaskoczeniu okazało się, że lubi kino i że od wyprawy z wnuczką już trzy razy wybrał się na jakiś film. Dzieci złożyły się, żeby kupić mu duży telewizor i kino domowe. Emeryt zaprenumerował pisma, które czytał, oglądając oryginalne wersje ulubionych filmów, i czekał na środę – dzień wypraw do kina. Potem, aż do weekendu, oglądał nowości. Wziął sobie za punkt honoru obejrzeć wszystkie nowe filmy.

A kiedy czas zrobił swoje i uniemożliwił mu chodzenie do ciemnych sal, oddawał się swej wielkiej pasji w domu, wpatrując się w ekran najnowocześniejszego telewizora. Wielokrotnie oglądał wszystkie warte zobaczenia dzieła.

A potem zmarł. *Tempus fugit.*

Nie był wierzący, pragnął pogrzebu cywilnego i poczynił stosowne kroki. Sam opracował też bardzo dokładny program uroczystości. Chciał odejść przy muzyce z ulubionych filmów.

I właśnie to niepokoiło Bernarda.

Uprzedził nas, to znaczy ekipę, która miała nieść trumnę.

– Chłopaki, będziecie musieli zachować powagę.

Zastanawialiśmy się, dlaczego to powiedział.

Czekaliśmy za drzwiami. Bernard musiał się upewnić, czy wszyscy zajęli miejsca, a potem włączyć muzykę, wolno przejść przez salon i otworzyć drzwi. Wówczas mieliśmy pokonać kilkumetrową odległość dzielącą nas od katafalku, ustawić trumnę, ułożyć wokół niej kwiaty, a następnie wycofać się i czekać w pobliżu do końca ceremonii.

Nic trudnego. Naprawdę zastanawialiśmy się, co niepokoi Bernarda.

Czekaliśmy już kilka minut, gdy drzwi nareszcie się otworzyły. Bernard powinien się cofnąć, żeby umożliwić nam wejście. Tymczasem nieoczekiwanie wyszedł na korytarz techniczny i szepnął nam, robiąc groźną minę, która ledwie pokrywała jowialno-kpiarski uśmieszek, tak dla niego charakterystyczny:

– Chłopaki, mówię serio, jeżeli zobaczę, że któryś z was się śmieje, obedrę ze skóry!

W końcu weszliśmy. Z namaszczeniem przenieśliśmy trumnę na miejsce, przechodząc pomiędzy stojącymi żałobnikami, których smutek rzucał się w oczy. Potem wycofaliśmy się. Na zewnątrz, oddalwszy się na bezpieczną odległość od sali, mogliśmy wreszcie odetchnąć i nie hamować dłużej nerwowego śmiechu.

Staruszek przygotował sobie ceremonię. Wybrał muzykę z ulubionych filmów. Chyba nade wszystko zależało mu, żeby wejść do salonu przy wesołych i wpadających w ucho pogwizdywaniach z *Mostu na rzece Kwai*.

**Często
(zbyt często)
powtarzane**

– Ty przynajmniej nie możesz narzekać na uciążliwych klientów.

Geopolityka

Wszystko zaczęło się w odległej, egzotycznej krainie. Mężczyzna pojechał tam budować turbiny wiatrowe, żeby miejscowi mieli elektryczność. A może budował szkołę? Żeby dzieci mogły się rozwijać dzięki nauce i w przyszłości przyczynić się do rozkwitu swego kraju i narodu. Prawdę mówiąc, nie wiem. Być może budował leprozorium. Został tam wysłany przez Francję z misją. Dzięki jego pracy świat miał się stać nieco lepszy.

A tego wieczoru wracał właśnie z pracy. Przeszedł przez targ, uśmiechając się do przyjaznych tubylców, którzy odwzajemniali jego uśmiech, podziwiał barwne tkaniny, z których szyli ubrania, wdychał zapach przypraw, zachwycał się fakturą skórki słodkich owoców. O tej porze tłum już się przerzedził, toteż szybko przemierzył targ i zobaczył małą restaurację, gdzie czekali na niego koledzy.

Na myśl o aromatycznych potrawach, które będzie zajadał, pociekła mu ślinka. Marzył też o świeżo wyciśniętym soku z pomarańczy i dojrzałych w słońcu owocach.

Nie zwrócił uwagi na mężczyznę, który go minął, nie zauważył pełnego nienawiści spojrzenia, jakim obrzucił go ten człowiek. Uniósł rękę, żeby przywitać przyjaciół siedzących kilka metrów dalej, gdy terrorysta zdetonował ładunki ukryte w pasie. I wszystko się skończyło.

Francja odebrała to, co pozostało z jego rozerwanego ciała, i przesłała w cynkowanej trumnie do ojczyzny.

Zgodnie z jego wolą miała się odbyć ceremonia cywilna, po niej zaś kremacja.

Duża sala domu pogrzebowego była wypełniona po brzegi. Po jednej stronie siedziała wdowa – piękna młoda kobieta. Jasne oczy i długie blond włosy opadające na wątle ramiona przyciągały spojrzenia, odwracając na moment uwagę od bardzo ważnej informacji: wdowa była w ciąży. Spuściła zaczerwienione oczy i mimo cierpienia zachowywała się z wielką godnością.

Wzbudzała podziw. Otaczali ją przyjaciele.

Po drugiej stronie sali zgromadziła się rodzina zmarłego: rodzice, brat, siostra, ich małżonkowie oraz dzieci.

Ceremonia była wzruszająca i przebiegała bez incydentów, wdowa płakała, wciąż pełna godności. Kiedy wszystko się skończyło, wstała, podeszła do trumny męża, położyła na niej mały bukiet, który trzymała dotąd w ręce, a który – jak wyznała mistrzowi ceremonii, był identyczny z tym z jej ślubu. Potem przytknęła palce do ust, a następnie musnęła nimi trumnę. Odeszła i usiadła. Rodzina, która przez cały ten czas unikała patrzenia na nią, wstała i podeszła do trumny.

Pracownicy zakładu pogrzebowego z trudem ukrywali oburzenie. Cóż za okrutna rodzina! Odsunąć się od młodej ciężarnej wdowy, która potrafi zachować się z godnością w tak dramatycznej sytuacji! Potem trumnę zabrano, by przewieźć ją do krematorium.

Na dziedzińcu przed salą utworzyły się dwie grupy. Po jednej stronie śliczna i pełna godności wdowa odbierała kondolencje, zachowując powściągliwość, uśmiechając się subtelnie i zamieniając z każdym dwa słowa, a po drugiej stronie rodzina: zacięte, surowe twarze. Grabarze ze zdziwieniem patrzyli, jak szef techniczny zakładu podchodzi do krewnych, wita się ze wszystkimi i przystaje na chwilę przy bracie zmarłego, by zamienić z nim kilka słów.

Po chwili wrócił do ekipy.

– Udana ceremonia?

– Tak, żadnych problemów. Znasz jego rodzinę?

– Owszem, brata. Nasze dzieci grają razem w piłkę nożną.

– A, rozumiem! Nie miej mi tego za złe, ale...

– Co?

– To jakaś banda chamów! Nawet nie raczyli spojrzeć na wdowę, chociaż przecież oczekuje dziecka, ich wnuka i bratanka! Jestem pewien, że kryją się za tym pieniądze!

– I masz rację!

– No widzisz!

– Tylko muszę ci coś wyjaśnić. Widzisz, temu bratu powiodło się w życiu.

Był doskonałym inżynierem, świetnie zainwestował już pierwsze zarobki. Pieniądzy miał w bród. Rodzina od pokoleń posiadała dwór, ale rodzicom brakowało pieniędzy na jego utrzymanie. Inżynier go odkupił, odrestaurował i pozwolił rodzicom tam mieszkać. Potem spotkał kobietę młodszą o piętnaście lat. Zakochał się od pierwszego wejrzenia. Ożenił się z nią.

– Piękna historia. W czym problem?

– Otóż dowiedział się, że podczas jego podróży żoneczka była, nazwijmy to, bardzo zajęta.

– Zdradzała go?

– O tak! Zresztą kiedy zaszła w ciążę, on od miesiąca był za granicą.

– No tak, teraz rozumiem, dlaczego im się to nie podoba.

– Zwłaszcza że powiedział bratu, że zaraz po powrocie do Francji wystąpi o rozwód, nie zostawił jednak żadnego dowodu na piśmie. Dlatego wdowa dziedziczy wszystko. Pieniądze, polisę na życie, odszkodowanie od państwa i rodzinną posiadłość. Dzień po otrzymaniu wiadomości o jego śmierci wysłała do rodziców list polecony, nakazując im natychmiast opuścić dom. A w dodatku w oczach ludzi jawi się jako szacowna wdowa po porządnym człowieku, ofierze ślepego terroryzmu. Rodzinie nie została po nim żadna pamiątka, absolutnie nic. I co, nadal tak jej współczujesz?

Obaj zwrócili oczy na wdowę. Na jej twarzy wciąż błąkał się ten uśmiezek, jednak teraz odbierali go już inaczej.

Właściwy rozmiar

Przygotowywałem właśnie kontrakt pogrzebowy dla małżonków w podeszłym wieku, kiedy państwo ci przyszli na umówione spotkanie, aby wybrać trumnę i obicie. Pan był ubrany bardzo elegancko, choć zwykle widywałem go w znacznie swobodniejszych strojach.

Krążąc wśród wystawionych trumien, zaczął przykładać próbki tkanin obiciowych do marynarki. A jego małżonka za każdym razem oceniała:

– Może ten... No nie! Zupełnie nie pasuje!

Choć zawsze staram się pozostawić klientom pełną swobodę decyzji, na mojej twarzy musiało malować się głębokie zdumienie, ponieważ pani wyjaśniła mi, że sprawdzają, jak dany kolor i tkanina komponują się z garniturem. Zadałem wtedy głupie pytanie:

– Jesteście państwo pewni, że w dniu śmierci pan będzie ubrany właśnie w ten garnitur?

Małżonka wykrzyknęła:

– Oczywiście! Dziś włożył go wyjątkowo, poza tym przechowujemy go troskliwie. Był szyty na miarę, to jego pośmiertny garnitur.

Decyzja

Była młoda i martwa. Umarła za młodo, w najokrutniejszy, najbardziej niesprawiedliwy sposób, jaki można sobie wyobrazić: zamordowana przez ukochanego. Zginęła od ciosów zadanych przez kochanka, którego kochała do szaleństwa, choć bił ją jak bokser worek treningowy.

Sala była wypełniona, wszystkie miejsca siedzące zajęte, nawet po bokach zebrał się tłum tych, którzy stali. Drzwi nie zamknięto ze względu na ludzi drepczących po holu wejściowym. Okna weneckie wychodziły na taras i mimo mżawki pozostały szeroko otwarte. Tam też zgromadziły się setki osób, które stały w skupieniu i ciszy, nie zważając na niepogodę.

Rodzina była znana. Matka przed kilkoma laty przegrała walkę z rakiem, a ojciec starał się jak najlepiej wychować czwórkę dzieci. Siedziały w sali, w pierwszym rzędzie.

Podobnie jak ojciec, który był wśród nich, ich małżonków i dzieci. Nieruchomy, skamieniały. Czuł się winny. Córka próbowała z nim rozmawiać, ale nie chciał jej wysłuchać. Sądził, że próbuje mu się zwierzać z problemów sercowych, i przerwał jej obcesowym:

– Jesteś już dużą dziewczyną, radź sobie sama.

Gdyby jej wtedy wysłuchał, mógłby jej pomóc, powtarzał sobie w duchu, sam z tak wielkim ciężarem.

Tak przynajmniej myślały jego dzieci.

Odkąd złożył zamówienie w zakładzie pogrzebowym – krótkie, bo zamykające się w słowach „Wszystko, co macie najpiękniejszego, dla mojej córki nic nie jest za dobre”, odezwał się najwyżej trzy razy.

Był tu, wpatrywał się w ścianę przed sobą, twarz miał jak wykutą z kamienia, ale oczy czerwone.

Wokół słyhać było szepty. Nikt nie wiedział, jak się zachować. Czy lepiej zostawić go w spokoju, czy może podejść i porozmawiać? Jaką postawę przyjąć w obliczu takiej tragedii?

Wyczuwało się, że obecni pełni są gniewu. Morderca gnił w więzieniu, jednak wcale nie czuł się winny. Prosił nawet o przepustkę na pogrzeb żony, „która go sprowokowała”. Kochał ją i nie żywił do niej żalu. Sędzia odparł ironicznie, że gdyby to zależało wyłącznie od niego, chętnie by się na to zgodził, jednak przełożeni mieliby mu za złe, że w pełni świadomie wysłał podsądnego pod ochroną ledwie czterech policjantów w tłum liczący setki osób pragnących jak jeden mąż jego śmierci.

Ale wiadomość dotarła do ludzi. Zwykle tak umiarkowani, tolerancyjni i spokojni, rzucali teraz hasła w rodzaju „lincz” i „kara śmierci”.

Grabarze wyczuwali niemal namacalne napięcie. Narastało, gdy wnoszono trumnę. Czterej wykonujący to zadanie grabarze czuli się niezręcznie. Weszli do sali od tyłu. Tłum rozstępował się przed białą skrzynią i zamykał się za nią niczym morze nad wojskami faraona. W głównej sali osoby, które siedziały, podnosiły się z miejsc, jakby składając hołd zmarłej, a jej ojciec, zauważywszy to poruszenie, o mało nie skręcił sobie karku, byle na nią popatrzeć. Jego wzrok wędrował w ślad za trumną i już się od niej nie oderwał, także gdy stanęła na złoconym katafalku, wokół którego ułożono niezliczone bukiety kwiatów.

Ludzie ucichli, ci, którzy mieli miejsca, usiedli.

Mistrz ceremonii stanął przy mównicy, by zacząć ceremonię pożegnania.

Ale milczał. Ojciec wciąż stał osamotniony i wpatrywał się w trumnę córki. Otaczające go dzieci patrzyły na siebie bliskie paniki. Co zrobić? Czy zmusić go, żeby usiadł, coś mu powiedzieć?

Pośród nienaturalnej ciszy ojciec przeszedł krok, potem drugi i tak powoli zbliżył się do trumny. Nie odrywając od niej oczu, uniósł rękę i położył ją na wieku, nad sercem zmarłej. Nawet nie mrugnął powieką. Nie widział już nikogo ani niczego.

Mistrz ceremonii nie wiedział, co zrobić. Patrzył na rodzinę, nie mógł jednak liczyć na pomoc z jej strony, bo nikt nie śmiał nawet drgnąć. Spojrzał na salę i przekonał się, że jego ekipa jest w komplecie, gotowa do działania, gdyby zaszła taka potrzeba. Poczuł wielką ulgę – nie był sam w klatce z lwami.

Tysiąc par oczu przesuwało się z niego na ojca, czekając na to, co się wydarzy. Ojciec na chwilę uniósł głowę, spojrzał na niego, potem znów skupił się na trumnie. Nie ruszał się.

I wtedy mistrz ceremonii podjął decyzję.

Rozpoczął ceremonię, jakby nie działo się nic niezwykłego. Włączył muzykę, przeplatał ją komentarzami, prosił tych, którzy mieli czytać lub przemawiać, a potem zwrócił się do niezliczonego tłumu, mówiąc, że czas na ostatnie pożegnanie. Wszyscy przechodzili przed trumną, kładli na niej dłoń, całowali, rzucali płatki białych róż. Ojciec nie ruszył się z miejsca, wpatrzony w trumnę, jakby reszta świata nie istniała.

A potem wszystko się skończyło. Grabarze podeszli wolno i ostrożnie, jednak widząc ich, ojciec cofnął się o krok i pozwolił im wypełnić obowiązek. Nie zareagował, gdy winda, która zwoziła trumnę do krematorium, ruszyła w dół. Dopiero kiedy zniknęła, zwrócił się do mistrza ceremonii.

Spojrzał mu w oczy i powiedział tylko „dziękuję”, a potem podał mu rękę. Mistrz ceremonii uścisnął ją i patrzył, jak ojciec zmarłej odchodzi przygarbiony, samotny pośród tłumu.

Sztuka bycia babcią

Było lato. Piękny lipiec, dość słoneczny, by radować serca ludzi, dość deszczowy, by zieleń była soczysta. Trwały wakacje i ulice Brestu opustoszały, jak zwykle o tej porze roku. Wtedy ten dzieciak wrócił do domu. Ustawiliśmy jego lśniąca białą trumnę w salonie rodziców, gdzie przez trzy kolejne dni mieli przychodzić najbliżsi.

Miał siedemnaście lat, gdy pewnego wieczoru, a raczej ranka, skończyły się jego wakacje w Wandei. Wracał z przyjaciółmi z dyskoteki, ich samochód zderzył się z autem pijanego kierowcy. Chłopak, który prowadził samochód z siedemnastolatkiem, nie pił. Z pięciorga pasażerów tego auta troje zginęło, jeden był w stanie śpiączki, a piąta dziewczyna wciąż jeszcze nie wiedziała, czy kiedykolwiek zacznie znowu chodzić.

Pijak wyszedł z wypadku bez jednego zadraśnięcia. Jeżeli istnieje bóg takich moczymordów, to nazywa się Szatan.

Udręczone ciało chłopaka spoczywało więc w salonie dużego domu jego rodziców. Jego trzech bracia i siostra, nie bardzo wiedząc, co robić, krążyli jak błędni wokół trumny, usiłując jakoś powiązać ukochanego brata z tym białym zamkniętym pudłem. Oczywiście nie mogli go zobaczyć. Dla swego dobra.

Ojciec witał gości z kamiennym spokojem, który wywoływał okrzyki: „Cóż za opanowanie!”. Ale ten spokój był pozorny – mężczyzna zamknął się w sobie i, zagubiony, automatycznie reagował na bodźce. Jego oczy były pozbawione wyrazu, jak oczy robota zdolnego robić najwyżej to, czego od niego oczekiwano, nie rozumiejąc znaczenia własnych zachowań.

Matka uciekła do sztucznego rajy dzięki specyfikom zaordynowanym przez lekarza, ale będącym jedynie półśrodkiem. Snuła się jak zjawy. Jej uwagę skupiały rozmaite drobiazgi: przestawianie kwiatów, które zasypały salon, zapas kawy, którą częstowano gości... Rozpaczliwie próbowała przypomnieć sobie, jak się płacze, i chwilami jej się to udawało.

Jedyną trzeźwo myślącą osobą w tym wirze rozpaczki była babcia, która

niezmordowanie krążyła między domownikami. Udzielała rad synowi, pocieszała wnuki, dyskretnie prosiła synową, by z umiarem stosowała leki. Wydawało się, że ma dar znikania, gdy zadanie jest wypełnione, i pojawiania się dokładnie wtedy, kiedy jej obecność była pożądana.

A teraz, gdy ekipa z zakładu pogrzebowego stała u drzwi domu rodzinnego, miała wszystkich na oku. Bo wszystko musiało być doskonałe.

Grabarze zaczęli od załadowania kwiatów, przy okazji przeprowadzając ich przegląd. Zapytali też matkę, która stała z boku, jak powinny zostać rozstawione w kościele. Przy każdej pomyłce, każdym zawahaniu, babcia szybko i delikatnie, jakby nigdy nic, brała sprawy w swoje ręce.

– Na trumnie? Będą już te, nie sądzisz, że to za dużo?

Albo:

– Chyba szkoda zostawić z tyłu te od kolegów ze szkoły?

I w ten sposób bez zgrzytów wszystko toczyło się szybko i sprawnie, wręcz doskonale. Nawet mistrz ceremonii z trudem nadażał za starszą panią.

– Proszę się nie obawiać – szepnęła do niego staruszka. – Na miejscu na pewno wam pomogę.

Potem zabrano ciało. Gdy mistrz ceremonii dał sygnał, by wyniesiono trumnę, babcia czuwała – dzięki niej każdy znalazł się we właściwym miejscu, z którego mógł wszystko obserwować, nie przeszkadzając w pracy grabarzom.

W kościele młoda dziewczyna zalewała się łzami. Od roku spotykała się ze zmarłym i przyszło jej doświadczyć czegoś niezwykle trudnego: żałoby po pierwszej wielkiej miłości. Utonęła w tłumie i wydawało się, że jest skazana na obserwowanie ceremonii z daleka, lecz łagodna, zdecydowana dłoń ujęła ją za rękę i poprowadziła tam, gdzie siedziała rodzina.

– Twoje miejsce jest wśród nas – powiedziała babcia.

Uroczystości towarzyszyły wielkie emocje. Kolejne osoby wspominały zmarłego. Wszyscy podkreślali dobroć tego pracowitego, aktywnego chłopca, opisywali go jako dobrego ucznia i kolegę. Nie padło ani jedno nienawistne słowo, nikt nie wyraził chęci zemsty, wszyscy zachowywali się z godnością. Babka nie spuszczała rodziny z oczu i na najlżejszą oznakę zasłabnięcia, ryzyko omdlenia albo histerycznego wybuchu spoglądała na któregoś z dalszych krewnych, nie tak dotkniętych nieszczęściem, a ten natychmiast zabierał kuzyna

na zewnątrz, by tam odetchnął i nieco się uspokoił.

Grabarze byli pod wielkim wrażeniem. Rodzina mogła w pełni przeżywać żałobę. Staruszka otaczała ją opieką, wkładając w to wszystkie siły.

Potem nadszedł czas, by udać się na cmentarz.

Tu, na oczach wciąż licznych żałobników, mistrz ceremonii wygłosił laudację. Potem czytano wiersze, a wreszcie wszyscy przechodzili przed trumną, by wykonać gest pożegnania. Ostatnim etapem było złożenie do grobu. W ciszy, którą zakłócał tylko szloch, trumna została spuszczone do dołu, potem wszyscy podchodzili, by rzucić na nią kwiat. Przez cały ten czas babcia była przy wnukach, jednemu podała chusteczkę, drugiemu szepnęła kojące słowo albo położyła ciepłą rękę na ramieniu.

I nagle wszystko dobiegło końca. Wszyscy stali tam, zdani tylko na siebie. Zrozumieli wtedy, że życie musi toczyć się dalej, że czekają ich kolejne boje, krótko mówiąc – dotarło do nich, czego chce od nich przyszłość.

Karawan stał nieco dalej. Odniosłem do niego pasy, na których spuszczaaliśmy trumnę. Wtedy moje spojrzenie przyciągnęła drobna sylwetka. Rozpoznałem babcię. Wypełniła swoje zadanie, opiekowała się rodziną, obdzieliła wszystkich miłością i pociechą, wzięła na swe barki wielki ciężar, żeby wszystko potoczyło się możliwie najlepiej.

A teraz – sama, dumna – skryła się, ocierając chusteczką zaczerwienione oczy. Ta chwila była dla niej, teraz mogła już zapłakać.

Dowcipny

W piękny letni dzień, siedząc z przyjacielem przy stoliku w kawiarnianym ogródku, grabarz zauważył mocno zbudowaną kobietę, która szła ulicą. To było silniejsze od niego – odruchowo powiedział do kolegi:

– Tej będzie potrzebny rozmiar A.

Pod nadzorem

Wiem, strasznie gderałem. A jednak miło z jego strony – tego sędziego – że się zgodził. Bo nie musiał. Owszem, to zmroziło obecnych, ale pogrzeb rzadko bywa przyjemny. Facet przy mikrofonie naprzeciw mnie nie wyglądał, jakby żartował. A ja myślałem, że ludzi z zakładów pogrzebowych nic już nie jest w stanie zaskoczyć.

A przecież nie miał się czego obawiać: policjant po każdej stronie – „dobry glina” po mojej prawicy, a „zły glina” po lewicy; my trzej w pierwszym rzędzie, za nami trzy rzędy pustych krzeseł i czterech uzbrojonych po zęby gliniarzy gotowych do błyskawicznej interwencji. Próbowali ukryć mundury, kamizelki kuloodporne i manurhiny przed żałobnikami. Blokowali wszystkie przejścia.

Nie, nie zamierzałem niczego próbować. Ale przecież nie można sobie zabronić o tym myśleć, prawda? A zresztą dokąd miałbym iść, no i jak? Pod paltem, które moi dwaj aniołowie stróże zarzucili mi na ręce, miałem kajdanki. Miałem też swój piękny garnitur, ten z procesu. Poprosiłem tylko, żeby adwokat kupił mi nowy krawat. Nie chodzi o to, że tamten mi się nie podobał, ale dostałem w nim dwadzieścia lat. Nie jestem przesądny, jednak ostrożności nigdy za wiele.

Tak czy siak, ludzie byli nerwowi. I przyszło ich dużo.

Taka już była mama – miała złote serce, wszyscy ją lubili. A ona lubiła wszystkich. Nawet kiedy dostałem pierwszy wyrok za spowodowanie obrażeń, drugi za pobicie, a potem wszystkie kolejne, ona nadal mnie kochała. Kiedy się ustatkowałem, powiedziała: „Wiedziałam, że ci się uda”; kiedy przyłapałem dziewczynę w łóżku z facetem i rozprawiłem się z obojgiem, przyszła do sądu i zeznała: „On jest taki kochliwy”, a sędziowie oniemieli. Rozczuliła ich i całe szczęście, bo inaczej byłoby po mnie!

A teraz leży w trumnie. Tu, przede mną. Ale trumnę ma ładną.

Facet z zakładu pogrzebowego zaczął mówić. Nieźle sobie radzi. Ludzie już prawie zapomnieli, że jestem tu z dwoma policjantami, że mam kajdanki, które

mnie cisną. Odwróciłem głowę i zapytałem dobrego glinę, tego po prawej:

– Naprawdę nie możecie mi zdjąć tych obrączek? Przecież nie ucieknę!

Odmowa. Kategoryczna. Muszę zaznaczyć, że zapytałem go o to już po raz czwarty, więc pewnie ma dość.

Pogrzeb trwa dalej. Gość z zakładu pogrzebowego, chyba nazywają go „mistrzem ceremonii”, radzi sobie naprawdę dobrze. Moja siostra podchodzi do niego, żeby odczytać jakiś tekst, potem siostrzenica. Mnie nie wolno. Nic by z tego nie wyszło: ja czytający wierszyk, taki, jakie mama lubiła, o ptaszkach i kwiatach... z tymi robocopami po bokach.

Mama, która co niedziela odwiedzała mnie w rozmównicy, mama, która przynosiła mi ciasteczka, mama, która mówiła o moim życiu po wyjściu na wolność, mama, która nigdy nie przestała kochać potwora, jakim się stałem, mama... Dobry jest ten gość z zakładu pogrzebowego. Doprowadza mnie do łez. Mnie, faceta, który siedzi po dziesięciu brutalnych napadach, po bójkach w barze, za podwójne zabójstwo. Mnie, takiego twardziela...

Odwróciłem się do dobrego gliny.

– Czy...

– Nie – uciał zniecierpliwiony. – Nie zdejmę ci kajdanków, już powiedziałem.

– Nie o to chodzi, masz może chusteczkę jednorazową?

W tym momencie zły glina – dwumetrowy drań, mający z metr w barach i głowę jak pień, a przy tym ani grama tłuszczu, kanciastą brodę i srogie oczy – choć dotąd patrzył na mnie jak na wyjątkowo ohydny robaka, jak na mordercę, uniósł głowę, spojrział na kolegę zaczerwienionymi oczyma i zapytał:

– Mnie też mógłbyś dać?

Dobry glina i ja popatrzyliśmy na niego, potem na siebie i bez słów zgodnie pokiwaliliśmy głowami: „Ten gość z zakładu pogrzebowego naprawdę jest świetny”.

Prewencja drogowa

Mężczyzna jechał drogą departamentalną niemal tak szybko, jak jechałby drogą szybkiego ruchu, czyli około dwudziestu kilometrów na godzinę ponad limit określony w kodeksie drogowym. Pozwolił sobie na to, ponieważ panował nad samochodem, pogoda była ładna, a przede wszystkim, przede wszystkim, ponieważ był na tej drodze zupełnie sam. Wiem, to nie powód, ale ten szofer jest moim przyjacielem i nie chcę go ranić. Prawdę mówiąc, nie był zupełnie sam: niczym myśliwy polujący na grubego zwierza czeka, aż tygrys ludojad pojawi się w zasięgu jego strzelby, kilku przedstawiciele sił porządkowych wypatrywało przestępcy drogowego, który da się złapać na radar.

I stało się, co musiało się stać: kierowca, któremu nadamy imię Hervé, aby uprościć narrację, chroniąc zarazem jego anonimowość, został zatrzymany za pomocą wielu gorączkowych gestów policjanta, którego nazwiemy policjantem, bo i tak nie wiemy, jak się nazywał.

A zatem Hervé został wezwany do okazania dokumentów, potem poinformowany o wykroczeniu, jakiego się dopuścił, i wreszcie zapytany – a było to kluczowe pytanie – czy przyznaje się do tego wykroczenia. Spontanicznie zaczął mówić – tak, to on, zrobił to, bił się w piersi i obiecywał dzień w dzień chłostać się świeżymi pokrzywami, tak, jechał trochę za szybko i nie mógł podać żadnych okoliczności łagodzących: wzniescie stos, wezwijcie pluton egzekucyjny, a on przyzna się do zbrodni i zapłaci mandat.

Na szczęście policjant – do incydentu doszło dawno temu – uspokoił zatrzymanego kierowcę: nie będzie żadnych sankcji, tylko pouczenie, ponieważ funkcjonariusze drogówki byli tu w ramach działań prewencyjnych. Dlatego też policjant zaprosił Hervégo do zaparkowanego w pobliżu wozu. Odwrócił się na moment, sięgnął po leżącą na półce kartonową teczkę, wyjął z niej różne zdjęcia i rozłożył je na małym stoliku.

Zdjęcia przedstawiały wypadki drogowe. Zmiażdżona blacha, zmasakrowane ciała, twarze uczestników wypadku, na których malowało się przerażenie ogromem dramatu, kałuże jeszcze świeżej krwi, worki na zwłoki – w ponurym

repertuarze nie brakowało absolutnie niczego.

– Jak już mówiłem – wyjaśniał policjant – prowadzimy działania prewencyjne. Na tych zdjęciach widać skutki wypadków drogowych spowodowanych przez jazdę z nadmierną prędkością. I spojrzął na Hervégo, oczekując reakcji.

– Co pan czuje, patrząc na to?

– Nic – odparł Hervé.

– Jak to nic? – zdziwił się policjant, niepostrzeżenie przesuwał dłoń na kaburę. Człowiek, który stał obok niego, mógł być seryjnym mordercą.

– Po prostu nic – oznajmił z uśmiechem Hervé. – Widzi pan, pracuję w zakładzie pogrzebowym. Napatrzyłem się na gorsze rzeczy, i to na żywo.

Owszem, agresja na drodze to poważny problem, a lekceważymy go, dopóki chodzi o innych.

Renée

A zatem Renée zmarła, samotna w domu starców. Podpisała kontrakt pogrzebowy, zgodnie z którym jej zwłoki miały zostać przewiezione do kostnicy, gdzie pracowała Marie. I nikt nie przyszedł, by ją zobaczyć.

Nikt?

Nie, raz pojawił się siostrzeniec.

Zapytał o Marie. Przedstawił się i wyjaśnił, że chciałby odebrać pierścionek ciotki. Ten złoty z brylantem. Marie odparła, że ciotka nosiła go od lat, więc na pewno trudno byłoby go zdjąć, a poza tym być może starsza pani życzyła sobie zabrać go ze sobą. Odpowiedź:

– Mam to gdzieś. Chcę dostać ten pierścionek. Jeżeli trzeba, obetnijcie jej palec.

Odzyskawszy swoje „dobro”, siostrzeniec zwrócił się do Marie:

– Wie pani może, gdzie mógłbym go sprzedać?

Nie potrafiła mu odpowiedzieć. I nie wiadomo, czy znalazł takie miejsce – nie pojawił się na pogrzebie.

Albert

Albert był wiernym pensjonariuszem. Zdarza się, że niektórzy lokatorzy zostają na długo w chłodniach kostnicy – znałem jednego, którego przechowywano przez dziewiętnaście miesięcy w temperaturze minus pięciu stopni.

Albert chyba nie przepadał za towarzystwem żywych, bo postanowił założyć sobie sznur na szyję. Pozostawał w kostnicy domu pogrzebowego od trzynastu miesięcy i merostwo zdecydowało wreszcie, że zostanie pochowany jako bezdomny, a wówczas prowadzący śledztwo policjant, poproszony o sporządzenie końcowego protokołu, cudem odnalazł rodzinę i poinformował ją, gdzie znajduje się zmarły.

I oto pewnego dnia Marie ujrzała jego bliskich wchodzących do kostnicy. Byli równie zachwyceni jak dziecko prowadzone do dentysty. Marie wiedziała z doświadczenia, że ludzie reagują na śmierć bliskich bardzo różnie, czasem dziwnie, toteż nie zaskoczyło jej, gdy z tonu ich głosów wyczuła, że są wściekli. Niektórzy uważają, że śmierć istnieje wyłącznie dlatego, że grabarze chcą żerować na ludzkim cierpieniu. Nie spodziewała się jednak takiej reakcji:

– Co? Jeszcze mamy płacić za tego gbura? Jak dawno tu leży? Co?! I wydaje mi się, że zapłacę za rok obijania się? Nie ma mowy, nie dam ani grosza! Spadam stąd!

Towarzysząca mężczyźnie o tak kwiecistym języku kobieta, umalowana jak ulicznica i ubrana jak prostytutka, wyjaśniła oniemiałej pracownicy:

– Nie można mieć pretensji do mojego brata, z ojcem nie dało się wytrzymać. Stary wetknął sobie szczotkę w tyłek, harował na trzy zmiany w fabryce, a w weekendy dorabiał u rybaków, a nam nie chciał dać ani grosza, bo oszczędzał na nasze studia. Studia! A myśmy chcieli mieć motorowery, różne fajne gadżety, rozumie pani, a nie durne studia. Brat i ja jesteśmy na bezrobociu, więc na co byłyby nam te studia? Na szczęście matka wszystko mu zabrała, zanim go rzuciła, ale my nic z tego nie mieliśmy, bo wszystko przepiła. To wpędziło ją do grobu. Pokój jej duszy, jak to się mówi. A co do ojca, zrobimy jak z nią i drugim bratem – pójdziemy do merostwa, wytłumaczymy,

że nie mamy kasy, i trafi do mogiły zbiorowej. Co za różnica? Przecież i tak już nie żyje, i nic w tym złego.

Tak też się stało – Albert został wymazany z pamięci dzieci. Ale nie z pamięci Marie, która do dziś nie otrząsnęła się z szoku.

Tamponada

Mężczyzna spadł. Jego życie zakończyło się, potwierdzając słuszność zasady Newtona – na dziedzińcu, trzy piętra niżej. Tajemnicą pozostawało, czy skoczył z własnej woli, czy też ktoś mu w tym pomógł. Badanie zwłok przeprowadzone przez lekarza sądowego przyniosło odpowiedź, jakiej potrzebował ludzki wymiar sprawiedliwości: nikt mu nie pomógł.

Mężczyzna został więc odwieziony do naszego zakładu, a ściślej mówiąc – do naszej chłodni. Rodzina zgłosiła się i ustalono, co następuje: zostanie wykonana toaleta pośmiertna, ale nie będzie żadnych zabiegów konserwacyjnych. Mężczyzna był Żydem, a judaizm zakazuje tego rodzaju praktyk. Rodzinie nie zależało, aby toaleta była rytualna. Dlatego Jacques, tanatopraktor, śpiewał na całe gardło arie operowe, myjąc ciało zmarłego i ubierając je, a potem umieścił je ponownie w chłodni i wesołym krokiem ruszył wstrzykiwać litry formaliny innym nieszczęśnikom. Uzgodniono także, że zmarły zostanie wyciągnięty z chłodni i wystawiony w salonie, żeby rodzina mogła przy nim czuwać w określonych godzinach. Pierwsze takie spotkanie wyznaczono na czternastą. Kilka minut przed tą chwilą dopijałem kawę, przeglądając akt zgonu. Zadzwoił telefon. Usłyszałem głos Mariè-Céline, pracownicy funerarium, która powiedziała prosto z mostu, bo niezwykła owijać w bawełnę:

– Pan X wykrwawia się przez ucho. Wszystko jest zalane.

Katastrofa, kataklizm – natychmiast zadzwoniłem do Jacques'a, tanatopraktora-melomana, żeby zapytać, co mamy robić. Odpowiedź była dość krótka.

– Pan X został już wypełniony watą, która miała zatrzymać płyny ustrojowe. Ale ta metoda ma ograniczoną skuteczność, a ponieważ jego czaszka uległa uszkodzeniom i jest poskładana jak puzzle, bez zabiegów konserwacyjnych nie da się niestety nic zrobić.

Z grubsza biorąc, poradził mi, żeby w jakiś sposób ukryć katastrofę; zadanie spadło na mnie, ponieważ on był w tym czasie daleko. Zszedłem na dół, zrobiłem z płatów ligniny rodzaj poduszki, podsunąłem ją pod głowę zmarłego,

na tę już przesiąkniętą, i wyszedłem, żeby powiedzieć Mariè-Céline, że misja została zakończona.

Ponieważ chciała osobiście się o tym przekonać, wróciłem z nią. Stwierdziłiśmy, że nowe warstwy ligniny zabarwiają się już na purpurowo i wygląda to fatalnie. Byliśmy, delikatnie mówiąc, w kropce. Mariè-Céline zasugerowała, że należałoby wetknąć do ucha wacik, żeby zatamować krwotok na czas wizyty rodziny. Potem coś wymyślimy. Niestety, nie mieliśmy ani waty, ani szczypczyków, żeby wsunąć ją do kanału słuchowego. Sytuacja wydawała się beznadziejna. Nagle Mariè-Céline niemal krzyknęła:

– Mam pomysł! Widzisz, my, kobiety, mamy nad mężczyznami znaczną przewagę.

– Niby jaką? – zapytałem.

– Tampon z aplikatorem!

– Chwileczkę! Chcesz mu wepchnąć do ucha tampon?

– Oczywiście! Jak myślisz, co to jest tampon? Chłonna wata. A dzięki aplikatorowi wprowadzimy go do ucha i rodzina zobaczy najwyżej wacik, o ile obetniemy sznureczek. Masz lepszy pomysł? Nie? W takim razie znajdź mi tu nożyczki.

Zrobiliśmy, jak chciała. Na oczach czterech zdumionych grabarzy, którzy oderwali się od swoich zajęć, żeby zobaczyć coś niewyobrażalnego, Mariè-Céline bardzo zręcznie wsunęła tampon do krwawiącego ucha, załatwiając błyskawicznie to, co wymagałoby wielu wprawnych ruchów tanatopraktora, a także użycia szczypczyków. Potem obcięła nitkę i pokazała nam zmarłego, który miał w uchu wacik, co absolutnie nie było szokujące, zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę dramatyczne okoliczności jego śmierci. Krótko mówiąc, wyglądał całkiem dobrze. Rodzina przyszła go pożegnać, potem odeszła, nie komentując. Zadanie zostało wykonane.

Ale historia na tym się nie kończy. Nazajutrz Mariè-Céline miała wolne. Christophe, dyżurny, musiał więc przygotować zmarłego do wystawienia rano, a Joël, który zmieniał go w południe – do popołudniowej wizyty rodziny. Jednak tampon nasiąkł i zaczął się wysuwać pod naporem krwi i gazów powstających podczas rozkładu. Krótko mówiąc, trzeba go było wymienić.

Kiedy byliśmy w biurze i załatwialiśmy ostatnie bieżące sprawy dnia, weszła

Mariè-Céline, niosąc nowiuteńkie pudełko tamponów, tych z aplikatorem. Domyślałam się, że Christophe był zaskoczony, gdy tuż przed szóstą wieczorem zafundowano mu przyspieszony kurs (teoretyczny) wkładania damskiego tamponu higienicznego do przewodu słuchowego. Raphaël też nie krył zdumienia, kiedy zapoznawałem się z fascynacją, ale i przerażeniem z instrukcją (ilustrowaną) i czułem, jak moje spojrzenie na los kobiet zaczyna ewoluować. W ulotce wielokrotnie zalecano „Rozluźnij się!”. A jeśli nie, to co? – zastanawiałem się. A Christophe uznał, że musi wypełnić dwie misje: założyć tampon rano, a około południa nauczyć Joëla, jak to się robi. Wyobrażaliśmy sobie, że wracając do domu, zastanawia się, jak wyjaśnić żonie, skąd wzięły się w jego kieszeni tampony. Mariè-Céline, gdy już dowiodła nam, że dzień, w którym mężczyźni będą umieli obejść się bez kobiet, jest jeszcze odległy, wróciła do domu, szukając sposobu, by uwzględnić ten wydatek w rachunku.

Luksus, spokój i wieczność

Starszy pan zawarł kontrakt pogrzebowy. Ten pan był samotny, nie miał żadnej rodziny ani przyjaciół, którzy by go przeżyli. Dość zamożny, życzył sobie, by po śmierci jego ciało wystawiono w luksusowej trumnie w mieszkaniu, o którym marzył w młodości, a które kupił sobie po latach, solidnie na to pracując.

A zatem staruszek zmarł. Młoda pomoc domowa, która pracowała u niego zaledwie dwa dni, znalazła pana siedzącego w fotelu z brązowej skóry, tuż obok dogasającego kominka. Zwłoki były już niemal zimne, otwarty egzemplarz *Salambo* leżał na kolanach nieboszczyka. Śmierć dyskretna, czysta, dystygowana, godna dżentelmena.

Pomoc domowa, ubolewając nad tak szybką utratą pracy, wezwała lekarza, a ten stwierdził zgon i skontaktował się z domem pogrzebowym, którego numer zapisano w widocznym miejscu, tuż przy telefonie.

Warto chyba zaznaczyć, że działo się to w sobotę i asystent pogrzebowy – profesjonalny, ale niedoświadczony – dyżurujący po południu, patrzył na zegarek, nie mogąc doczekać się wieczornego zmiennika.

To jeszcze on odebrał telefon. Wyjął kontrakt, zatelefonował do centrum logistyki, prosząc o przygotowanie trumny i przetransportowanie zwłok, potem wypełnił papiery, spojrzął na zegarek i w biegu wkładał palto. Idąc do garażu, gdzie zaparkował samochód, pośliznął się, pechowo upadł i złamał nogę w dwóch miejscach. Oczywiście to były złamania otwarte.

Nie wiedząc o tym, ekipa przygotowała trumnę, udała się do domu zmarłego, wykonała toaletę, a następnie złożyła zwłoki do trumny. Zadowoleni ze swej pracy grabarze opuścili mieszkanie, wpadli do zakładu, żeby tam zostawić klucze, ponieważ tak ustalono ze służącą, a potem wrócili do planowych zajęć.

Sprawy biegły normalnym torem. Asystent pogrzebowy przeszedł operację i wrócił do domu, gdzie czekał go długi okres rekonwalescencji. Dni przeplatały się nocami, płynęły dni robocze. Magazyn przesłał zamówienie na trumnę do

biura, które wystawiło rachunek instytucji dysponującej pieniędzmi z kontraktu pogrzebowego. Testament zmarłego trafił na biurko notariusza, gdzie przeleżał w spokoju parę miesięcy, zanim go otwarto. Po kilku tygodniach sąsiedzi zmarłego zadzwonili do zarządcy kamienicy. W korytarzach czuło się smród przyprawiający o mdłości, potem ten fetor wdarł się do mieszkań. Wszystko wskazywało, że jego źródłem jest niezamieszany apartament. Wobec nalegań mieszkańców zarządca przyjechał na miejsce, ocenił sytuację, pomyślał sobie, że to jakaś dziwna awaria hydrauliczna, która doprowadziła do przegnicia rzeczy w mieszkaniu, i wezwał strażaków, żeby wyważyli drzwi.

W przytulnym, eleganckim mieszkaniu panował odrażający smród.

Wchodziło się tam przez niewielki hol, z niego do znajdującej się po lewej stronie kuchni i do długiego przedpokoju, do którego przylegały pozostałe pokoje. Drzwi po prawej stronie holu wiodły do salonu.

Tam, na katafalku, spoczywał zmarły, na którym aż roiło się od wszelakiego robactwa. A on leżał sobie wygodnie w otwartej trumnie, zapomniany przez wszystkich.

Do przemyślenia

Życie po śmierci nie istnieje. Dowód? Na cmentarzach nie ma serwisu pogwarancyjnego.

Zabawa w chowanego

O tej kobiecie nie wiedzieliśmy właściwie nic poza tym, że była żoną, matką i że zmarła. Może na jakąś ciężką chorobę. Podczas ceremonii złożenie do trumny przebiegło bez problemów, w wąskim gronie. Kondukt żałobny wyruszył do kościoła. Tam pojawiła się mała dziewczynka. Mniej więcej czteroletnia, ubrana w szarą sukieneczkę, rozglądała się wokół pełnymi zdziwienia oczyma. Od czasu do czasu ciągnęła ojca za rękaw, by zwrócić jego uwagę na obecność tej czy innej osoby, zaskoczona widokiem tylu ludzi w tym zimnym gmachu, tylu znajomych swoich rodziców. Zażenowany ojciec nie wiedział, co robić. W końcu jej ciotka, siostra zmarłej, wzięła dziewczynkę za rękę, pochyliła się i szepcząc jej do ucha, wytłumaczyła, że teraz musi być grzeczna. Dziewczynka się uspokoiła. Dopiero kiedy wnoszono trumnę, znów dała o sobie znać.

– Mama jest w tym pudle?

Wszystkich przebiegły ciarki. Potem dziewczynka grzecznie siedziała, wstając, kiedy robili to inni, i starając się nie zwracać na siebie uwagi, tak jak ją proszono. Następnie kondukt ruszył na cmentarz. Tu, po ostatnich modlitwach i pożegnaniu, pochowano zmarłą. Trumna była w grobie, żałobnicy otoczyli go w niesamowitej ciszy. Właśnie wtedy dziewczynka, która grzecznie stała przy ojcu, błyskawicznie wysunęła rączkę z jego dłoni i podreptała do grobu, zanim ktokolwiek zdążył zareagować. Stojąc na jego obrzeżu, pochyłona nad matczyną trumną, krzyknęła, wprawiając w osłupienie żałobników:

– Mamusiu, wyjdź już stamtąd, to wcale nie jest zabawne!

Jo

Miał na imię Joseph, ale wszyscy nazywali go Jo, może przez skojarzenie z filmem Louisa de Funèsa, którego był smutnym sobowtórem. Jo od wielu lat był grabarzem, pracował w tym fachu, odkąd przerwał naukę, żeby zarabiać na życie.

Jak długo to robił? Nikt nie miał pojęcia, bo również wiek Jo był trudny do określenia, a on sam należał do milczków. Jo mówił naprawdę mało, rzadko kiedy więcej, niż to było konieczne, i nigdy tak naprawdę o sobie. Jednak ostatnio Jo mówił nieco więcej niż zwykle. Skrępowany dyskretnie pytał kolegów, jak można uzyskać zaliczkę i odblokować kwotę niewielkich udziałów, które przelewano pracownikom na konto i zostawiano je tam do przejścia na emeryturę lub do chwili, gdy pracownik znajdzie się w potrzebie. Tak rozeszła się pogłoska: „Jo przeżywa trudny okres”. Wszyscy proponowali mu pomoc – Jo był smutasem, ale dobrym kolegą, zawsze pomocnym w ciężkich sytuacjach. Nigdy nie migał się od pracy, a był tak uczciwy, że oddałby każdy pożyczony mu grosz. Jednak Jo wszystkim odmawiał.

– Radzę sobie – mówił. – Rozwód trochę się komplikuje, ale to tylko zła passa, uporam się z tym.

Jo się rozwodził? To dopiero była sensacja! Domyślaliśmy się z niektórych rozmów, że istnieje jakaś pani Josephowa, a prawdopodobnie i potomstwo, jednak nic więcej nie wiedzieliśmy. Ale rozwód? Takie przeżycie musiało nadwerężyć i tak wątki kapitał jowialności naszego kolegi. Pewnego dnia, po wyjątkowo trudnej ceremonii, oświadczył:

– Mam dość tej paskudnej roboty.

A kiedy pytaliśmy, dlaczego jej nie zmienia, zamiast się denerwować, odpowiadał:

– I co miałbym robić? Nic innego nie potrafię.

W końcu Jo nie wytrzymał i zwrócił się o pomoc. Najpierw szefa. Poprosił o zaliczkę na poczet pensji. Dyrektor wręczył mu kopertę z gotówką.

– Zaliczka na poczet pensji – powiedział – nie jest dobrym rozwiązaniem. Potem wypadasz z rytmu, potrzebujesz kolejnej zaliczki, żeby dotrzeć do końca miesiąca, bo musiałeś zwrócić poprzednią, i wpadasz w spiralę zadłużenia, nie panując nad sytuacją. Te pieniądze pochodzą z czarnej kasy, do której odkładamy drobne napiwki, trzymając je na trudne chwile. Nie, nie, nie protestuj. Powiedziałem ci – to na czarną godzinę. A twoja właśnie nadeszła. Oddasz, kiedy będziesz mógł, jeżeli będziesz mógł, nie przejmuj się.

Potem zwrócił się do kolegów. Jo potrzebował kilku par rąk przy przeprowadzce. Wszyscy byli gotowi mu pomóc – dla Jo zawsze. Każdy był mu coś winien – weekendowy dyżur, który zgodził się przejąć, zamiana terminu wakacji. Zawsze starał się iść kolegom na rękę. Nigdy nie odmawiał. Może teraz czuli się winni, może zadawali sobie pytanie, czy to, że pani Josephowa porzuciła go, znużona taką sytuacją, nie było po części ich winą. Toteż wyznaczonego dnia wszyscy pojawili się punktualnie, nawet szef, z dwoma samochodami transportowymi z firmy.

– Nie ma sensu wynajmować za ciężkie pieniądze samochodu, mamy tu wszystko, czego trzeba, Jo.

Jo miał trochę solidnych mebli odziedziczonych po rodzicach. Załadowano je do ciężarówek i przewieziono do boksu w przechowalni, gdzie Jo zamierzał je zostawić, dopóki nie uporządkuje swojej sytuacji. Kiedy załatwiono te sprawy, życie wróciło do normalnego rytmu. Tylko że Jo bardzo się zmienił. Nie miał już takiej motywacji, wydawał się bardziej ponury niż zazwyczaj, czasami zdarzało mu się nawet spóźniać. Było widać, że ta praca mu ciąży, i koledzy martwili się o niego. Nękali go pytaniami o przebieg rozwodu.

– Jest źle. Żona nastawiła dzieci przeciwko mnie. Nie mogę sprzedać mieszkania, a ona rzuca mi kłody pod nogi. Sam spłacam kredyt, a nawet nie mogę tam mieszkać. Mam kiepskiego adwokata, wydaje mi się...

– To gdzie mieszkasz?

– Na razie znalazłem coś niedrogiego.

– No dobrze, ale ty chyba nie możesz się pozbierać.

– Nie. I to wszystko mi ciąży. Zmarli, ludzie, którzy płaczą. Mam tego dość. Ale nie potrafię zrobić nic innego.

– A co robisz wieczorami, żeby się trochę rozerwać?

– Nic. Siadam na krześle, oglądam telewizję i piję wino.

No i wszystko stało się jasne. Jo wpadł w głęboką depresję i zaczął pić. Był na równi pochyłej. Szef postanowił wziąć sprawę w swoje ręce.

– Jo – powiedział – pracujemy razem od wielu lat i doskonale widzę, że nie jest z tobą najlepiej. Nie podoba mi się to, Jo, nie chcę patrzeć, jak się staczasz. Nic nie mów, to widać. Od jak dawna nie jadłeś porządnego posiłku i nie przespałeś całej nocy? Pijesz, Jo. Pijesz i pogrążasz się w ponurych myślach. Jeżeli jesteś alkoholikiem, to mam znajomego lekarza, wyśle cię na kurację. Pomogę ci przygotować dokumenty, a po powrocie będzie na ciebie czekała praca. Masz dość tej roboty? Przytłacza cię? Masz prawo iść na kursy. Zapłacimy za szkolenie, pomogę ci coś znaleźć. A może potrzebujesz tylko wakacji? Powiedz, ile, zgadzam się z góry. Wiesz co, dam ci premię, przewietrz się trochę, jedź gdzieś wygrzać się w słońcu. Tylko reaguj, do diabła!

A Jo odpowiedział tylko:

– Nie, wszystko jest okej. Ma pan rację, wezmę się w garść.

I rzeczywiście, wziął się w garść. Widzieliśmy, jak Jo stopniowo staje się taki jak niegdyś. Może trochę inny. Czasami opowiadał jakiś dowcip. Nic szczególnego, przeważnie już znaliśmy te kawały, niektóre miały długą brodę, a on marnie je opowiadał. Ale koledzy się śmiali, po trosze, żeby go zachęcić, po trosze dlatego, że cieszyło ich i zaskakiwało, gdy Jo – wcielając się w nową dla siebie rolę – strzelał gafy i palił dowcipy: „A właśnie, znacie ten o dwóch prostytutkach w windzie?”. Zdarzało się jednak, że nie mówił nic, a jego oczy wpatrywały się przez chwilę w bezdenną pustkę. Ale w zasadzie Jo doszedł do siebie.

Jak to czasami bywa w domach pogrzebowych, nadszedł naprawdę trudny dzień. Rano ekipa miała pogrzeb pięćdziesięcioletniej kobiety, która zmarła na raka. Kościół pękał w szwach, nikt nie zdołał powstrzymać się od płaczu. Po południu odbywał się pogrzeb dwudziestoletniego chłopaka, który zabił się w samochodzie. Kiedy składano go do trumny, matka nie chciała go puścić i Jo musiał ją odsunąć. Nazajutrz nie pojawił się w pracy. Nie odbierał telefonu. Ponieważ oficjalnie nie zmienił adresu (pocztę odbierał ze starego mieszkania), nikt nie wiedział, gdzie mieszka. Rano musieli radzić sobie bez niego, radzili sobie bez niego także po południu, ale wciąż się zastanawiali, gdzie, do diabła, się podziewa. Nikt nie śmiał powiedzieć tego głośno, ale wszyscy podejrzewali,

że Jo znowu sięgnął po butelkę i pewnie pił teraz w jakiejś norze. Dwóch ludzi pojechało na wezwanie policji, a dwaj inni kręcili się przy szefie, który usiłował dowiedzieć się czegoś o Jo. Dzień minął bez wieści. Zadzwonił telefon, ale okazało się, że to ekipa, która wyjechała. Wszyscy zaczęli rozmawiać. Chyba za głośno, bo szef nagle ich ofuknął:

– Ej! Cisza, nic nie słyszę! Co powiedziałaś? Jo jest z wami?

Nie słyszeli jednak dalszej części rozmowy, bo szef pchnął nogą drzwi biura, zatraskując je. Uznali, że to był cały Jo: pojawił się na miejscu wezwania, żeby pomóc kolegom.

Drzwi biura otworzyły się, posypały się pytania.

– Jo jest z nimi? Gdzie się podziewał przez cały dzień? I skąd się tam wziął?

Nagle wszyscy zamilkli. Szef był blady jak płótno. Udało mu się to wykrztusić dość niezdarnie:

– Jo nie był tam z nimi. To wezwanie było do niego.

Cisza.

– Jo się powiesił.

Ktokolwiek wszedłby tego wieczoru do zakładu, ujrzałby zdumiewający spektakl: dziesięciu grabarzy płakało nad zmarłym. Nad przyjacielem. Może płakali też trochę nad wszystkimi Jo świata.

Spóźnialski

Doprawdy, tego było już za wiele. Można zrozumieć drobne spóźnienie, zdarza się, że człowieka zatrzyma pilna sprawa. Ale tym razem ksiądz przesadził: czterdzieści pięć minut spóźnienia na mszę żałobną to już nie roztargnienie, ale brak szacunku. Takie myśli snuli, chcąc nie chcąc, krewni, uczestnicy pogrzebu, a także zespół grabarzy. Całe szczęście, że pogoda była ładna.

Kwiaty wniesiono do kościoła i ułożono u stóp ołtarza, katafalk czekał, by stanęła na nim trumna, czekał też zmarły – w przeciwieństwie do innych spokojny – aż duchowny przyjdzie, by zgodnie z tradycją powitać go w progu kościoła. Ale księdza wciąż nie było.

Wdowa przeklinała już w myśli tego młodego i tak miłego kapłana o zmęczonej twarzy. To prawda, że przyjął ją bardzo życzliwie i uważnie wysłuchał; to prawda, że przebieg ceremonii miał być w pełni zgodny z tym, czego życzyłby sobie jej mąż, ale to nie zmieniało faktu, że msza miała się zacząć o wpół do trzeciej, a ksiądz się nie pojawił, chociaż był już kwadrans po trzeciej.

Organistka, kościelny i ministranci biegali na prawo i lewo, załamując ręce, przepraszając i nabijając niewyobrażalnie rachunek telefoniczny parafii. Wszystko na nic, bo ksiądz jak nie było, tak nie było.

Mistrz ceremonii, będąc u kresu wytrzymałości nerwowej, podszedł do karawanu. Musiał zadzwonić do biura, żeby uprzedzić, że ma opóźnienie, że kamieniarze muszą na niego zaczekać, a biskupowi należy powiedzieć, co grabarze myślą o tych młodych księżach. Wyjął telefon komórkowy ze schowka na rękawiczki. Trzymał go tam, żeby dzwonek albo wibracje nie przeszkadzały mu w pracy, a także dlatego, że wypychał mu kieszenie.

Od razu zauważył, że ma siedem nieodebranych połączeń, wszystkie z numeru kolegi, który nie znosił SMS-ów ani poczty głosowej, automatycznych sekretarek i wszystkich tych telefonicznych nowinek, i chętnie opowiadał, że kiedy żona go zdradziła, wybaczył jej, ale kiedy kupiła automatyczną sekretarkę do telefonu stacjonarnego, zażądał rozwodu. W ten

sposób dawał do zrozumienia, jak istotne jest, by w ważnej sprawie dzwonić choćby wiele razy, aż rozmówca odbierze.

I telefon zaczął wibrować przy ósmej próbie połączenia.

Mistrz ceremonii odebrał.

– Cześć! Mam nadzieję, że to coś ważnego, bo mam tu właśnie...

– Niezły bajzel...

– Skąd wiesz?

– Prowadzisz ceremonię w kościele, z ojcem X?

– Zgadza się, tylko że on się tu nie pojawił. Nie wiem, co...

– A ja wiem, bo jest ze mną.

– Z tobą? Co on wyprawia? Daj mi go!

– Zdziwiłbym się, gdyby miał ci coś do powiedzenia.

– A powinien. Na początek „przepraszam” brzmiałoby niezłe, a gdyby dodał „zaraz będę”, byłoby dobrze! Gdzie właściwie jest?

– W swoim samochodzie. I od razu wyjaśniam: jego samochód wbił się w drzewo. Czekam, aż żandarmi skończą oględziny, i zabieram go stąd.

– ...

– No dobrze, ponieważ miałem trochę czasu, zadzwoniłem do kurii – inny ksiądz jest już w drodze.

Młody kapłan służył wiernym z ogromnym oddaniem. Jeździł od parafii do parafii, z kościoła do kościoła, spowiadał i udzielał ostatniego namaszczenia, nigdy nie zawodząc swoich owieczek. Wyczerpany zasnął za kierownicą.

Ceremonia zaczęła się z półtoragodzinnym opóźnieniem. Ściągnięty na ratunek ksiądz miał duże doświadczenie i choć improwizował, wygłosił doskonałe kazanie. Krewnych poinformowano tylko, że wybrany ksiądz ma „poważne problemy zdrowotne”. Prawdę poznali dopiero nazajutrz.

Młody duchowny miał najlepszą wymówkę świata: jaki byłby z niego ksiądz, gdyby spóźnił się na spotkanie z Bogiem?

Najgorszy będzie upadek

Wszystko było jak należy. Złożenie do trumny, kondukt, kościół, złożenie do grobu – bez zarzutu.

Mistrz ceremonii, stojąc przy karawanie, obserwował ostatnich członków rodziny, gdy przystawali nad grobem, w którym spoczęła zmarła, by rzucić a to garstkę płatków kwiatów z koszyka trzymanego przez jednego z grabarzy, a to odrobinę ziemi ze stosu przy grobie. Najstarszym, przede wszystkim siostrze zmarłej, trzeba było pomóc we wchodzeniu na maleńki kopczyk usypany w alejce.

Grabarze nie zapomnieli o żadnym z zagrożeń i dyskretnie ustawili się między grobami niczym żywe boje wytyczające bezpieczną drogę.

Mistrz ceremonii zatrzymał się nieco dalej, w jedynej wygodnej alei wiodącej z tej kwatery. To była idealna „trajektoria przechwycenia”. Mistrz mógł bez przeszkód oddać rodzinie papiery, a potem, kiedy już zakończą się modły i pożegnania, dyskretnie odejść.

Wiedział, że wszystko przebiegnie szybko: rodzina zaprosiła uczestników pogrzebu na kawę, toteż zamiast przystawać w alejce na cmentarzu, wszyscy zostawią sobie rozmowy na tych kilka chwil w wynajętej sali. Zwłaszcza że zbierało się na deszcz.

Wreszcie zobaczył idące w jego stronę dzieci zmarłej. Wnuki zajęły się zaprowadzeniem gości do sali. Mistrz ceremonii odniósł wrażenie, że chcą go jeszcze o coś zapytać.

Chodziło o sprawy praktyczne związane z zamknięciem grobu, ponownym ustawieniem pomnika, wykuciem nazwiska na tablicy – czysta rutyna. Opowiadał uprzejmie, podczas gdy grabarze czyścili karawan, pakowali sprzęt i rozmawiali z murarzami. Nagle rozległ się głuchy huk.

– Co to za hałas? – zaniepokoił się starszy syn zmarłej.

– Jakby jakiś dings o coś uderzył – odparł zięć z rozczulającą precyzją semantyczną.

Mistrz ceremonii pobladł, dokonując prostej analizy sytuacji – taki odgłos mógł być spowodowany upadkiem ciała na trumnę. Nie widział, by drobna staruszka – siostra zmarłej, odeszła z pierwszą grupą, teraz nigdzie jej nie było. A z dołu dobywał się przejmujący jęk, choć powinna tam panować grobowa cisza.

Podbiegł do grobu o niepewnych obrzeżach. Ciekawska staruszka zapewne nierozważnie pochyliła się nad dołem...

– Psiakrew! Niech ktoś idzie po drabinę, wezwijcie strażaków albo dajcie mi prześcieradło, nie, lepiej koc!

Do rozważenia

Przyjaciel podarował mi zapalniczkę, którą przywiózł ze Stanów Zjednoczonych. Po jednej stronie umieszczono na niej napis w języku angielskim „Dziękujemy, że palisz”, po drugiej adres zakładu pogrzebowego, który rozdawał takie gadżety w ramach kampanii reklamowej. Rzuciłem palenie, a wam też to radzę.

Philippe

Philippe'owi

Może zauważyliście, że w zakładach pogrzebowych można się czasem natknąć na niezwykle osobowości. Do takich należał jeden z moich dawnych szefów, Philippe. Od razu nawiązała się między nami nić porozumienia. Przeniesiono go do Brestu z Ille-et-Vilaine, ale jego żona – mówiąc bardzo oględnie – była daleka od zakochania się w naszym pięknym mieście. To jednak nie ma nic wspólnego z dalszą opowieścią.

Philippe był zupełnie normalnym człowiekiem przed czterdziestką, dość wysokim, w okularach. Patrząc na niego, można było pomyśleć, że ma się do czynienia z członkiem kadry kierowniczej agencji ubezpieczeniowej. Nawiasem mówiąc, taką miał pracę, zanim przeszedł do usług funeralnych.

Przypadek sprawił, że w pierwszy weekend po przeniesieniu do Brestu dyżurował ze mną. Okres był spokojny, umierało niewiele osób, a część grzebała nasza konkurencja.

W piątek – kompletna cisza. Zacząłem dyżur w południe, po południu miałem jeden pogrzeb, wieczorem wróciłem do domu, gdzie spokojnie odpoczywałem. Nazajutrz rutynowe zajęcia – spotkanie w kostnicy, jeden transport, jedna trumna do przygotowania. Kiedy skończyłem, poszedłem do biura, żeby się pożegnać.

– Na razie! – odparł Philippe.

Potraktowałem to jak normalne do widzenia. Dyżurujący w parach często żartowali, mówiąc na przykład: „Nie to, żebym cię nie lubił, ale mam nadzieję, że nie będę cię musiał oglądać przez weekend!”.

Wróciłem do domu, zająłem się czymś, czekając na kolację, i kiedy właśnie pochylałem się nad talerzem, zadzwonił telefon służbowy. Wezwanie z policji.

Głodny pojechałem pod wskazany adres, tam spotkałem się z Philippe'em. Zabraliśmy ciało, przewieźliśmy je do kostnicy, a kiedy było już w chłodni, a ja

wyczyściłem samochód do transportu bez trumny, wyciągnąłem do Philippe'a rękę, mówiąc:

– Nie to, żebym cię nie lubił, ale mam nadzieję nie zobaczyć się z tobą w ten weekend.

Philippe z szerokim uśmiechem uściśnął moją dłoń i rzucił:

– Na razie!

Wracałem do domu, mamrocząc pod nosem, że ten kolega jest bardzo miły, ale przynosi pecha. Półtorej godziny później kłąłem jak szewc, bo telefon rozdzwonił się w połowie odcinka *Ekspertów*. Lubię ten serial. W ogóle lubię obserwować tę nieprawdopodobną różnicę, jaka istnieje czasem między wyobrazeniami scenarzystów a realiami. Oczywiście dzwonił Philippe – kolejne wezwanie z policji, które nie sprawiło nam większych problemów.

Kiedy wychodziłem, poradził mi:

– Lepiej od razu idź spać, bo ta noc będzie krótka.

Kiedy spytałem, dlaczego tak mówi, tylko się uśmiechnął.

Obudził mnie o czwartej nad ranem – mieliśmy zabrać zwłoki zmarłego w domu.

Rutyna: ciało przeniesione do samochodu i zabrane do kostnicy.

Ponieważ kiedy skończyliśmy, pierwsze promienie słońca rozświetlały już horyzont, postanowiliśmy napić się kawy. Stojąc w progu wejścia służbowego z kawą w jednej ręce, a papierosem w drugiej, rzuciłem:

– Powiedz, jesteś medium?

Parsknął śmiechem.

– Dlaczego?

Wyjaśniłem mu, że dostrzegam u niego swoistą łatwość przewidywania tego, co nas czeka.

– Są dwie możliwości: albo jesteś medium, albo sam ich zabijasz. Nie wyglądasz mi raczej na seryjnego mordercę, więc... Albo jesteś jak czarny kot: przynosisz nam pecha, a wówczas, z całym szacunkiem, proszę, żebyś się zamknął i dał mi się wyspać w niedzielę.

Odpowiedział na moje pytanie.

Oczywiście nie był żadnym medium. Miał po prostu intuicję. Wiedział, kiedy

zostaniemy wezwani. Często, kiedy zaczynał się odcinek *Ekspertów*, nie włączał nawet telewizora, bo wiedział, że lada chwila zadzwoni telefon. Twierdził, że nigdy się nie myli.

Philippe spędził w Breście osiem miesięcy, wyjechał, bo żona mu zagroziła, że jeśli nie znajdzie sposobu, żeby wrócić do Saint-Malo, rozwiedzie się z nim. Złożył wypowiedzenie i znów zatrudnił się w firmie ubezpieczeniowej.

Przez tych osiem miesięcy układał grafik tak, żebyśmy jak najczęściej dyżurowali razem. Praca z nim była prawdziwą przyjemnością. Przez cały ten czas usiłowałem przyłapać go na pomyłce.

Nie zdarzyło się to nigdy, nawet w najbardziej nieprzewidywalnych okolicznościach. Kiedy wyjechał, miałem wrażenie, że pracuję po omacku.

Pięć milimetrów

Jakiś czas temu czytałem krótki artykuł opowiadający o kobiecie, której nie udało się skremować, ponieważ ważyła 140 kilogramów. Nie chcę kwestionować ścisłości tych danych, wyznam jednak, że z powątpiewaniem patrzyłem w ekran komputera, zapoznając się z tym tekstem. Podobno niektóre projektowane dawno piece są małe, w ten sposób minimalizowano bowiem straty ciepła. Osobiście nigdy takiego nie widziałem.

Widziałem natomiast jeden duży, który stał się powodem wielu naszych obaw. Mężczyzna był olbrzymi. Powiedzmy, że był wysoki, masywny, a trumny tak dużej jak jego nigdy wcześniej nie mieliśmy. Transport przebiegał bez problemów – częściowo siłami grabarzy, częściowo na wzmocnionym wózku, który sprowadziliśmy. Niesienie tej trumny na ramionach było wykluczone. Kiedy ceremonia dobiegła końca, poszliśmy do krematorium.

Obsługa krematorium nie mogła uwierzyć własnym oczom. Zawołali kierownika technicznego, który wielokrotnie okrążył trumnę, żeby dokładnie ją wymierzyć – wszystko z obłędem w oczach. W końcu wydał werdykt.

– No cóż, mam złą wiadomość, dobrą wiadomość i jeszcze jedną złą wiadomość.

– Mów po kolei.

– Niech będzie. W takim razie pierwsza zła wiadomość: trzeba usunąć uchwyty trumny. A ponieważ jest zamknięta, a one są mocowane od wewnątrz, trzeba je wyłamać. Posłałem już jednego z chłopaków po łom. Mistrz ceremonii będzie musiał wyjaśnić to rodzinie. Dobra wiadomość jest taka, że po usunięciu uchwytów trumna się zmieści.

– No dobrze, a druga zła wiadomość?

– Mamy dokładnie pięć milimetrów luzu.

– Po każdej stronie?

– Nie, łącznie. Gdyby było inaczej, nie byłoby problemu.

Wraz z kierownikiem technicznym i jednym z pracowników krematorium

mistrz ceremonii udał się do krewnych, aby wyjaśnić im sytuację (na szczęście nie negowali otyłości drogiego zmarłego i doskonale rozumieli problem). Potem mistrz ceremonii i pracownik krematorium odprowadzili ich do sali widokowej. Rodzina miała obserwować te ostatnie chwile przez szybę, widząc trumnę tylko z profilu.

Toteż rodzina nie widziała, że jeden z pracowników krematorium, mistrz ceremonii i ja staliśmy w martwym polu, mając na rękach grube rękawice ognioodporne i trzymając metalowe pręty. Żeby trumna się zmieściła, musiała stać idealnie prosto, najlżejsze odchylenie spowodowałoby utknięcie jej do połowy w piecu, do połowy poza nim. Gdyby do tego doszło, jeden z nas miał natychmiast opuścić zasłonę, aby ukryć ciąg dalszy przed rodziną (uprzedzoną, że może się tak stać), a potem dołączyć do dwóch pozostałych, którzy mieli za zadanie pchać trumnę do pieca. Pracownik krematorium i mistrz ceremonii mieli przygotować gaśnice, żeby nas chronić, gdyby coś poszło nie tak. Kierownik techniczny uprzedził nas – i było to zabawne – że mamy na wszystko trzydzieści sekund. Potem dziewięćset stopni w piecu rozgrzałoby drewno do takiej temperatury, że nie udałoby się zapobiec zapaleniu się trumny, a w pomieszczeniu nie można by było oddychać – żar uszkodziłby nam płuca. Takie przynajmniej były zasady bezpieczeństwa podane przez konstruktorów, a my nie mieliśmy ochoty sprawdzać, jak dalece były słuszne. Toteż powiedzieliśmy sobie jasno: liczymy do trzydziestu, potem rzucamy wszystko i opuszczamy krematorium.

Czekaliśmy więc w naszym kącie. Drzwi się otworzyły, wszedł pracownik krematorium, a za nim mistrz ceremonii. Przez moment stali w skupieniu przed trumną, potem pracownik podszedł do tablicy kontrolnej, wcisnął guzik, uruchamiając wprowadzanie trumny do pieca, i wrócił na miejsce. Drzwiczki się podniosły, otwierając drogę do piekła: fala gorącego powietrza wpadła do pomieszczenia, a z miejsca, gdzie staliśmy, dostrzegaliśmy rozpalone do czerwoności cegły żaroodporne. W świecie usług pogrzebowych widziałem niemal wszystko, co najgorsze, ale jedynym, do czego nie mogę przywyknąć, a więc na pewno już nie przywyknę, jest ta chwila, gdy trumna wsuwa się do pieca krematoryjnego. Prowadnica wsuwała trumnę do pieca, tę trumnę, którą ustawialiśmy ze szczególną precyzją. Weszła idealnie prosto. Zanim drzwiczki zaczęły się opuszczać, stanęła w płomieniach.

Potem piec się zamknął i przez chwilę wydawało się, że czas się zatrzymał. Na twarzach kolegów widać było ulgę.

Kiedy mistrz ceremonii i pracownik krematorium poszli do rodziny, żeby ustalić termin przekazania urny, ja ruszyłem na poszukiwanie wody. Nie wiem dlaczego, ale zaschło mi w gardle.

Samotność

Wezwała nas policja. Starszą panią, która mieszkała w niewielkiej komunalnej kamienicy, patrol policyjny znalazł martwą tego wieczoru około 21.30. Zgon nastąpił nieco wcześniej. Dwie sąsiadki zauważyły, że po zmroku w jej mieszkaniu nie paliły się światła, a okiennice były otwarte. A sąsiadki wiedziały, że kiedy ktoś ją odwiedza, okiennice są otwarte i pali się światło, ale kiedy była sama i oglądała telewizję, zamykała okiennice tuż po tym, jak Claire Chazal wypowiedziała ostatnie słowa. Poza tym jedna z sąsiadek i starsza pani chodziły razem na zakupy, a ponieważ starsza pani nie wspominała, że syn zabiera ją na kolację do siebie, co zdarzało się często, domyślała się, że staruszka jest w domu. Obie sąsiadki dzwoniły do staruszki, ale bezskutecznie.

I w ten sposób niespełna dwie godziny po zgonie patrol policyjny i strażacy zapukali do drzwi, a potem wezwali ślusarza i powiadomili telefonicznie syna, który miał natychmiast przyjechać.

Macie w sąsiedztwie starszą osobę?

Znacie jej obyczaje?

Znacie numer, pod który moglibyście zadzwonić w razie problemów albo podejrzeń, że coś się stało?

Jeżeli odpowiedzieliście na te trzy pytania tak, jesteście wyjątkowi. Tak, tak. Bo ta historia jest właściwie jedyną tego typu, jaką znam. Natomiast zwłok w stanie zaawansowanego rozkładu zebrałem wiele. Ile? Sto? Pięćset? W pewnym momencie przestałem liczyć.

A wierzcie mi – mam niewiele do powiedzenia w porównaniu z kolegami, którzy pracowali w tamto upalne lato. Oni widzieli takich po dziesięć, piętnaście, czasem nawet dwadzieścia. Dziennie.

Sarkofag

Pojechaliśmy na wezwanie. Prosta sprawa. Samotna kobieta zmarła w domu.

Odpowiadała profilowi samotnej zmarłej: skłócona z siostrą, pod kuratelą. Podkreślałam: pod kuratelą. Sędzia powierzył zarządzanie jej dobrami, w tym wypadku emeryturą, zawodowemu kuratorowi. Zupełnie jak w filmach z Rolandem Magdanem. Tylko że naprawdę. Jej zawodowy kurator należycie wywiązywał się z obowiązków: odbierał emeryturę, opłacał rachunki i komorne, a drobne kwoty, które zostawały, lokował, nie zapominając oczywiście o swoich honorariach. Tak, wszystko w pełni profesjonalnie. Sąsiedzi byli mili i nie mogli się nachwalić sąsiadki: była taka dyskretna. O tak, śmiertelnie dyskretna.

No i umarła dyskretnie. Któregoś dnia ktoś zauważył, że kobieta nie daje znaku życia „od kilku dni”, i wezwał policję. Policja wezwała straż pożarną, strażacy zajrzeli przez okno, wybili szybę, żeby wejść, potem otworzyli drzwi policjantom, a dialog, jaki zaczął się w tej chwili, łatwo sobie wyobrazić.

Policjant: I co? Domyślam się, że nie żyje?

Strażak: Najlepiej, żebyście sami to zobaczyli.

No i zobaczyli. Potem, kiedy się wzięli w garść, wezwali kolegów z dochodzeniówki. Musieli to obejrzeć, lekarz sądowy też był tu potrzebny.

A potem wszyscy wezwali ludzi z zakładu pogrzebowego, którzy przyjechali dość szybko.

Grabarz: I co tam mamy?

Policjant: Hm... Lepiej niech pan sam zobaczy.

Tak też się stało. Można sobie wyobrazić miny grabarzy, którzy zapewne po raz pierwszy w życiu stanęli twarzą w twarz z czymś niesłychanym, ale prawdziwym!

Tak, ta kobieta nie żyła. Siedziała na kanapie, a obok niej leżała gazeta. Żadnego zapachu, wszystko było suche i czyste. Robactwa też już nie było. A raczej: robactwa nie było. Grabarz nie wierzył własnym oczom.

– Ale od jak dawna ona tu jest?

Policjant spokojnie wyjaśnił:

– Lekarz sądowy postara się to określić w miarę precyzyjnie. Trudno powiedzieć, jeśli jednak przyjmiemy, że gazeta była kupiona niedługo wcześniej, to jest tu od trzech lat, miesiąca i czternastu dni.

Siedziała tam od trzech lat. Na kanapie. I doszło do niezwykle rzadkiego zjawiska, na które złożył się splot sprzyjających okoliczności. Nie, jej ciało nie uległo rozkładowi, nie zjadło go robactwo, ono po prostu się zmumifikowało. Ta kobieta była jak mumia z *Siedmiu kryształowych kul* z serii o Tintinie.

Nie dowiedzieliśmy się, co się stało z zawodowym kuratorem, który przez trzy lata płacił rachunki za gaz i elektryczność, nie niepokojąc się tym, że jego „klientka” nigdy nie kupuje nic do jedzenia. Procesu nie było. Podobno dostał naganę. Czyli wyrozumiale dano mu po łapach. Podobno dalej pracuje w zawodzie. Możliwe.

Siostra, z którą zmarła była skłócona od lat, opłaciła piękny pogrzeb, przysłała wspaniałą wiązaną kwiatów. Zrobiła, co należało. Może po tylu latach bez wieści nabrała dystansu. Nie przyszła jednak na pogrzeb.

Grabarze z pewnością nie zapomnieli tej historii.

Pytania do winnego?

Niektóre rodziny zadają czasem dziwne pytania, zmuszając nas do zastanowienia się nad granicami tajemnicy zawodowej.

Ja: Zakład pogrzebowy, dzień dobry!

On: Taak... Dzień dobry! Otóż... Chodzi o mojego wuja, pana Duponta, który się powiesił. Zabraliście go na sekcję...

Ja: Odwieźliśmy do instytutu medycyny sądowej, gdzie zostanie przeprowadzona sekcja, zgadza się.

(W tle niezrozumiała rozmowa z drugą osobą.)

On: Moja matka chciałaby wiedzieć dlaczego.

Ja: Nie wiem. Rutynowa weryfikacja, może uznano, że sytuacja była niejasna, może dostrzeżono jakieś budzące wątpliwości elementy. Przeprowadzą autopsję, ale to nie potrwa długo. Pogrzeb można będzie urządzić dość szybko.

(Rozmowa w tle, wyczuwalna panika.)

On: Tak, ale... ten... Jeżeli tak naprawdę on się nie powiesił... hm... sekcja to ujawni?

Ja, *zdziwiony*: Tak, w końcu po to się to robi... Dlaczego pan pyta? Jeżeli jest jakiś problem, to mogę podać panu telefon policjanta, który prowadzi sprawę...

On, *po kolejnej nerwowej rozmowie z kimś obok*: Nie, nie trzeba, dziękuję panu, do widzenia.

I rozłączył się.

Kilka dni potem dowiedziałem się, że zatrzymano paru członków rodziny, zarzucając im popełnienie zabójstwa. Mroczna sprawa, w której stawką były duże pieniądze.

Herkules Poirot

Ta sama dobrze znana melodia: wezwanie z policji. Małe czyściutkie mieszkanie zajmowane przez samotną kobietę, która musiała bardzo lubić literaturę: książki były wszędzie, na półkach i w plastikowych skrzynkach rozstawionych po czterech małych pokoikach.

Czuło się tam atmosferę wygodnej swobody, klimat klasy średniej – zamożnej, ale znużonej życiem.

Wezwano dwóch grabarzy – młodego dyrektora nowej firmy i jego nowego pracownika, który przez pewien czas nie był aktywny w zawodzie. Bardzo chciał zrobić dobre wrażenie, ale chyba wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu: wyciągnięto go z łóżka, wszystkie garnitury miał w pralni, błędził od budowy do budowy po mieście, w którym wszędzie trwały jakieś roboty, on zaś opuścił przed trzema laty i teraz z trudem się w nim odnajdował. W końcu dotarł – źle ubrany i zdenerwowany.

Kobieta leżała w sypialni między oknem a łóżkiem. Nie żyła co najmniej od trzech tygodni. Policja nie dopatrzyła się niczego podejrzanego – wykonano kilka zdjęć, a potem pole do działania pozostawiono grabarzom. Ci przeciągnęli zwłoki na środek pokoju i zastosowali technikę polegającą na ułożeniu ich na boku: wsunęli na nie worek, potem obrócili, żeby powtórzyć manewr po drugiej stronie. Ciało, łatwiej dostępne, można było teraz dokładnie obejrzeć.

Młody dyrektor zakładu pogrzebowego nagle przerwał całą operację i wstał.

– Jakiś problem? – spytał pracownik.

– Nic nie zauważyłeś?

Pracownik spojrzał na ciało.

– Nie, a co?

– Nie wydaje ci się dziwne, jak ten koc jest owinięty wokół jej szyi?

Rzeczywiście, pled, który zdawał się okrywać ciało, był owinięty na jej szyi i zaciśnięty, co dotąd trudno było zauważyć. Pracownik rozejrzał się wokół siebie – szukał czegoś, do czego kobieta mogłaby przymocować koc, żeby się

powiesić. Niczego takiego nie znalazł.

W końcu zawołali policjantów, którzy beztrąsko kręcili się po przedpokoju. Gdy weszli do pokoju, dyrektor podzielił się z nimi spostrzeżeniami. Najstarszemu z policjantów wystarczył rzut oka.

– No tak! Dobra, zmiana planów, zabierzcie ją na sądówkę, wzywam ekipę z dochodzeniówki.

Tak też się stało.

Dochodzenie wykazało, że doszło do zabójstwa. Udało się ustalić sprawcę, ten jednak nigdy nie miał żadnych problemów, ponieważ nie zebrano wystarczających dowodów.

Wesołych świąt

Nie ma nic równie przykrego dla grabarza, który pełni dyżur w Boże Narodzenie, jak wezwanie do domu, gdzie ktoś zmarł.

Zarówno dla ratownika, jak i strażaka, pracownika pogotowia, żandarma, policjanta czy grabarza, ten dzień jest tak wyjątkowy ze względu na obyczaje i tradycję naszego społeczeństwa, że wydaje się niestosowne i nielogiczne, żeby umierać 25 grudnia, w świątecznym dniu radości. Przynajmniej zgodnie ze zbiorowym wyobrażeniem.

Pozwólcie, że nakreślę ten obraz.

Dyżuruję w domu albo w odwiedzinach u rodziny. Może byłem na pastercie w wigilijny wieczór, z rodzicami i z babcią, której chciałem sprawić przyjemność, a teraz siedzę przy stole. Mój telefon służbowy leży na komodzie, za moimi plecami, a ja modłę się w duchu, żeby nie zadzwonił. Rodzina wie, że w każdej chwili mogą mnie wezwać, ale nikt nie śmie o tym myśleć: to niewiarygodne i mało prawdopodobne, żebym musiał wyjść z tak pięknego rodzinnego święta, w dodatku w połowie posiłku.

Słowem, agape się odbyła, a gdy przychodzi czas na kawę, około piętnastej, z komody dobiega złowieszczy dzwonek. Sięgam po telefon i widzę na ekranie nieznany numer. Psiakrew!

– Zakład pogrzebowy, słucham?

– Tak, dzień dobry, dzwonię, ponieważ...

Po krótkiej rozmowie telefonicznej, podczas której zapisałem przede wszystkim adres domowy, nazwisko zmarłego i numer kontaktowy, na wypadek gdybym musiał oddzwonić, jadę do firmy po samochód do przewozu zwłok, oczywiście przepaszając rodzinę za to nagłe wyjście, ale nie wyjaśniając zbyt szczegółowo, co jest jego powodem, bo nie chcę nikogo szokować, a pytające spojrzenia i tak zwracają się na mnie, gdy wkładam palto.

Pół godziny później docieram we wskazane miejsce wraz z kolegą, z którym spotkałem się przed firmą. Pogotowie ratunkowe już odjechało, strażacy kończą

ładowanie sprzętu do wozu. Ich dowódca podchodzi do mnie, a ja czuję się nieco zestresowany na myśl o tym, co powie. Potem rozmawiam z nim w domu. Słyszę już płacz dobiegający z kuchni.

Przystrojone gałęzie choinki migoczą, pomięty papier podarunkowy leży jeszcze pod drzewkiem, nie sprzątnięto ze stołu, domownicy, czasem przez łzy, patrzą na nas bardzo nieprzyjaźnie. A na podłodze w salonie, pod białą płachtą, którą starannie rozłożyli strażacy, rysuje się ludzka sylwetka.

Szef załogi ambulansu poinformował nas już, że to dziadek, który zakrztusił się przy stole kawałkiem mięsa; doszło do zatrzymania oddechu, potem do zatrzymania akcji serca i wreszcie do zgonu, który stwierdził już lekarz karetki reanimacyjnej. Wypisane przez niego świadectwo mam w kieszeni, wręczył mi je dowódca strażaków.

Po załadowaniu zmarłego do samochodu w tej naelektryzowanej, napiętej, niesamowitej atmosferze, uzyskaniu podpisów wstrząśniętej małżonki zmarłego na kilku dokumentach – wszystko przy wtórze bolesnych krzyków i płaczu obecnych w domu krewnych, wracam do samochodu kompletnie zdruzgotany, a kolega siedzi obok mnie i milczy jak głaz.

Proponuję rodzinie zmarłego spotkanie w biurze zakładu pogrzebowego nazajutrz rano, by nie pogłębiać jej cierpienia w tym dniu i pozwolić, żeby została razem i mogła się wspierać. Najbliżsi krewni przystają na to. Potem umieszczamy zwłoki w szufladzie chłodni, wysyłamy faksem kilka dokumentów do właściwego merostwa, pijemy kawę i nie wiemy, czy mamy dość sił, by wracać do czekających na nas rodzin, bo nie chcemy ani odpowiadać na żadne pytania, ani psuć nastroju w ten szczególny wieczór swym złym humorem, jednak wracamy i zachowujemy się jakby nigdy nic, bo przecież to Gwiazdka!

Pomyślmy o wszystkich, którzy pozostają w gotowości albo pełnią dyżur 25 grudnia. Im i całej reszcie: Wesołych świąt!

Historia Fancha i Ti Jeana

W bretońskiej wiosce żyli sobie Fanch i Ti Jean, dwaj przyjaciele z dzieciństwa, których wdowieństwo jeszcze umocniło przyjaźń, bo to ona dawała im poczucie bezpieczeństwa, pozwalając zachować pewne nawyki. Nie ruszali się nigdzie bez siebie i ledwie wstali, umyli się i szybko ubrali, spotykali się tuż po śniadaniu, by włączyć się po ulubionych zakątkach Côtes-d'Armor.

Bo Fanch i Ti Jean, mimo zaawansowanego wieku, nie znosili bezczynności i wciąż widywano ich w różnych miejscach, gdy wykonywali drobne prace, wykorzystując duże umiejętności i doświadczenie. Byli szczęśliwi, że mogą się na coś przydać, i zawsze gotowi wyświadczyć przysługę temu, kto był w potrzebie.

Często zdarzało się, że o brzasku ich łódź wyłaniała się z mgły, gdy wracali z połowu. A ponieważ niewiele potrzebowali dla siebie, rozdawali ryby starym ludziom z sąsiedztwa.

Fanch i Ti Jean byli szczęśliwi, o ukochanych żonach rozmawiali wyłącznie ze sobą, czasem, w półsłówkach, napomykając o chwili, gdy do nich dołączą.

A potem nadszedł ten posepny ranek, gdy Fanch nie doczekał się Ti Jeana. Podreptał do jego domu, pukał do drzwi, ponieważ jednak Ti Jean nie otwierał, natychmiast zadzwonił po straż pożarną i skontaktował się z synem przyjaciela, by powiadomić go, że stało się coś złego.

Pogromcy ognia najpierw pukali i wołali, potem zdecydowali się wyważyć drzwi. Znaleźli Ti Jeana z gazetą, przy stole, na którym, obok na pół wypitej kawy, leżały okruchy chleba. Siedział z brodą wspartą na piersi, jakby zapadł w drzemkę. Jego serce przestało bić.

Fanch przyjął ten cios jak przystało na Bretończyka – od dziecka obcował z kulturą śmierci. Choć nie czytał La Braza, wiedział, że Ankou^[4] przybył swym wozem o brzasku, by zabrać jego przyjaciela; miał nawet wrażenie, że słyszy skrzypienie koła. Ale nikomu o tym nie wspomniał, ponieważ takie rzeczy zachowuje się dla siebie. Pomógł rodzinie wszystko zorganizować,

wybrać trumnę i wraz z księdzem przygotował kościół.

Dzięki temu do dnia pogrzebu był zajęty.

Fanch siedział w pierwszym rzędzie, w ławce zarezerwowanej dla członków rodziny. Tak postanowił syn Ti Jeana.

Msza przebiegła spokojnie. Zebrała się cała wieś, a także delegacje z okolicy, bo Ti Jean, który wędrował ze swoim starym przyjacielem Fanchem i, zawsze skłonny do żartów, wyrastał jak spod ziemi, trzymając w ręku skrzynkę z narzędziami, właśnie tam i właśnie wtedy, kiedy go potrzebowano, zjednął sobie sympatię i przyjaźń wielu osób. Podobnie jak Fanch.

Kiedy nadszedł czas na ostatni gest pożegnania, wszyscy wstawali, podchodzili do trumny i żegnali Ti Jeana. Gdy nadeszła jego kolej, Fanch podniósł się, jakby się zawahał, zbladł i upadł.

Wiele osób podbiegło, żeby mu pomóc. Mistrz ceremonii poprosił ludzi, żeby się rozsunęli i przenieśli Fancha na ławkę, a potem wezwał pogotowie. Fanch, który po chwili doszedł do siebie, poprosił, aby zostawiono go w kościele i kontynuowano pogrzeb przyjaciela bez niego. Miał dołączyć do konduktu nieco później, na cmentarzu.

I kondukt ruszył. Mistrz ceremonii wygłosił przejmującą mowę, potem wszyscy pożegnali Ti Jeana, a trwało to długo, bo wiele osób pragnęło powiedzieć mu „do zobaczenia”. I wreszcie Ti Jean spoczął w grobie, przy małżonce.

Mistrz ceremonii podszedł pożegnać się z rodziną. Uznali, że być może lepiej, iż Fancha tu nie było, bo spuszczenie trumny do grobu mogło być dla niego zbyt trudne do zniesienia. Rodzina miała zabrać go z kościoła, przed którym i tak został samochód. Prawdopodobnie lekarz, który z pewnością już przyjechał, zaleci odprowadzić go do domu, żeby mógł odpocząć.

Grabarze wsiedli do karawanu, a przejeżdżając przed kościołem, zobaczyli ambulans i strażaków. Postanowili się zatrzymać i sprawdzić, jak czuje się Fanch, którego zostawili w spokojnym miejscu, w kaplicy za ołtarzem.

Fanch wciąż tam był. Strażacy zbierali sprzęt. Lekarz wypisywał świadectwo zgonu.

Gorąco

Operator krematorium wyjaśniał rodzinie procedurę. Trumny były dwie, stały na dwóch rampach, każda przed jednym z pieców, i to nie podobało się rodzinie. Owszem, dzień był wypełniony pogrzebami, owszem, tamta rodzina miała przyjść dwadzieścia minut później, ale jednak to nie było w porządku.

Operator wszedł do sali, stanął przed rampą, starając się nie patrzeć na rodzinę, która obserwowowała go przez szybę – nie mogli odnieść wrażenia, że oczekuje ich aprobaty, a on nie miał prawa ulegać emocjom w tak trudnej chwili. Jego fach był prosty, trzeba było tylko stwarzać wrażenie, że doskonale się wie, co się robi.

Wolno podszedł do pulpitu, wcisnął guzik uruchamiający mechanizm, wrócił na miejsce przed rampę i otworzyły się przed nim wrota piekła: drzwi pieca podniosły się, mechaniczne ramię pchnęło trumnę, potem drzwi się zamknęły. Skinął głową i wyszedł z sali, żeby pomówić z rodziną.

– Otóż, szanowni państwo...

– Co się stało? – zapytali zdziwieni.

– Trumna pani X została poddana kremacji, więc...

– Nie, ona wciąż tu jest. Nie rozumiemy, dlaczego pan jej nie wsunął. Czy na pewno się pan nie pomylił?

François

W rodzinnym zakładzie pogrzebowym, który funkcjonował na bretońskiej wsi, życie płynęło spokojnie, a rutyna świetnie się sprawdzała. Z jednym zastrzeżeniem: pracujący tam grabarze mieli nad innymi tę przewagę, że wiedzieli, jakiego obciążenia pracą się spodziewać. Mieli informatora.

Czasem przychodzili rano, a żona szefa mówiła:

– Będzie dużo roboty, François jest zdenerwowany od piątej rano.

I rzeczywiście, dzień był wyjątkowo ciężki. François – nikt już nie pamiętał, dlaczego tak właśnie dali mu na imię – był dużym krukiem. Na ogół zajmował się swoimi sprawami, ale od czasu do czasu, nie wiedzieć czemu, zataczał duży krąg na niebie. Siadał na dachu zakładu i złowrogo krakał pod szarym, ciężkim niebem, z którego wciąż siąpiło. Czasami zachowywał się tak także w pogodne dni.

Grabarze wiedzieli, co to oznacza: za pół godziny do zakładu przyjdzie rodzina okryta żałobą, by zamówić pogrzeb.

A przecież nikt nie dzwonił, żeby się umówić, nikt nie mógł tego przewidzieć, nikt nie wiedział, że doszło do zgonu.

To mógł być zbieg okoliczności, ale pewne rzeczy zdumiewały. François krakał na dachu zakładu tylko wtedy, kiedy ktoś umarł. Poza tymi chwilami latał sobie nie wiadomo gdzie. Ta gra trwała od lat, regularnie, bezbłędnie.

Pewnego ranka François po prostu nie przyleciał. Zakład dalej funkcjonował, nawet całkiem nieźle, ale grabarze musieli witać rodziny, których nadejścia nie zapowiedziało posępne krakanie.

Być może François poleciał na emeryturę tam, gdzie panuje łagodniejszy klimat; może i jego zabrała śmierć i żaden złowieszczy krzyk nie oznajmił tego światu; a może, skoro działo się to w Bretanii, znużony samotnością Ankou przyjechał swym starym wozem, by przygarnąć to zwierzę jako towarzysza, a zarazem osobistego sekretarza.

Nikommu nie przyszło do głowy, żeby uznać tę historię za kłamstwo ani żeby

zbadać fenomen kruka czy wreszcie – by ściągnąć tu prasę. W krainie Ankou, Białych Dam i Praczek Śmierci taki wróżący nieszczęście kruk to, można by powiedzieć – codzienność.

Polityczna niepoprawność

W dobrym tonie jest mówić, że trzecia wojna światowa między Francją a Niemcami nigdy się nie rozpęta. W rzeczywistości byliśmy od niej o krok.

Działo się to w katedrze w Quimper podczas pogrzebu.

A przecież wszystko zaczęło się bardzo klasycznie. Mistrz ceremonii spotkał się z rodziną, która życzyła sobie, aby mszę odprawiono w katedrze w prefekturze Finistère. Wszystko zorganizował. Jednak wobec dramatycznego braku pracowników poprosił trzech kolegów z Brestu o pomoc. Wyruszyliśmy więc w drogę w dniu ceremonii i zatrzymaliśmy się na obiad w uroczej małej restauracji. Świeciło słońce i wiosenny dzień zapowiadał się fantastycznie. Po uczcie udaliśmy się na miejsce spotkania – do domu pogrzebowego w centrum miasta, przy małej, zacisznej uliczce. Tu czekali już nasi koledzy i po serdecznym powitaniu i prezentacji tych, którzy się nie znali, przystąpiliśmy do złożenia do trumny, następnie zaś ruszyliśmy do wspaniałej budowli.

Katedra w Quimper jest niezwykła. Wznosi się w sercu miasta i spogląda na brukowany plac, zawsze tętniący życiem. Jeśli będziecie mieli okazję odwiedzić ten region, koniecznie ją zobaczcie.

Mistrz ceremonii, człowiek miejscowy – a także bardzo sympatyczny – poprosił, byśmy pozostali wewnątrz. Nie wdając się w szczegóły, powiedział tylko:

– Zobaczcie, z jakiego rodzaju problemami musimy się zmagać.

Problem ważył pewnie koło stu kilogramów, a jego wypłowiałe, przerzedzone blond włosy okalały dziobatą twarz. Owłosienie torsu wyłaniało się spod rozchylonej, opinającej pokaźny brzuch pstrokatej koszuli, a nogi – dwa białe patyki, cienkie i zwiotczałe, bezwstydnie pokazywały się ludziom, bo facet miał na sobie jaskrawe bermudy. Małżonka dopasowała się do niego, popisując się galaretowatym cellulitem, bo paradowała w szortach. W dodatku dwójka ich dzieciaków, chłopiec i dziewczynka w wieku około dziesięciu lat, oddawała się stosownej do wieku zabawie w chowanego między kolumnami

katedry, głośno przy tym hałasując.

Źle wychowany turysta szedł nonszalancko środkiem świątyni i pstrykał zdjęcia, w przerwach głośno wołając żonę, by pokazać jej którąś z rzeźb. Fakt, że kilkadziesiąt metrów dalej, w ławkach, siedziała okryta żałobą rodzina, a zmarły leżał w widocznej z daleka trumnie, tuż przed ołtarzem, zdawał się zbytnio mu nie przeszkadzać.

Zamierzałem podejść do niego i grzecznie poprosić, żeby z własnej woli opuścił to miejsce, w przeciwnym razie będę bowiem zmuszony pomóc mu, kopiąc jego potężny zad roboczymi butami, ale mistrz ceremonii mnie powstrzymał. Wyjaśnił mi, na czym polega specyfika miejsca: turyści w tej katedrze byli jak strupy na ciele trędowatego. Skinął, prosząc, byśmy wszyscy podeszli, i powierzył grabarzom wyznaczonym do niesienia trumny zadanie: mieli zablokować wejścia, by powstrzymać dalszą inwazję, natomiast my, mistrzowie ceremonii, teoretycznie w sposób bardziej dyplomatyczny (podkreślam: teoretycznie), powinniśmy usunąć turystów – zdecydowanie, ale uprzejmie.

– Pamiętaj – powiedział mój miejscowy kolega – uprzejmie, nie wolno używać rąk i bić.

– To przecież jasne – obruszyłem się. – Za kogo ty mnie masz?

– Za człowieka. Po prostu – z umiarem – dodał.

Zaczęliśmy czystkę od końca kościoła. Kaplice i nawy boczne. Zastałem ich nawet w absydzie. Z pewnym wahaniem zatrzymałem fotografa amatora, który szedł w stronę ołtarza. Potem, kiedy oczyściliśmy już transept, wróciliśmy do naw bocznych i ruszyliśmy w kierunku przedsionka. Już od kilku minut czułem przemożną potrzebę wyśpiewywania swego rodzaju psalmu: „Uprzejmie, bez bicia, uprzejmie, bez bicia”.

Przegnani intruzi dzielili się na dwie kategorie: tych ze zdziwioną miną i tych z niezadowoloną. „Zmarły, naprawdę? Przykro mi. O której można przyjść?” Byliby wiarygodni, gdyby nie fakt, że mieli przed oczyma rodzinę w żałobie, całą grupę ludzi, która z godnością starała się nie zważać na nich, trumnę otoczoną kwiatami i kapłana przy ołtarzu. Kolega wyjaśnił mi potem, że taka jest umowa: księża pozostawiali zakładowi pogrzebowemu funkcje policji, aby zapewnić rodzinie stosowny spokój i nie dopuścić do żadnego incydentu podczas ceremonii. A trzeba dodać, że o ile pierwsza kategoria turystów

uważała nasze działanie za swoisty afront, druga była znacznie gorsza.

Mówiąc najczęściej z bardzo silnym akcentem niemieckim, oburzali się na takie traktowanie turystów w budynku publicznym, uzasadniając: „Znam prafo z tysiãc dziewięćset pięć, prrożę pan!” . A niektórzy kontynuowali: „A w szym ja tu przeżkadzam?”, potem zaś rozwodzili się nad upadkiem Francji.

Katedra została oczyszczona. Wyprosiliśmy około trzydziestu turystów, a koledzy przy wejściu zatrzymali kolejnych sześćdziesięciu. O ile część z nich wykazała się zrozumieniem, zwłaszcza że informowaliśmy, że chodzi tylko o najbliższą godzinę, innych oburzało, że w atrakcji turystycznej odbywają się pogrzeby. Cóż, przepraszamy, że jesteśmy u siebie.

Kiedy już było po wszystkim, wyszedłem zapalić papierosa, na którego naprawdę zasłużyłem. Niemiec, ten pierwszy, wciąż tu był. Zaciekle lżył mojego kolegę żałobnika i widziałem, że na czole tego ostatniego pulsuje już nabrzmiała żyła. Wtrąciłem się. Niemiec mówił o upadku Francji, o bałaganiarskim narodzie, o ustawie z 1905, na mocy której wniesie skargę do merostwa, do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, do prezydenta Republiki, a ustawieni w równym szeregu za jego plecami żona i dzieci kiwali głowami, potwierdzając każde słowo.

– Uprzejmie, bez bicia, uprzejmie, bez bicia – podśpiewywałem w duchu, ale czułem, że świerzbą mnie ręce.

Ten turysta, który nie szanował nikogo i niczego, postanowił chyba zepsuć nam cały tydzień.

Nagle poczułem czyjąś furię. Kolega żałobnik, zwykle powściągliwy, opanowany i miły, złapał Niemca za kołnierz koszuli. Pąsowy, wrzeszczał mu coś prosto w twarz. Uznałem, że muszę interweniować, zanim go pobije. Zachowując bezpieczną odległość, poprosiłem, żeby się uspokoił.

Po chwili puścił turystę.

Niemiec zamienił się w słup soli. Czerwony ze wstydu, ponieważ nagle stał się widowiskiem dla licznych przechodniów, spuścił głowę i już bez słowa odszedł, a cała rodzina podążyła za nim.

Kiedy byli już dość daleko, a kolega, którego dyskretnie obserwowałem, zdołał się opanować, powiedziałem:

– Nie znam niemieckiego.

– Powiedziałem mu tylko, że mój pradziadek zabijał Niemców w tysiąc osiemset siedemdziesiątym, dziadek zabijał Niemców w tysiąc dziewięćset czteremset czteremdziesiątym, ojciec zabijał Niemców w tysiąc dziewięćset czteremdziesiątym, a ja uważam, że mam obowiązek kontynuować rodzinną tradycję, dopóki nie zrozumieją, że przegrali wojnę!

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Po chwili namysłu stwierdziłem:

– Zdecydowanie, uprzejmię. Skutecznie. A w dodatku bez bicia. Doskonale.

Stereotypy

Kiedy wyjaśniam, na czym polega moja praca w zakładzie pogrzebowym, i dochodzę do drobnych szczątków ofiar wypadków, które zbieram z drogi, często słyszę:

– Tak? A ja myślałem, że tym zajmują się strażacy!

Otóż nie. To ja. Strażacy nie zajmują się nieboszczykami. Jeżeli strażak transportuje zwłoki, oznacza to jakąś porażkę, przyznanie się do bezsilności. Zmarły nie jest cenny. Strażak odchodzi, gdy tylko lekarz potwierdzi zgon i wypisze świadectwo.

Poza tym strażakom nie wolno transportować zwłok. Oczywiście z wyjątkiem sytuacji, gdy osoba przewożona umrze w drodze. Jednak nawet wtedy, gdyby ściśle trzymać się litery prawa, powinni przerwać transport, wezwać karawan i przenieść do niego zwłoki ze swojego samochodu. Jest transport dla żywych i transport dla zmarłych. Często słyszę: „W mojej okolicy strażacy zabierają zwłoki”. To nieprawda. Zastanówmy się tylko: kto chciałby leżeć na noszach, na których leżały zwłoki, może w dodatku w stanie zaawansowanego rozkładu? Krótko mówiąc, każdy ma swój fach i swoje ofiary...

Radość

Pewnego dnia stałem się gwiazdą. Oto jak do tego doszło.

Do zakładu weszła rodzina. Wstałem, żeby przyjąć klientów, udaliśmy się do biura, ustaliliśmy szczegóły ceremonii pogrzebowej, a kiedy wszystko było już dopięte na ostatni guzik – kościół, cmentarz – najmniejszy szczegół – zabraliśmy się do formułowania nekrologu.

Czy wspomniałem już, że rodzina była bardzo wierząca? Otóż była. Sporządziliśmy listę członków rodziny – tej najbliższej i tej nieco dalszej, a potem przeszliśmy do tekstu:

– Rodzina bla la bla... Jak to można ująć? – spytał syn, patrząc na mnie.

– Zawiadamia o śmierci, z żalem zawiadamia, Pogrążona w bólu rodzina... i tak dalej albo – powiedziałem, podsuwając mu swoje „ulubione” sformułowanie – z radością informuje, że Bóg wezwał do siebie...

Bo przecież tak właśnie powinno to brzmieć. To logiczne: żarliwy chrześcijanin powinien się cieszyć ze śmierci bliskiego, który siedzi już po prawicy Pana, zgodnie z obietnicą życia wiecznego i zmartwychwstania. Ale nawet najbardziej wierzący dawno odrzucili takie formuły.

Celowo przechodzę do redagowania nekrologu właśnie w tym momencie, chcę bowiem uspokoić sytuację. Na tym etapie spotkania mija zwykle półtorej godziny od wejścia do biura. Tyle trwa rozmowa o pogrzebie najbliższej osoby, więc warto rozładować napięcie, wrzucając niepasujący element. To drobna, ale skuteczna sztuczka. Tyle że nie spodziewałem się usłyszeć „doskonale!”, a zaznaczam, że moi rozmówcy powiedzieli to chórem.

Nieco zaszokowany, przeformułowałem te słowa wiele razy. Rodzina zawsze się godziła.

Chcąc się zabezpieczyć, przepisałem nekrolog na czysto i poprosiłem o podpisanie go przez wdowę i troje dzieci. Chciałem mieć pewność.

Potem przefaksowałem nekrolog do gazety. Usiadłem spokojnie w biurze, zabrałem się do papierkowej roboty i odebrałem telefon po pierwszym sygnale.

Rozpoznałem numer.

– Spodziewałem się tego – powiedziałem do dziewczyny z działu nekrologów.

– Hm... No tak. Dzień dobry. Jak się pan miewa? Przepraszam, ale dostałam właśnie coś dziwnego.

– Wiem. Sam to napisałem.

– Ale... ale... Czy rodzina tak chciała?

– Tak. Podpisali.

– Ale... Naprawdę tego chcą?

– Tak. Upewniłem się. Siedem razy, jeśli nie mylę się w rachunkach...

– Nie wiem, czy możemy...

– Cóż, przecież nie ma w tym nic szokującego ani nielegalnego.

– Nielegalnego, nie, ale ta formuła jest...

– W pełni poprawna. Proszę wziąć pod uwagę, że tekst został podpisany, a ja podałem nazwisko na zleceniu. Krótko mówiąc, biorę na siebie odpowiedzialność.

– W porządku. W takim razie nekrolog pojawi się jutro, dobrze?

Reszta rozmowy przebiegła jak zwykle, skupiając się głównie na potwierdzeniu pisowni nazwisk i tak dalej.

Wróciłem do domu i spałem jak noworodek: budząc się co dwie godziny.

Nazajutrz, kiedy tylko przełączyliśmy telefon, nocą przekierowywany na numer dyżurnego, zadzwoniono właśnie do mnie. Prawie do mnie, bo padło pytanie: „Kto to wypuścił?”. I pytali o to wszyscy ci, którzy w rozrzuconych po okolicy biurach zadawali sobie trud czytania wszystkich naszych nekrologów. A oni zadzwonili też do innych, rzucając niewinnie: „A właśnie, widziałeś może, co dał do druku Guillaume?”, i do końca dnia odbierałem telefony od kolegów, z którymi zwykle miałem tylko sporadyczne kontakty. Dzwonili pod byle pretekstem.

Tak czy inaczej, był to dzień mojej sławy.

Niewiele trzeba nam do szczęścia.

Małżonka, XXX,

Syn i synowa, XXX,

Córka i zięć, XXX

Syn i synowa, XXX

Wnuki i prawnuki,

Brat i bratowa, XXX,

Bratanice, bratankowie, wszyscy krewni i przyjaciele...

[...]

Z radością informują, że Bóg powołał do siebie Pana XXXX XXXX

Itd.

Plaga

Mały cmentarz w Bretanii, zima. Szare, odarte z liści drzewa wznoszą się posepnie nad grupą ludzi skupionych nad ciemną dębową trumną ustawioną na katafalku. Członkowie rodziny zacieśniają półkole. Są smutni, ale pełni godności. Żaden szloch nie zakłóca ciężkiej ciszy, jednak zaczerwienione oczy świadczą o cierpieniu, które w tej chwili wydaje się niewygasłe. Nieco dalej grabarze starają się nie rzucać w oczy, by nie zakłócać tej jakże osobistej chwili.

I nagle pośród ciszy rozbrzmiewa funkowy kawałek. Wszyscy zamierają, odruchowo sięgają do kieszeni, a pąsowy jak piwonia chłopak, którego oczy są zaczerwienione od płaczu, wciąga telefon i mówi łamiącym się głosem:

– Tak?... Okej... Nie, nie mogę, jestem na pogrzebie dziadka.

Okienko

Francuzi pasjonują się meteorologią. Nie dość, że pozwala ona ustalić, jak ubrać się następnego dnia, to jeszcze stanowi pasjonujący temat rozmów dla tych, którzy nie mają nic do powiedzenia.

A czasami ktoś pyta mnie, czy klimat ma wpływ na zgony. Odpowiedź jest oczywiście twierdząca. Nie mówimy, rzecz jasna, o gwałtownych ulewach, po których rzeki występują z brzegów, a rozszalała topiel porywa rozwścieczonych posiadaczy ziemi, których ostatnie słowa to: „Dlaczego rząd nic z tym nie robi?”. Mówimy raczej o gwałtownych ochłodzeniach lub silnych upałach, które zaskakują wielu ludzi. Wówczas ich słabe zdrowie podupada tak mocno, że szybko zamiast lekarza potrzebny im jest grabarz.

Są także sezonowe samobójstwa. Ktoś może powie: „Tak, to normalne. Gdy nadchodzi zima, tak chłodna i przygnębiająca, ludzie, którym wydaje się, że ich szare życie pozbawione jest sensu, kładą kres swym dniom”. Pudło! Co prawda zimą zdarzają się samobójstwa, ale wcale nie jest ich więcej niż latem. Otóż dwiema krytycznymi porami roku są jesień – tak, wiem, równie deprymująca, oraz wiosna. Tak, właśnie wiosna.

Ale to wszystko tylko podszepty intuicji, bo dość trudno zdobyć szczegółowe i wiarygodne statystyki.

Ważne są także czynniki, które nie mają związku z klimatem. Znacznie mniej ludzi umiera, kiedy dzieje się coś ciekawego.

Nie wiem, czy należy traktować to poważnie, ale starsi koledzy, z którymi się zetknąłem, przysięgali na wszystkie świętości, że w 1998, kiedy okazało się, że drużyna Aimégo Jacqueta naprawdę ma szansę dojść do finału mistrzostw świata, grabarze znaleźli się na swoistym bezrobociu technicznym. Jakby nawet śmierć rozsiadła się przy stole w bistro i przy piwie oświadczyła wszystkim, którzy słuchali, że chciałyby, żeby Francja została piłkarskim mistrzem świata!

A kiedy, nie dowierzając, pytałem z niewinną miną, czy musieli długo czekać, zanim sytuacja wróciła do normy, odpowiadali:

– Ależ nie! Zaczęło się jeszcze tego wieczoru, trzy sekundy po końcowym gwizdku!

– Pamiętam tego faceta... – zaczął jeden z nich. Ucieszyłem się: nowa historia! Coś konkretnego, jak lubię!

A zatem wspomniany mężczyzna oglądał w domu mecz w towarzystwie przyjaciół. Trochę wypili, a potem Zidane zdobył bramkę, no i facet się rozszalał. Kiedy Petit dobił Brazylię, wydał rozdzierający, dziki wrzask radości i zaczął biegać wokół kanapy. Po końcowym gwizdku podskoczył, uszczęśliwiony, chciał zrobić potrójne salto w tył, krzyząc *Ola!*, i wyleciał przez okno.

Mieszkał na siódmym piętrze.

Był pierwszym, który umarł, jedynym, który zginął tak głupio. Tego wieczoru dyżurujący nie mieli nawet czasu na kawę.

Telewizja satelitarna

Dzwoniono z komisariatu – trzeba było zabrać zwłoki. Grabarz rozpaczliwie próbował uzyskać od dyżurnego policjanta dokładniejsze informacje, ale nie dowiedział się niczego – podano mu tylko adres.

Na wszelki wypadek pojechali we trzech.

Gdy znaleźli się na miejscu, od razu zorientowali się, z czym mają do czynienia.

Był to niewielki blok komunalny, taki „na miarę człowieka” – trzypiętrowy, z trawnikiem przed wejściem. Na trzecim i zarazem ostatnim piętrze rząd otwartych na oścież okien. Dwaj policjanci czekali na grabarzy na trawniku. Jeden z nich skinieniem głowy wskazał im kierunek.

Trzeci policjant czekał na klatce schodowej, ponieważ jednak nie był szaleńcem, zszedł piętro niżej, a na twarzy miał maskę. Trzeba przyznać, że kiedy tylko załoga otworzyła drzwi samochodu, paskudny smród wcisnął się do kabiny. Cuchnęło nawet na ulicy.

Sytuacja była prosta: mężczyzna zmarł trzy, cztery tygodnie wcześniej, a wiosna była dość ciepła. Prawdopodobnie ważył około stu czterdziestu kilogramów, z czego ponad pięćdziesiąt wsiąkło już w podłogę jego salonu pod postacią płynów ustrojowych i tłuszczu, który przeszedł w stan ciekły w procesie rozkładu. Grabarze weszli „na surowo” – bez ekwipunku, wyposażeni tylko w aerozol dezynfekujący. Opróżnili wszystkie trzy butle i zeszli na papierosa, żeby preparat zadziałał. Na dole dwaj policjanci żartobliwie dokuczali trzeciemu, młodszemu od nich. Pierwszy raz widział rozkładające się zwłoki, a najbardziej przerażał go ohydny smród.

Dwaj grabarze palili, rozmawiając, natomiast trzeci mył buty alkoholem. Tak upłynęło dziesięć minut. Nadszedł czas, by się przebrać.

Wszyscy wciągnęli jednorazowe białe kombinezony z kapturem, plastikowe ochraniacze na buty, rękawiczki z lateksu, a na nie drugie, z grubego kauczuku, i wreszcie maski. Kiedy już się przebrali, widać było tylko ich oczy.

Szybko ocenili sytuację i postanowili użyć dwóch pokrowców: pierwszy, osłaniający zwłoki, był biały i stosunkowo cienki; po włożeniu do niego zwłok mogli działać dalej, unikając nadmiernego brudzenia się. Przeciągnięte w nim ciało musieli włożyć do drugiego worka, z czarnego i bardzo grubego plastiku, zwanego „pokrowcem ekshumacyjnym”, przeznaczonego do transportu zwłok w rozkładzie, tracących dużo płynów. Pokrowiec ekshumacyjny ułożyli więc otwarty za progiem mieszkania i weszli, żeby osłonić zwłoki białym workiem.

Kiedy skończyli, przypięli ciało do noszy pasami, podnieśli je i zaczęli schodzić. Jeden grabarz, od strony nóg, szedł pierwszy, za nim dwaj trzymali nosze od strony głowy. Zeszli tak z trzeciego piętra, ani razu się nie zatrzymując, tak bardzo chcieli jak najszybciej wsunąć nieboszczyka do szczelnego przedziału chłodzonego i wyrzucić do śmieci cuchnące kombinezony. Kiedy już wychodzili z budynku, natknęli się na sąsiada. Drobnym mężczyzną czekał przed drzwiami wejściowymi z torbą pełną zakupów w ręce.

Trzej spoceni mężczyźni w białych poplamionych kombinezonach, w wielkich niebieskich rękawicach, na których połyskiwała jakaś podejrzana substancja, i w maskach jak z filmu katastroficznego o wojnie bakteriologicznej, niosący na noszach z ramą z nierdzewnej stali wielki czarny wór przypominający pokrowiec na zwłoki, zdawali się go szczególnie nie wzruszać.

– Kto to? – zapytał jednego z tragarzy, wskazując brodą czarny worek.

Grabarze nie wiedzieli, co powiedzieć. Popatrzyli na policjantów.

– Ten z trzeciego po lewej – odparł dowódca patrolu.

– Tak?

Niski facet zadarł głowę, patrząc na otwarte okna.

– Nie znałem go. To już czwarty w tym roku w naszym budynku.

Jeden z grabarzy nie mógł się powstrzymać:

– I nigdy nie chciał się pan przeprowadzić?

– O nie! – odparł drobnym mężczyzną. – To niezły dom. Czysty, a w dodatku mamy tu telewizję satelitarną.

A potem spokojnie wrócił do domu.

Przyszły bezrobotny

Rodzina weszła do zakładu wieczorem, dziesięć minut przed zamknięciem. Drobną staruszką, która właśnie została wdową, nie kryła zakłopotania.

– Naprawdę bardzo nam przykro, że zawracamy panu głowę tak późno, ale przedtem musieliśmy załatwić mnóstwo spraw. Zgłosić zgon w merostwie, zarezerwować termin w kościele, spotkać się z proboszczem, przygotować nekrolog i wysłać go do gazety, uprzedzić wszystkich, że pogrzeb odbędzie się pojutrze... Zajęło nam to cały dzień.

Grabarz nie miał sumienia powiedzieć im, że mogli załatwić to wszystko za jego pośrednictwem, za tę samą cenę, w ciągu pół godziny.

Mędrzec

Mężczyzna, muzułmanin, nie żył od dwóch tygodni, kiedy go znaleziono. Był kawalerem i hulaką. Rodzice i krewni złorzeczyli, bezsilni wobec jego bezbożnych zachowań. Przywykli też, że przez dłuższy czas pozostają bez wieści od niego.

Dwa tygodnie latem to dużo, zwłaszcza kiedy jest gorąco i wilgotno. Ciało, które zabieraliśmy, było w paskudnym stanie. Włożyliśmy je do grubego pokrowca i umieściliśmy w chłodni do czasu złożenia do trumny.

Rodzina przyszła omówić kwestię pogrzebu. Zmarły miał spocząć w muzułmańskiej kwaterze na miejskim cmentarzu. Wszystko było dobrze, dopóki krewni nie poprosili, żeby ich imam przeprowadził rytualną toaletę. Grabarz usiłował wytłumaczyć, że ze względu na stan zwłok takie rozwiązanie jest niemożliwe. W biurze doszło do awantury. Krewni nie poczuliby się bardziej urażeni, gdyby doradca pogrzebowy powiedział coś obelżywego o matce kogoś z obecnych.

Rodzina nalegała z takim uporem, że w końcu doradca zdecydował się umówić na spotkanie z imamem. Liczył na jego rozsądek i myślał, że razem przekonają rodzinę. Zadzwoił do imama, przedstawił mu sytuację i po raz drugi tego dnia naraził się na awanturę. Było niedopuszczalne, wrzeszczał w słuchawkę mędrzec, by muzułmanin stanął brudny przed Bogiem.

Doradca ustąpił. Ustalili godzinę i dzień, gdy imam przybędzie, by zająć się obmyciem ciała.

W umówionym dniu imam pojawił się punktualnie. Do jego dyspozycji oddano na czas, jakiego potrzebował, laboratorium. Zwłoki leżały na stole w zamkniętym pokrowcu, a odór nie był zbyt silny, ponieważ dotąd przechowywano je w niskiej temperaturze. Woń powodowała tylko lekkie pieczenie oczu.

Nabożny mąż, już spokojny, uznał jednak za słuszne drobiazgowo wyjaśnić doradcy, czym jest rytualna toaleta i jakie znaczenie ma dla muzułmanów,

a przede wszystkim przypomnieć mu, że żaden niewierny nie może oceniać tego, czego Prorok, w swej mądrości, nauczał wiernych, i tak dalej, i tak dalej niemal przez kwadrans. Potem zakończył wyniośle:

– Dobrze. Myślę, że zapamięta pan tę lekcję.

Doradca pokiwał głową.

Imam wszedł do laboratorium i zaczął odmawiać modlitwę.

Wtedy kolega doradcy odwrócił się do niego i powiedział półgłosem:

– Na twoim miejscu nigdy bym się na to nie zgodził, ja...

Zamilkł, widząc, że doradca promiennie się do niego uśmiecha, patrząc równocześnie na drzwi laboratorium.

Po dwóch minutach imam wyszedł. Uśmiech doradcy rozkwitł.

Doktor Koranu wymamrotał:

– Prorok, w swej wielkiej mądrości, nie mógł wszystkiego przewidzieć. W przeciwnym razie z pewnością powiedziałby, że czasami rozsądniej jest zrezygnować.

Podróż pierwszą klasą

Spełniając wolę zmarłego, rodzina poprosiła zakład pogrzebowy, by zechciał przewieźć jego ciało do rodzinnej wsi w Portugalii, gdzie mieszkali jego krewni i spoczywali jego przodkowie. Była to sprawa zupełnie normalna i typowa, więc kierowca, a zarazem grabarz specjalizujący się w transporcie na dużą odległość, spakował walizkę, ucałował żonę i dzieci i wyruszył w drogę zadowolony, że jedzie do Portugalii.

Przyszedł do zakładu o świcie, udał się do sali, w której stały trumny. Znalazł tę, która go interesowała – położono na niej flagę Portugalii – załadował ją i odjechał. Była trzecia nad ranem. Pokonywał drogę bez problemów i przekroczył granicę z Hiszpanią trzy kwadransy wcześniej, niż przewidywał. Celnicy opatrzyli dokumenty pieczęciami, nie przeciągając procedury. Potem ruszył w kierunku Portugalii. Sam w aucie, miał pełną swobodę wyboru trasy. Dobrze znał te okolice, ponieważ wielokrotnie – i służbowo, i prywatnie, na wakacje, jeździł do Portugalii, której piękno wciąż go zachwycało.

Wieczorem zatrzymał się na nocleg w małym pensjonacie, który bardzo sobie cenił, a nazajutrz wczesnym popołudniem wjechał do Portugalii boczną drogą, wiedząc, że nie zatrzyma go tu żaden posterunek graniczny. Zdecydował, że wszelkie formalności załatwi we wsi, do której się udaje, co było w pełni legalne. Trumna została przecież skontrolowana przez francuską policję w chwili jej zamykania, a następnie przez francuskich i hiszpańskich celników, gdy przekraczał granicę, a portugalski konsul wydał zezwolenie na wjazd na terytorium kraju.

Kilka kilometrów przed wioską zatrzymał się, żeby doprowadzić do porządku swój strój i umyć karawan. Fakt, że przejechał dwa tysiące kilometrów, nie usprawiedliwiał pojawienia się przed rodziną zmarłego w brudnym samochodzie i wymiętej koszuli.

W końcu dotarł na miejsce.

Kiedy zaparkował przed małym, ale ładnym białym domem, zobaczył, jak wybiega z niego mężczyzna.

- Jest pan!
- Tak, przyjechałem trochę wcześniej...
- *Chiça! és una besta!* To nie moja trumna!
- Co?! Ależ...
- To nie ta trumna! Pomylił się pan! Wszyscy pana szukają!

Po sprawdzeniu okazało się, że w trumnie spoczywa starsza pani, na którą czekano wczorajszego popołudnia w rodzinnej wsi w Normandii, gdzie miał się odbyć jej pogrzeb.

Dwa dni wcześniej, w domu pogrzebowym w Bretanii, godzina 20.30.

Wysiadając z samochodu do przewozu zwłok bez trumny (ambulansu przeznaczonego do transportu zmarłych), powiedział do kolegi, wskazując ruchem brody mężczyznę, którego zwłoki przywieźli:

– Zajmę się nim. Możesz położyć dokumenty przewozowe do Portugalii na trumnie? Boję się, że potem o nich zapomnimy.

Kolega skinął głową, wziął papiery i poszedł do sali, w której stały dwie trumny – starszej pani, przy wejściu, i Portugalczyka, w głębi, przy drzwiach. Leżało na niej coś, co wyglądało jak gałgan.

– No nie! – krzyknął.

I podbiegł do trumny, kładąc papiery w zasięgu ręki.

– Co oni mają w tych głowach! Młodzi... Co sobie o nas pomyślą w Portugalii?!

Może pomyśleliby: „Już rozumiem, dlaczego tylu młodych musi wyjeżdżać, żeby budować Francuzom domy! Zobacz, nie potrafią nawet złożyć flagi, jak należy!”. Zresztą, nie, Portugalczycy są miłosierni. Westchnęliby tylko, kręcąc głową na widok tak pomiętej flagi.

Chwycił flagę, rozłożył ją, a potem złożył jak należy. W tym momencie zadzwonił telefon, który wisiał tuż nad trumną Normandki. Grabarz położył flagę obok dokumentów, na tejże trumnie, i odebrał.

– Wezwanie? Natychmiast? Proszę o adres. Dobrze, będziemy za dziesięć minut.

I wybiegł.

Nazajutrz kierowca zobaczył dokumenty i flagę, załadował trumnę, ale oczy jeszcze mu się kleiły z zaspania, więc nie spojrział na drugą trumnę, obok której przechodził. To ona czekała z utęsknieniem, aż musną ją ciepłe promienie portugalskiego słońca.

W przededniu, godzina 14.00

Na posterunku granicznym rozdzwonił się telefon. Alarm, trzeba zatrzymać karawan, którym pomyłkowo przewożone są niewłaściwe zwłoki. Kierowca, który przyjechał po Normandkę, zdziwił się, że nosi ona nie tylko portugalskie nazwisko, ale i męskie imię.

Nie był ani jasnowidzem, ani Sherlockiem Holmesem, po prostu przeczytał tabliczkę z nazwiskiem zmarłej, przymocowaną do trumny.

Hiszpańscy celnicy, którzy niedawno zmienili kolegów, śmiali się serdecznie, zadowoleni, że dyżur tak dobrze się zaczyna, ale miny im zrzedły, kiedy przeczytali notatkę kolegów.

– *Maldito sandio!* – krzyknął dowódca posterunku. – Dzwon na policję. Muszą go znaleźć, już przejechał!

Ale Hiszpania to duży kraj, a oni szukali go na głównych trasach, on tymczasem uprawiał turystykę.

Powiadomieni o sprawie portugalscy celnicy czekali i czekali, jednak karawan się nie pojawiał.

Epilog

Pechowy Portugalczyk został pochowany w ojczyźnie, do której tak tęsknił, z trzydniowym opóźnieniem – zakład pogrzebowy wyprawił go w drogę innym karawanem, nie czekając na powrót pierwszego. Normandka również z trzydniowym opóźnieniem dołączyła do małżonka w rodzinnym grobie.

Gdybyście przypadkiem bawili w mieście... na wybrzeżu Bretanii, i gdybyście mieli ochotę wstać wczesnym rankiem, rozejrzyjcie się – może zobaczycie naburmuszonego zamiatacza ulic. Dla własnego dobra nie zagadujcie go i nie wspominajcie o Portugalii ani o jego dawnej pracy konwojenta zmarłych. Takie wzmianki wprawiają go w jeszcze gorszy humor.

Ryzyko zawodowe

Grabarz siedział przybity, trzymając w ręku smartfon: właśnie uświadomił sobie, że ma w nim więcej zdjęć nagrobków niż własnych dzieci.

Widziałeś coś takiego?

Zarzuty, reklamacje i inne skargi na zakłady pogrzebowe są najrozmaitsze. Czasami zdarzają się po zabiegach konserwacyjnych.

Jest coś, czego rodziny nie potrafią zrozumieć: tanatopraktor wcale nie zna zmarłego. Często pracuje po omacku, bez zdjęcia czy czegokolwiek, co mogłoby mu pomóc, ponieważ krewnym nie przychodzi do głowy, by przynieść do zakładu pogrzebowego takie materiały.

Pamiętam pewien przypadek. Z perspektywy czasu muszę stwierdzić, że to było genialne.

Rodzina gderiała, narzekała, obrzucała obelgami każdego, kto choć trochę przypominał grabarza. Tanatopraktor po raz czwarty udał się do domu, gdzie spoczywał nieboszczyk. Poprosił, żebym mu towarzyszył, obawiał się bowiem reakcji krewnych. Dysponował co najmniej dwudziestoma zdjęciami zmarłego, ale na próżno starał się nadać zwłokom wygląd jak najbliższy wzorowi – nic nie pomagało, rodzina nie widziała podobieństwa do drogiego człowieka, którego pamiętała. Podczas gdy mój kolega po raz piąty zmieniał fryzurę klienta, ja rozglądałem się po pokoju. Książki, telewizor, otwarty sekretarzyk.

Gdy się do niego zbliżałem, moje spojrzenie zatrzymało się na czymś, co jak przeczuwałem, było w tej sprawie kluczowe.

Chwyciłem to i podałem tanatopraktorowi.

– Spróbuj z tym.

– Tak myślisz?

– Mogę się założyć, że o to chodzi.

Kiedy rodzina weszła do pokoju, starszy syn zmarłego, który spojrzał na niego pierwszy, zawołał:

– Tata!

I wszyscy poczuli ulgę i zadowolenie – nareszcie mogli spokojnie czuwać przy zwłokach kochanego człowieka.

Wdowa spojrzała na nas.

– Po prostu o tym nie pomyśleliśmy. Nigdy nie widzieliśmy go bez nich, zawsze nosił ten sam model, od przebudzenia do pójścia spać. Tylko nie na zdjęciach, bo był trochę próżny. Tylko wtedy zdejmował okulary.

Pięć minut

Przebiegł przed nami jak wichur, pędząc do szatni. Młody chłopak przyszedł tego ranka z podniesioną głową i aroganckim uśmiechem: my wszyscy trafiliśmy do tego zawodu przez przypadek. On miał powołanie. Obejrzał wszystkie odcinki *Sześciu stóp pod ziemią*, raz po raz wracał do scen sekcji z *Ekspertów* i wszystkich filmów kryminalnych, na które trafił, oglądał wszystko, co najgorsze na YouTube.

Powiedział nam otwarcie:

– Mam Powołanie.

W domyśle: „Wiem wszystko, będę pracował bez porównania lepiej niż wy wszyscy”. Pokazaliśmy mu, jak złożyć trumnę, zamocować uchwyty, wyścielić trumnę, przytwierdzić symbole religijne, wygrawerować tabliczkę z nazwiskiem zmarłego, odczytać jego kartę; widać było jednak, że te podrzędne zajęcia wcale go nie interesowały. W swym wyobrażeniu był Grabarzem, a codzienne prace zostawiał maluczkim.

Wysłaliśmy go, by przyjrzał się zabiegom konserwacyjnym. Wiedza o tym, jak się to robi, jest częścią naszego zawodu, bo musimy umieć wyjaśnić to rodzinom.

A zabiegi tanatopraksji mają tę wielką zaletę, że szybko eliminują niezdatnych kandydatów. Jak tym razem.

– Poniżej pięciu minut – poinformował mnie kolega.

– Szczerze mówiąc, myślałem, że wytrzyma znacznie dłużej. Był taki pewny siebie – odparłem z żalem.

– Tak, ale na razie to niecałych pięć minut. Mam u ciebie kawę – stwierdził mój kolega.

– W takim razie zapraszam. Ale kończę z tym, nie postawię więcej na żadnego młodego, który czuje powołanie. To już trzeci w tym tygodniu.

Wstydlive upodobanie

Ceremonia ledwie się zaczęła, gdy zobaczyliśmy zbliżającą się do nas starszą panią. Zwykle po wniesieniu trumny wychodziliśmy z kościoła, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza i omówić dalszy przebieg uroczystości. Wysłałem dwóch grabarzy na cmentarz, żeby podjechali sprawdzić, jak wygląda nagrobek, a potem odwróciłem się do staruszki.

– Przepraszam pana, czyj to pogrzeb?

Podąłem jej nazwisko zmarłej, a ona pogrążyła się w zadumie. Po chwili spytała:

– A gdzie dokładnie mieszkała ta pani?

Odpowiedziałem, że nie wiem, bo naprawdę nie wiedziałem. Ale nawet gdybym znał adres, nie podałem jej go – całe gangi włamywaczy specjalizują się w okradaniu mieszkań zmarłych podczas pogrzebu.

Staruszka zastanawiała się jeszcze przez moment, a potem stwierdziła:

– Nie, raczej jej nie znam. Ale trudno, i tak wejdę.

Nie miałem powodu, by jej w tym przeszkodzić, jednak mimo woli uniosłem brew, dając wyraz zdziwieniu. Już odchodząc, rzuciła z uśmiechem:

– Uwielbiam pogrzeby!

Zbłąkane duszyczki

Panie Dyrektorze,

wraz z całą rodziną przyszliśmy, by czuwać przy mym małżonku, który odszedł na tamten świat.

Gorąco wierząc w spirytyzm, sprowadziliśmy rodzinne medium, aby móc pomówić z duchem męża i upewnić się, że wszelkie szczegóły pogrzebu są zgodne z jego wolą.

Zapomniałam zaznaczyć, że ja, a także moja córka tuż po wejściu do Państwa sali poczułyśmy się słabo, nie potrafiłyśmy jednak ustalić przyczyn tej reakcji.

Wyjaśnił nam to pan X, nasze medium! Ta sala jest wciąż pełna dusz zmarłych, których ciała tam przebywały. Wiele z nich zagubiło się w Państwa budynku i nie są w stanie przedostać się na tamten świat.

Podczas seansu spirytystycznego mieliśmy okazję rozmawiać z wieloma duchami, często zbłąkanymi, ale równie często rozgniewanymi.

Trzeba koniecznie uczynić coś dla tych zagubionych dusz i pomóc im w dotarciu na tamtą stronę. Proszę zachować przy tym wielką ostrożność, ponieważ rozgniewane duchy mogą okazać się niezwykle groźne i spowodować gwałtowne zjawiska.

Błagam Pana o uwolnienie tych zagubionych dusz i o to, żeby zechciał Pan zrobić, co należy! Może Pan skontaktować się ze stowarzyszeniem parapsychologicznym albo, jeśli Pan zechce, z naszym medium, gotowym służyć Panu pomocą.

Na całe szczęście mój mąż, oswojony z zaświatami, z łatwością odnalazł drogę.

Podkreślając, że sytuacja ta wymaga pilnych działań, proszę przyjąć wyrazy poważania.

Pani X

Przedsiębiorca pogrzebowy, który anonimowo przesłał mi ten list, wyjaśnił:

– Dostałem ten list trzy lata temu, a ponieważ nigdy nie zostawiam listów bez odpowiedzi, od trzech lat zastanawiam się, co jej odpisać.

Dodał jeszcze, że od trzech lat ani on, ani żaden z jego pracowników nie zauważył niczego niezwykłego.

Ale może duchom trzeba dużo czasu, żeby się obrazić. Przecież mają przed sobą całą wieczność.

Właściwy ubiór

Panie Dyrektorze,

kilka dni temu Pański zakład zorganizował pogrzeb mojego ojca.

Zachowanie Pańskich pracowników podczas składania zwłok do grobu bardzo mi się nie podobało. Otóż kiedy się to działo, a ich szef wygłaszał swoją mowę, ekipa stała w szeregu przed karawanem, niemal na baczność.

Mój ojciec był gorącym pacyfistą, rozbudzał sumienia, opowiadał się za wolnością, a postawa Pańskich ludzi, tak ustawionych i ubranych w identyczne ciemne garnitury, jak tajniacy, wywołała u mnie przyprawiające o mdłości skojarzenia militarne, uwłaczające poglądom tego, którego składaliście do grobu.

Dlatego też informuję, że nie zamierzam zapłacić rachunku, jaki wystawiła mi Pańska firma.

Podpis: Pan X

Odpowiedź dyrektora

Panie X,

poinformował mnie Pan o zastrzeżeniach dotyczących uroczystości pogrzebowej Pańskiego ojca na cmentarzu. Pozwolę sobie odpowiedzieć na Pańskie uwagi.

Co do mdłości, które Pana ogarnęły, przypuszczam, że to skutek ekspozycji na słońce, które tego dnia świeciło ostro, a jak mi wiadomo, na cmentarzu jest mało drzew. Opisane objawy bardzo przypominają porażenie słoneczne. Proszę pamiętać o nawadnianiu organizmu i unikać słońca.

Co do postawy mojej ekipy, to dokładamy starań, by zachowywać się dyskretnie i z szacunkiem, przybierając możliwie neutralną postawę. Jestem przekonany, że gdyby moja ekipa rozłożyła się rozchełstana na trawie, popijała piwo i paliła papierosy, otrzymałbym znacznie dłuższy list.

Proszę zauważyć, że napisałem „moja ekipa”, ponieważ uważam, że naprawdę tworzymy zgrany zespół. Nie napisałem „moi ludzie” ani „moi pracownicy”.

Co do Pańskiego zamiaru niepłacenia rachunku wystawionego przez zakład, postanowiłem mieć gest, zwłaszcza że Pańska matka, żona zmarłego, była już u nas i zapłaciła za pogrzeb, dodatkowo zaś zostawiła kopertę, a w niej list z podziękowaniami oraz hojny napiwek dla ekipy.

Postanowiłem więc wynagrodzić uraz, jakiego Pan doznał, przekazując stosowną według mnie zapłatę wyrównawczą.

Załączam czek na kwotę zero euro.

Mam nadzieję, że poczuje się Pan usatysfakcjonowany.

Z poważaniem

Dyrektor X

Zaginiona nocą

Panie Dyrektorze,

jestem przyjaciółką pani Chombier, zmarłej w zeszłym tygodniu.

W zeszłym tygodniu odwiedziłam ją w salonie numer dwa w Pańskim zakładzie, gdzie była wystawiona od wtorkowego przedpołudnia do czwartkowego popołudnia. Pozwoli Pan, że stwierdzę, iż Pańscy pracownicy okropnie wykonali swą pracę! Nie mogłam poznać biednej Simone i domagam się, żeby ukarał Pan przygotowującego zmarłych.

Pozdrawiam,

Podpisano: Pani X

Odpowiedź dyrektora.

Szanowna Pani,

zapoznałem się z Pani uwagami i dziękuję za nie. Nasi tanatopraktorzy, tak bowiem nazywa się osoba przygotowująca zwłoki, robią co w ich mocy, wykorzystując przekazane dane. To doskonali fachowcy, ludzie odpowiedzialni.

Czasami zdarza się, że zmarły jest nierozpoznawalny z powodu drobiazgu – fryzury, zbyt wygładzonych rysów twarzy lub z innych względów.

Być może w Pani przypadku tym drobiazgiem, który sprawił, że nie poznała Pani pani Chombier, jest fakt, że wystawiono ją w salonie numer pięć.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku.

Dyrektor

Przypisy

[1] cytata z <https://literat.ug.edu.pl/baka/023.htm>

[2] Oczywiście to tylko parodia.

[3] Mt 7,7, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu w przekł. z jęz. oryg., oprac. zespół biblistów polskich z inicjatywy benedyktynów tynieckich, wyd. 5, Pallottinum, Poznań 2008.

[4] Uosobienie śmierci w Bretanii.



A może tak rzucić
wszystko i zostać grabarzem?
Obcując na co dzień ze śmiercią,
oswoić ją i uodpornić się na jej powagę, kosząc
przy tym niezły hajs? Tak trzeba żyć!

Podczas czytania tej książki przypominamy sobie najlepsze
momenty z kultowego serialu *Sześć stóp pod ziemią*. Lektura *Nekrosytuacji*
wywołuje lekki dreszczyk, ożywczy śmiech i szczyptę kontemplacji.
Wszystko w idealnych proporcjach, jak starannie skomponowane
menu na stypie.

To literacki fenomen – sprzedano cały nakład i w ciągu miesiąca czterokrotnie tę książkę dodrukowano. [...] Bailly opowiada o codziennej pracy w firmie pogrzebowej, nie używając białych rękawiczek.

„Le Figaro”

Historie, które wywołują śmiech lub łzy wzruszenia, opowiedziane z życzliwością.

„Le Parisien”

Patronaty:



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-5973-1

EAN 9788327159731

U.WD.INN018.1.01.01